Jakub Maciejewski
BLIŻSZY NARÓD NIŻ LUDZKOŚĆ

Piotr Lisiewicz
OD PISTOLETU DO PĘDZLA

Łukasz Czarnecki
KSIĄŻĘ PROMIENISTY

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

POSTKOMUNISTYCZNE ZOMBIE WRACA



cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.nowepanstwo.pl nakład 211 000 egz. #NP 117 02/2021
REDAKCJA, MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO FOT. ADOBE STOCK(2), FILIP BŁAŻEJOWSKI /GAZETA POLSKA
ISSN 1895-4960

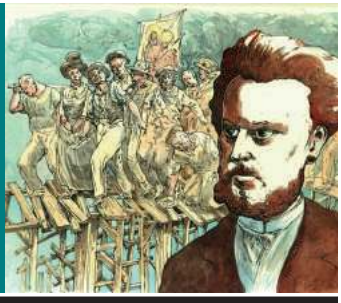
eprasa.pl eb5d10470b

TEMAT NUMERU ▼ 4–10



Postkomunistyczne zombie wraca / 4

IDEE ▼ 12–23



Bliższy naród niż ludzkość / 12

HISTORIA ▼ 24–61



Od pistoletu do pędzla / 24

KULTURA ▼ 66–74



Książę Promienisty / 66

ŚWIAT ▼ 84–97



Proniemieckie rządy w Polsce dobre dla Moskwy i Pekinu / 84

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Postkomunistyczne zombie wraca /4

Ryszard Czarnecki
Przystań dla towarzyszy /10

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Bliższy naród niż ludzkość /12

Jurij Szczerbak
Święto wielkiej krwi dla putina /18

Małgorzata Matuszak
Rodzice helikopterowi – model rodzicielstwa naszych czasów? /21

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Od pistoletu do pędzla /24

Agnieszka Kowalczyk
Józef Piłsudski. Bojownik zakazanego słowa /30

Dariusz Jarosiński
Szilo ze Stanisławowa /36

Ewa Polak-Pałkiewicz
Wszystkie niespodzianki panny Sitwell /42

Tomasz Gromadka
Pierwsza ofiara Kremla /49

Józef Piłsudski
Psychologia więźnia /54

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Książę Promienisty /66

Krzysztof Karnkowski
Świętość i bezpieka w czerni i bieli /72

Stefan Czerniecki
Na styku dwóch światów /76

ŚWIAT

Hanna Shen
Proniemieckie rządy w Polsce dobre dla Moskwy i Pekinu /84

Antoni Rybczyński
Stary sojusz Moskwy z palestyńskim terroryzmem /88

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /92

oprac. Antoni Rybczyński
Co czeka reżim Putina po rozprawie z Prigożynem /94

Stałe **rubryki**



Katarzyna Gójska
PRL powrócił wraz z resetem
NA POCZĄTEK 3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... upamiętnienie
KATECHIZM INTELIGENTA 17



Krzysztof Wołodźko
Orwell i inni. Skąd wziął się „Rok 1984”
DZIENNIK LEKTUR 62



Marek Kalinowski
Taxi jazz
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 71



Ryszard Czarnecki
Liberia, czyli demokracja i bieda
CZARNECKO TO WIDZĘ 75



Marcin Wolski
Ale to już było...
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
Jak odzyskać tych, którzy odeszli
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko
SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razcwarkow
KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl eb5d10470b



Katarzyna Gójska

PRL powrócił wraz z resetem

Dziś reset powraca w całej okazałości i najpewniej bardziej brutalnej formie. Ludzie, którzy działali wprost przeciw interesowi RP, nieukarani za swe czyny znowu dobijają się do instytucji strzegących bezpieczeństwa naszego państwa, w których progach jakże ochoczo witali przedstawicieli FSB.

Wraz z pogłębianiem polityki resetu wobec Rosji środowisko polityczne Tuska otwierało się coraz bardziej na tę część postkomuny, z którą kontakty uchodziły wcześniej jednak za kompromitujące. Ludzie komunistycznego aparatu represji, współpracownicy Urbana, pezetpeerowski beton partyjny – oni oczywiście już wcześniej kręcili się w okolicach Platformy, ale w miarę zacieśniania relacji z Moskwą stawali się coraz bardziej widoczni, by w końcu dziś awansować do roli najbliższego otoczenia przewodniczącego PO. A przecież nie jest tak, iż ten obóz polityczny bez szemrania zaakceptował obecność postkomunistycznych zombi. Owszem rewolty nie było, ale jednostkowe bunty już tak. Warto przypomnieć w tym miejscu sprawę senatora Jana Rulewskiego, którego skonstruowana pod patronatem Tuska Koalicja Obywatelska zobowiązała w wyborach do Parlamentu Europejskiego do propagowania kandydatury Janusza Zemke. Tego samego, który, stojąc na czele bydgoskiego aparatu propagandowego PRL, zajadle oczerniał opozycjonistę Rulewskiego. W owym spięciu dwóch światów – komunistycznej przemocy i solidarnościowej opozycji – władze KO stanęły po stronie dawnego agresora. Jan Rulewski zszedł z politycznej sceny w pewnym sensie pokonany przez człowieka, który reprezentując interes Kremla w Polsce, chciał go zniszczyć już kilkadziesiąt lat wcześniej. Sprawa solidarnościowego senatora i politruka szkalującego za patriotyzm jest symbolem nowej, jawnie postkomunistycznej Platformy, w której układy z bezpieką, czy po prostu wprost z Rosją, stały się gwarantem kariery i awansu. Dziś partia Tuska i on sam są głównym reprezentantem funkcjonariuszy aparatu represji i ich przywilejów. Zdeklasowała pod tym względem formację wyrosłą na kolejnych przepoczwarzeniach samej PZPR. Dziś reset powraca w całej okazałości i najpewniej bardziej brutalnej formie. Ludzie, którzy działali wprost przeciw interesowi RP, nieukarani za swe czyny znowu dobijają się do instytucji strzegących bezpieczeństwa naszego państwa, w których progach jakże ochoczo witali przedstawicieli FSB. Wszystko wskazuje na to, iż władzę obejmie środowisko polityczne będące z jednej strony wehikułem postkomuny, z drugiej wprost reprezentujące Kreml w najważniejszych polskich urzędach. Ich pierwsze osiem lat rządów w naszym kraju skończyło się śmiercią prezydenta, generałów, kluczowych polityków, nielegalną współpracą z Moskwą przeciwko NATO, rozbrojeniem armii i koncepcją oddania pod ewentualną rosyjską okupację niemal połowy terytorium kraju z milionami zamieszkałych tam Polaków. Nowa odsłona ich rządów może być jeszcze bardziej tragiczna. ■

Wszystko wskazuje na to, iż władzę obejmie środowisko polityczne będące z jednej strony wehikułem postkomuny, z drugiej wprost reprezentujące Kreml w najważniejszych polskich urzędach.

eprasa.pl eb5d10470b

Piotr Lisiewicz



Postkomunistyczne zombie wraca

To w III RP żelazna reguła. Przed każdymi wyborami, które wygrać ma postkomunistyczny układ, najważniejsze tematy w kampanii w bardzo niewielkim stopniu dotyczą rozliczeń z komunizmem. Wiadomo, to sprawy dla jakichś dziadersów, a na topie są: bieda, podwyżki, podatki, wojenki ideologiczne, no i nienawiść pretendentów do rządzących. Nawet to, kto się ładniej wysławia, a kto się przejęzyczył, jest ważniejsze. Tymczasem po objęciu władzy przez nowy rząd bardzo szybko okazuje się, że wpływy lobby wywodzącego się z totalitaryzmu ku zaskoczeniu wyborców stają się tematem numer jeden. Zdziwiony elektorat, szczególnie ten najmłodszy, dowiaduje się, że 34 lata po tzw. upadku komunizmu, znów wybrał ubekistan.

eprasa.pl eb5d10470b



ILUSTRACJA. MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO FOT. ADOBE STOCK(2), FILIP BŁAŻEJOWSKI/GAZETA POLSKA

epraca.pl ep5d10430b

Ledwo minął tydzień od ogłoszenia wyników wyborów, gdy lider postkomunistów Włodzimierz Czarzasty zaczął głośno domagać się likwidacji… Instytutu Pamięci Narodowej. To nie LGBT, związki partnerskie czy prawa związkowe są naszymi priorytetami, a jakieś kłótnie dziadersów? – mogła zdziwić się jakaś Julka ze strajku kobiet, po wygooglaniu cóż to takiego ten IPN. Julka owa żyła dotąd w słodkiej niewiedzy, że pan w żółtym sweterku nie był niegdyś panem, a towarzyszem i samego siebie nazywał komunistą. I mówił o tym nie tylko przed 1989 rokiem. Także w roku 2017. Gdy Władysław Frasyniuk protestował, że za rządów PiS za często mowa jest o Żołnierzach Wyklętych, a za mało o pokonaniu komunistów przez jego środowisko, Czarzasty odpowiedział mu niespodziewanie w imieniu komunistów: „Drogi Władysławie Frasyniuku! Żeście komunistów pokonali? No nie. Wyście się z nami, k…wa, przy Okrągłym Stole i 4 czerwca 1989 r. do-ga-da-li!". My, komuniści. Jasno powiedziane.

▶ Likwidacja IPN jak likwidacja Stowarzyszenia Memoriał

Prezes IPN dr Karol Nawrocki w odpowiedzi na słowa Czarzastego o likwidacji IPN wypowiedział dwa porażające i bardzo trafne zdania: „Zbiega się to w czasie z ubiegłoroczną likwidacją w Rosji Stowarzyszenia Memoriał – jakże zasłużonego dla upamiętniania ofiar sowieckiego totalitaryzmu. Trudno nie odnieść wrażenia, że słowa Włodzimierza Czarzastego idealnie wpisują się w oczekiwania Kremla i tych wszystkich, którym marzy się budowanie przyszłości na amnezji historycznej".

Te słowa pokazują istotę zmian, która ma dokonać się w Polsce. Zmiany wewnętrzne mają na nowo ubezwłasnowolnić Polskę. Tak, by była niezdolna do samodzielnego bytu, bo przeżarta przez postkomunizm. I równie bezradna wobec rozkładowych działań wrogów, jak po zamachu w Smoleńsku.

O tym, na czym powinien polegać opór wobec tego procesu, najtrafniej powiedział Michał Rachoń w czasie zjazdu Klubów „Gazety Polskiej" w Spale, w kontekście bohaterów serialu „Reset": „Naszym obowiązkiem jest śledzenie informacji na temat tego, co ci ludzie będą robili zaraz. Te metody postępowania, zależności są tak głębokie, że oni się z nich nie mogą wycofać. Będą musieli je prowadzić dalej, jest tylko kwestia tego, jak będą się maskować. Naszym obowiązkiem jako dziennikarzy i obywateli jest patrzeć na ich brudne, czerwone łapska".

▶ 2007 – zdrada w policji, 2023 – sabotaż w wojsku

Tak jak w 2007 roku do obalenia rządów PiS doprowadziły niezdekomunizowana policja i zdrada Janusza Kaczmarka oraz komendanta głównego Konrada Kornatowskiego, tak w 2023 roku do przegranej PiS przyczynił się sabotaż generałów Rajmunda Andrzejczaka i Tomasza Piotrowskiego, którym pozwolono stanąć na czele armii, choć zaczynali bądź służbę w wojsku, bądź studia na uczelni wojskowej w czasach komunizmu. To dymisje generałów pozwoliły opozycji mobilizować elektorat wizją Kaczyńskiego wyprowadzającego wojsko na ulice,

Postkomuniści z SLD, członkowie ugrupowania wspomnianego Włodzimierza Czarzastego, które jest następcą PZPR, czyli moskiewskiej jaczejki rządzącej niegdyś Polską, zawsze pozostaną wyrazicielami interesów ubekistanu. Nie będą też zdolni do konsekwentnie prowadzonej polityki antyrosyjskiej.

czemu mieli przeciwstawić się wspomniani generałowie. Podważono też wizerunek PiS jako ugrupowania skutecznie gwarantującego bezpieczeństwo Polski.

W jakim stanie są dziś komunistyczne aktywa w Polsce? W czasie rządów z lat 2015–2023 PiS w dużym stopniu zdekomunizował państwo, choć w wielu częściach aparatu państwowego nie była to dekomunizacja wystarczająco głęboka. Najtrudniej było z tymi jego strukturami, które w największym stopniu służyły w czasach komunizmu obronie ustroju i zwalczaniu aspiracji niepodległościowych. Czynnikami mocno utrudniającymi ten proces były ogromny rozmiar niektórych z tych struktur oraz fakt, że ich pracownicy mogą być w zaawansowanym wieku, więc dekomunizację spowalnia brak wymiany pokoleniowej.

Najskuteczniej przed oczyszczeniem broniły się sądy, struktura zabetonowana w III RP, liczna, bo zatrudniająca około 10 tys. pracowników, w tym także w zaawansowanym wieku. W policji również nie doszło do głębokiej dekomunizacji. Tu nie sprzyjał jej rozmiar struktury, czyli około 100 tys. pracowników. Sprzyjała natomiast wymiana pokoleniowa. Wojsko postrzegaliśmy jako bardziej zdekomunizowane, głównie za sprawą powołania przez Antoniego Macierewicza Wojsk Obrony Terytorialnej, no-

eprasa.pl eb5d10470b

wej struktury, w pełni niepodległościowej zarówno w sferze symbolicznej, jak i personalnej. Jednak sprawa dwóch generałów dowiodła, że w innych rodzajach wojsk z dekomunizacją było gorzej. Komunistyczny skansen przetrwał także w dużym stopniu na wojskowych uczelniach. Mimo wymiany pokoleniowej, ta ogromna liczebnie struktura nie oczyściła się z dziedzictwa służby Moskwie. W pełni nie oczyściła się też dyplomacja, choć jest strukturą mniejszą niż policja czy wojsko. Odeszło z niej wielu absolwentów MGiMO, pojawiło się wielu nowych ambasadorów, jednak w drugim szeregu komuna często trwała. Kompletnie chybione były nominacje ambasadorów w Moskwie i Kijowie w czasie wojny Rosji z Ukrainą.

▶ Powtórka z rządu Mazowieckiego, czyli resorty siłowe wracają do komunistów

Po spodziewanym objęciu władzy przez nowy rząd, jego celem będzie całkowite podporządkowanie postkomunistycznym układom właśnie tych wymienionych struktur państwowych i wycięcie z nich do zera ludzi myślących patriotycznie i niepodległościowo.

Nie sposób oprzeć się spostrzeżeniu, że w nowym rządzie pod całkowitą kontrolą komunistów i ich wychowanków mają znaleźć się dokładnie te same strategiczne ministerstwa, które pozostawił w 1989 roku w rękach komunistów Tadeusz Mazowiecki. Przypomnijmy, że w rządzie tym szefem MSW został gen. Czesław Kiszczak, a MON – gen. Florian Siwicki. Ministrami spraw zagranicznych i sprawiedliwości zostali politycy zarejestrowani jako tajni współpracownicy SB, czyli Krzysztof Skubiszewski i Aleksander Bentkowski z PSL. Warto dodać, że w rządzie Mazowieckiego znalazł się też Kosiniak-Kamysz, który został ministrem zdrowia, był nim zresztą również wcześniej, w komunistycznym rządzie Mieczysława Rakowskiego. Oczywiście był to ojciec obecnego lidera PSL, natomiast jego wujek Zenon Kosiniak-Kamysz przeskoczył z Polskiej Izby Handlu Zagranicznego do Ambasady RP w Budapeszcie na stanowisko pierwszego sekretarza. Jeśli dodamy, że ministrem w rządzie Mazowieckiego był Artur Balazs, wpływający na negocjacje koalicyjne przy powstawaniu nowego rządu, dopełni to obrazu całości.

▶ Tusk stawia na Rozenka

W kampanii wyborczej w 2023 roku sprawa rozliczenia z komunizmem była obecna, ale nie należała do topowych tematów. Bo tak było wygodniej dla Donalda Tuska, który był w tej kampanii największym obrońcą komunistów, wygrywającym tę rywalizację z Czarzastym, mimo że za tym drugim stała struktura wywodząca się z dawnej PZPR.

Donald Tusk ogłosił w czasie kampanii, że „bardzo wysoko" na listach Koalicji Obywatelskiej będzie poseł Andrzej Rozenek, otwarcie przedstawiający się jako obrońca ubeków i esbeków, walczących o przywrócenie przywilejów emerytalnych, wcześniej zastępca redaktora naczelnego Jerzego Urbana w tygodniku „Nie". Urban nie krył nigdy, że źródłem jego informacji są byli esbecy. Rozenek chwalił się piciem wódki z Władimirem Putinem. Uczestniczył w obradach Klubu Wałdajskiego. O Putinie mówił w „Rzeczpospolitej": „Starałem się obserwować go jako człowieka. Od samego początku skracał dystans. Gdy zaczęliśmy jeść, podano nam przystawkę, z którą wszyscy uczestnicy spotkania męczyli się małymi widelczykami i ganiali to jajko po talerzu. Natomiast Putin wziął je w ręce, co zauważyło większość ludzi, i spowodowało to totalne skrócenie dystansu. Nagle pękła atmosfera związana z tym, że siedzi przy naszym stole premier, bądź co bądź, mocarstwa. Okazało się, że to człowiek z krwi i kości, a nie tylko instytucja". O przyczynach zaproszenia na obrady Klubu Wałdajskiego mówił: „Od zawsze mówię o konieczności bardzo bliskich kontaktów między Polską a Rosją, uważam, że te stosunki powinny być jak najbardziej przyjazne. I być może któraś z tych odpowiedzi dotarła do organizatorów [...], bardzo się cieszę, że zostałem doceniony. Gotów jestem też uwierzyć, że to wyróżnienie spadło na mnie dlatego, że byłem wicenaczelnym »Nie«, którego prorosyjska linia jest znana. A ponieważ wiadomo, że Urban nigdzie nie jeździ, to zaproszono mnie" .

> Dlaczego Tusk jest ważniejszy dla esbeków niż Czarzasty? Otóż jest on postrzegany przez postkomunistów jako narzędzie, któremu więcej wolno także w innych sprawach niż walka Kościołem.

▶ Dlaczego Tusk jest dla esbeków ważniejszy niż Czarzasty?

W czasie spotkania w Siedlcach niejaki „Pan Jan", jak się przedstawił, najpierw stwierdził, że ma na-

eprasa.pl eb5d10470b

dzieję na wygraną Platformy Obywatelskiej. A potem zapytał Donalda Tuska, czy „naprawi" ustawę wprowadzoną przez PiS, tę, która wyrównała emerytury byłych funkcjonariuszy represji i ich ofiar. Jak stwierdził Tusk, nie podoba mu się „pisowski model, który jest ewidentnie odwetem. Jest kompletnie nieracjonalny". Lider PO stwierdził również, że Andrzej Rozenek i Tomasz Siemoniak pracują nad zmianą obowiązujących zasad. „Krzywdy na pewno zostaną naprawione" – spuentował Tusk.

Sławomir Cenckiewicz ujawnił potem, kim jest „Pan Jan", przed którym zobowiązanie złożył Tusk. „Jan Orzyłowski (rocznik 1950) to porucznik bezpieki i partyjniak, a w przeszłości często wyróżniany za gorliwość funkcjonariusz MO i ZOMO w Komendzie Wojewódzkiej MO w Siedlcach (1974–1981), Wydziału IV SB (1981–1984), Wydziału VI SB (1985–1987) i Wydziału II (1987–1990) w KW MO/WUSW w Siedlcach. Zaczynał jako milicjant bez szkoły... Jako że Orzyłowski wyróżniał się gorliwością w służbie i aktywnością w ZSMP i PZPR, to przełożeni postanowili go dokształcić (stąd te dwa fakultety, o których mówił w Siedlcach Tuskowi)… Trafił do pionu IV – antykościelnego, choć mało kto wie, że »czwórka« poza walką z Kościołem zajmowała się też rolnikami… W 1986 roku Orzyłowski awansował na porucznika, a rok później został kontrwywiadowcą w Wydziale II SB w Siedlcach".

Dlaczego Tusk jest ważniejszy dla esbeków niż Czarzasty? Pewne światło na to, dlaczego to on w bardziej bezczelny sposób dopuszcza się zdrady interesów Polski, rzuca wywiad Aleksandra Kwaśniewskiego z 2 lutego 2008 roku dla „Krytyki Politycznej", w którym mówił on: „Jeżeli mówić o największych błędach Tuska, to polegają one właśnie na tym, że nie postawił sobie neutralności światopoglądowej państwa jako jasnego celu. On może zrobić więcej, aniżeli my – jak to mówicie – postkomuniści mogliśmy. My byliśmy cały czas w cieniu oficjalnego, państwowego antykatolicyzmu czy antyklerykalizmu, który obowiązywał w latach PRL-u, więc nasze pole manewru było ograniczone. Poza tym w Watykanie był Jan Paweł II". Otóż Tusk postrzegany jest przez postkomunistów jako narzędzie, któremu więcej wolno także w innych sprawach niż walka Kościołem.

▶ Skrajnie prorosyjskie PSL. Mało znana twarz stronnictwa

Ugrupowaniem, które jest postkomunistyczne praktycznie w 100 procentach, jest paradoksalnie Trzecia Droga. O tym, czym jest Trzecia Droga, powiedział Jarosław Kaczyński w czasie spotkania Klubów „Gazety Polskiej": „Czy było wynikiem tego, że pewien prezenter telewizyjny wpadł na taki pomysł? Czy może czegoś głębszego? Czy generałowie, którzy się tam znaleźli, polubili tego człowieka? Czy może głębsze są tego przyczyny? Sądzę, że ta druga strona szuka pewnego narzędzia i ciągle ma nadzieję, że ten ukształtowany system polityczny w Polsce można doprowadzić do stanu takiego, jaki w przekonaniu Moskwy być powinien".

Środowiska, które stoją za Trzecią Drogą, były w III RP skrajnie prorosyjskie. Taką partią było przez wszystkie lata PSL, kontynuacja ZSL, którego przedstawiciele tradycyjnie pełnili kierownicze funkcje w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Najbardziej wyrazistym tego wyrazem był rzecz jasna kontrakt gazowy podpisany przez Waldemara Pawlaka.

Dodajmy, że po 34 latach III RP najbardziej wpływowi w PSL są działacze Związku Młodzieży Wiejskiej z lat 80., a ZMW była o wiele silniej związana z postkomunizmem niż ZSL. ZMW błędnie wspomina się dziś często jako młodzieżówkę ZSL. W rzeczywistości ugrupowanie to zrzeszało zarówno młodych działaczy PZPR, jak i ZSL, z tym że silniejsi byli w niej przedstawiciele siły przewodniej. W latach 80. członkami PZPR byli trzej kolejni szefowie ZMW: Waldemar Świrgoń – sekretarz KC PZPR od 1982 roku, a dziś redaktor naczelny „Chłopskiej Drogi"; Leszek Leśniak oraz Jerzy Głuszyński, dawniej członek Komisji Ideologicznej KC PZPR, a dziś członek zarządu ośrodka badania opinii publicznej Pentor. ZMW znane też było ze znakomitych kontaktów w ZSRS. Dochodziło do zaskakujących sytuacji, gdy o Agrotechnice – pionierskiej spółce nomenklaturowej ZMW – źle pisano w prasie PRL, zaś wychwalały ją „Izwiestia" czy „Komsomolska Prawda".

W III RP mieliśmy kontynuację tej orientacji. Prorosyjscy byli związani z PSL dyplomaci. Klinicznym przypadkiem jest tu Tadeusz Samborski, 78-letni polityk PSL, który w przeszłości studiował w Moskwie. W drugiej połowie lat 80. jako korespondent „Zielonego Sztandaru" wyjechał do Moskwy. Jego pobyt w stolicy Związku Sowieckiego zaowocował serią artykułów prasowych oraz pracą doktorską, którą obronił na Uniwersytecie im. Łomonosowa w Katedrze Historii Słowian. W III RP Samborski był wiceprzewodniczącym Stowarzyszenia Współpracy Polska Wschód, będącego następcą Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Bywał na bankietach w rosyjskiej ambasadzie i ma dobre relacje z ambasadorem Siergiejem Andrejewem, zorganizował również Festiwal Romansu Polsko-Rosyjskiego. Samborski od lat współpracuje z tygodnikiem „Myśl Pol-

eprasa.pl eb5d10470b

ska". Na jego łamach publikowane są teksty choćby oskarżonego o szpiegostwo Mateusza Piskorskiego.

▶ Mirosław Różański, czyli nowy Florian Siwicki

Także lider Trzeciej Drogi Szymon Hołownia jest wieloletnim pracownikiem skrajnie prorosyjskiej telewizji TVN, z największym nasileniem zajmującej się tuszowaniem prawdy o zamachu w Smoleńsku.

Zaś jego głównym specjalistą od bezpieczeństwa został Mirosław Różański, który był dowódcą kompanii w czasie manewrów „Przyjaźń" z Armią Czerwoną, zaś w czasach resetu i późniejszych przeciwstawiał się przemieszczaniu polskich jednostek wojskowych bliżej wschodniej granicy. W czasie ataku na polską granicę wystąpił w filmiku razem z Janiną Ochojską i Mają Ostaszewską. Ochojska bredziła o ginących ludziach, choć o ich zakopywaniu przez leśników jeszcze nie było mowy, z kolei Różański jej wtórował: „Żołnierzu, kiedy wypowiadałeś słowa roty przysięgi wojskowej, przysięgałeś bronić jej niepodległości i granic, ale również przyrzekałeś strzec konstytucji… Ludzie będą pytać, czy wykonałeś swoje zadanie właściwie. Ale wtedy już nie będzie polityków. Zostaniesz sam".

W czasie rządów z lat 2015–2023 PiS w dużym stopniu zdekomunizował państwo, choć w wielu częściach aparatu państwowego niewystarczająco głęboko. Najtrudniej było z tymi jego strukturami, które w największym stopniu służyły w czasach komunizmu obronie ustroju i zwalczaniu aspiracji niepodległościowych.

▶ Na Lewicy postkomuna silniejsza do partii Razem

Postkomuniści z SLD, członkowie ugrupowania wspomnianego Włodzimierza Czarzastego, które jest następcą PZPR, czyli moskiewskiej jaczejki rządzącej niegdyś Polską, zawsze pozostaną wyrazicielami interesów ubekistanu. Nie będą też zdolni do konsekwentnie prowadzonej polityki antyrosyjskiej. To, jak wyglądały rządy z udziałem SLD w III RP, w pełni potwierdza tę tezę, czego najbardziej drastycznym dowodem jest zniszczenie przez Leszka Millera szans na dywersyfikację dostaw gazu do Polski poprzez zaniechanie budowy gazociągu Baltic Pipe. Dziś postkomuniści współtworzą ugrupowanie Nowa Lewica.

W ramach Lewicy działa też partia Razem Adriana Zandberga, która jest radykalnie lewicowa, ale nie brała udziału w powstawaniu postkomunistycznej oligarchii. W czasie napaści na Ukrainę Zandberg życzył powodzenia Jarosławowi Kaczyńskiemu i Mateuszowi Morawieckiemu w czasie ich ryzykownej misji w Kijowie. Środowisko partii Razem w początkach swej działalności mówiło o tym, że postkomuniści nie są żadną lewicą. W 2015 roku wystartowało samodzielnie w wyborach parlamentarnych, w wyniku czego postkomuniści nie dostali się do Sejmu.

Dziś Razem współtworzy Lewicę z postkomunistami, wciąż będąc słabszym partnerem. W Sejmie w ramach klubu Lewicy znalazło się 19 posłów Nowej Lewicy i 7 z partii Razem. Razem słabo akcentuje dziś swą odmienność od postkomunistów i wspiera ich w sprawie przywrócenia przywilejów komunistycznych oprawców. Jej posłowie zaczęli nawet mówić o poparciu postulatu Czarzastego dotyczącego likwidacji IPN, co oznacza, że *de facto* zlewa się ona z postkomunistami. Ci nie chcą IPN, bo mają na swym koncie zbrodnie i wysługiwanie się Moskwie. Razem, która nie ma takich obciążeń, gdyby chciała prowadzić niepodległościową politykę, powinna wspierać istnienie IPN, zabiegając, by w ramach instytutu bardziej doceniano dziedzictwo Ignacego Daszyńskiego, PPS, lewicy robotniczej, związkowej itp. Niestety, interesy postkomunistów okazują się dla Razem ważniejsze.

Marne są też nadzieje, że Razem przeciwstawi się tendencjom odbierającym Polsce szanse na realną niepodległość. Antyrosyjskość nie będzie dla Lewicy, będącej najmniejszym z klubów wspierających przyszły rząd, priorytetem. I wielce prawdopodobne, że uzyskawszy możliwość realizacji postulatów ideologicznych, na przykład dotyczących środowiska LGBT czy socjalnych, na których zależy Razem, tematykę zwrotu w polityce zagranicznej Lewica sobie odpuści. Postkomuniści przyjmą nowy reset entuzjastycznie, Razem bez entuzjazmu, ale nie będzie się w tej sprawie wychylać przed szereg. ■

eprasa.pl eb5d10470b



Ryszard Czarnecki

Przystań dla towarzyszy

Od kilkunastu lat formacja Donalda Tuska świadomie sięga do kadr PZPR, nie mówiąc już o SLD.

Obóz internacjonalistyczny w walce z obozem patriotycznym uznał, że musi poszerzyć swoje zaplecze, a także ścisłą kadrę o dawnych komuchów oraz współpracowników SB – bo będzie wtedy bardziej skuteczny. Nie było to trudne, bo przecież „antypisizm" łączy liberałów od Hołowni i Tuska, sieroty po AWS, które znalazły się w PO, a także działaczy lewicy, w tym zasłużonych aktywistów PZPR. Stąd opozycja wprost domagała się przywrócenia emerytur funkcjonariuszom SB. Mechanizm był prosty: robić wszystko na opak, co robi PiS. Jednak sprawa jest głębsza niż tylko „antypisizm". Oto bowiem od kilkunastu lat formacja Donalda Tuska świadomie sięga do kadr PZPR, nie mówiąc już o SLD (to też). Każdy w tym kontekście wymienia pułkownika Adama Mazgułę, który tłumaczył, że stan wojenny był „OK", i negował „ścieżki zdrowia", a który nie tylko wspierał KOD, lecz także zaangażował się w kampanię wyborczą PO na Opolszczyźnie, skądinąd dając w Polskim Radiu Opole publiczny pokaz wyjątkowej agresji i szczególnego chamstwa. Jednak ten chwalca stanu wojennego to wierzchołek góry lodowej. Mechanizm promujący niegdyś funkcyjnych działaczy PZPR to w „demokratycznej partii" PO norma. Przecież formacja ta wsparła najpierw na sędziego Trybunału Konstytucyjnego, a potem na Rzecznika Praw Obywatelskich drugiego sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej (POP) PZPR w Instytucie Profilaktyki Społecznej i resocjalizacji UW Andrzeja Rzeplińskiego.

To właśnie przy parlamentarzystach PO olbrzymią robotę wykonały sądy lustracyjne, które nagminnie wydawały wyroki, że posłowie tej partii złożyli jednak prawdziwe oświadczenia lustracyjne. Tak było w przypadku posła z Konina Tomasza Nowaka, zarejestrowanego tuż przed upadkiem komuny 1 marca 1989 roku(!), jako kontakt operacyjny SB (ps. „Aktor"). Tak samo było w przypadku senatora PO Zbigniewa Pawłowicza, którego zarejestrowano w 1977 roku jako TW Wojskowej Służby Wewnętrznej, czyli kontrwywiadu PRL (ps. „Pawlik"). Innego senatora PO Marka Konopkę zarejestrowano również jako tajnego współpracownika kontrwywiadu PRL (ps. „Marzena"). Byłego ministra z ramienia PO, posła i europosła tej partii Michała Boniego (ps. „Znak") Antoni Macierewicz umieścił na swojej liście. Boni początkowo zaprzeczał, a w końcu w 2007 roku przyznał się do podpisania współpracy z SB.

Jeden z tenorów – założycieli PO Andrzej Olechowski – jako jeden z nielicznych polityków tej formacji przyznał się do współpracy ze służbami specjalnymi RP. Ujawniono, że współpracował – jako agent o pseudonimie „Must" – z departamentem I MSW. O przynależności do PZPR nawet nie wspomnę.

Iwona Śledzińska-Katarasińska, której po wielu latach obecności w Sejmie (1991–2023) nie wybrano jednak ponownie w okręgu łódzkim, w swoim czasie pracowała w „Głosie Robotniczym" – organie łódzkiej PZPR. Barbara Kudrycka, która w rządzie Donalda Tuska sprawowała funkcję ministra nauki i szkolnictwa wyższego, należała do PZPR w latach 70. Ale nic to w porównaniu z innym posłem PO Marianem Czerwińskim, który wcześniej był posłem z… listy PZPR! Z takim bogatym doświadczeniem został też przewodniczącym PO w powiecie Dębica. Innym baronem, tyle że wojewódzkim, był szef struktur PO na Opolszczyźnie, niegdyś w PZPR Leszek Korzeniowski. To doprawdy „mały Pikuś", jeśli się weźmie innego byłego posła na Sejm PRL, już w latach 1980–1985: Karol Węglarzy do PO należy od roku 2001, sprawował też funkcję radnego Sejmiku Śląskiego z ramienia PO.

Wiceminister Obrony Narodowej w gabinecie Tuska Maria Wągrowska nagle odeszła z resortu. Miało to nastąpić natychmiast po tym, jak w IPN znaleziono jej teczkę – tak przynajmniej pisała… związana z lewicą „Trybuna".

To tylko wierzchołek góry lodowej. „Kadry są wszystkim" – mówi stare polskie powiedzenie, ale można też w tym kontekście strawestować inne nasze porzekadło: „Pokaż mi swoje kadry – a powiem ci, kim jesteś". ■

eprasa.pl eb5d10470b

niezależna.pl

#BądźNaBieżąco







Jakub Augustyn Maciejewski

BLIŻSZY NARÓD NIŻ LUDZKOŚĆ

Zygmunt Balicki był jednym z pierwszych ważnych polskich socjologów, choć zupełnie zapomnianych przez swoje polityczne poglądy i cenzury późniejszych dekad. Tymczasem jego pojęcie „etyki narodowej" jest dobrą odtrutką na dzisiejsze postępowe trendy.

eprasa.pl eb5d10470b



ILUSTRACJA RAFAŁ ZAWISTOWSKI

eprasa.pl eb5d10470b

Jest wiele powodów, by do Balickiego się zniechęcić. Wyrosły w II połowie XIX wieku (ur. w 1858 roku w Lublinie), zaczerpnął wiele naukowych założeń swojej epoki – był wielkim zwolennikiem pozytywizmu i spenceryzmu, który ma sporo cech społecznego darwinizmu. Dziś postrzeganie społeczeństwa pod kątem utylitarnym, na zasadzie, co jest potrzebne i korzystne, a co szkodliwe, może brzmieć niehumanitarnie, a czasem nieludzko, Balicki też rzadko odwołuje się do chrześcijaństwa, choć był przez dorosłe życie silnie związany z prawicową Narodową Demokracją. A jednak w świecie XXI wieku wydarzyło się z narodami Zachodu wszystko to, przed czym przestrzegał – ludzie oszaleli na punkcie pozornego altruizmu i naprawiania świata, sami stając się nieporadnymi i naiwnymi narzędziami w rękach silniejszych. Ale skoro socjolog przewidział istnienie takiej choroby, to może i jego lekarstwo dzisiaj zadziała?

Od socjalisty do endeka

Jego droga życiowa jest o tyle ważna, że przekonuje do uznania go za dobrze zaznajomionego z ideologiami swojej epoki. Po szkole w Lublinie Balicki pojechał studiować prawo w Petersburgu, gdzie szybko zaangażował się w ruchy socjalistyczne tak silnie tłumione przez władze carskiej Rosji. W 1881 roku prowokatorzy z tajnej policji rozbili tamtejsze gminy socjalistyczne i Balicki musiał opuścić Rosję. Udał się do Lwowa, gdzie szybko dzięki swojej erudycji i talentom zarówno organizatorskim, jak i logicznym wywodom został przywódcą tamtejszych socjalistów. Tym razem zainteresowała się nim policja austriacka, więc zbiegł do Krakowa, gdzie został ostatecznie aresztowany. Został co prawda szybko zwolniony, ale nie było dla niego już swobodnego miejsca w rozebranym przez mocarstwa kraju – przez Rumunię wyjechał do Włoch, a potem do Szwajcarii, gdzie związał się z tamtejszą polską diasporą oraz międzynarodowymi ruchami socjalistycznymi. Tam też poznał swoją późniejszą żonę – Gabrielę Iwanowską, a także zaprzyjaźnił się z mentorem polskich socjalistów – Bolesławem Limanowskim. I oto gdy w spokojnej Szwajcarii znalazł warunki do intelektualnego rozwoju, zrobił doktorat na temat idei państwa, a także w ramach pewnej mody i z chęci poznania nowego środowiska wstąpił do masonerii, jego myśl zaczęła ewoluować i zrażać się do socjalizmu. Bo jakże to – myśleć o ludzkości, a nie o najbliższej wspólnocie?

Szwajcaria była wówczas przystanią dla uciekinierów i politycznych wyrzutków całego świata – spiskowali tam socjaliści, komuniści (z Leninem włącznie), późniejsi faszyści, szpiedzy wszystkich stolic tropili swoich rewolucjonistów i doprawdy w Genewie można było poznać przedstawiciela absolutnie każdej idei politycznej tamtego okresu. Tam też Balicki poznał wąsatego polskiego szlachcica, autora popularnych powieści, powstańca styczniowego i konspiratora – Zygmunta Miłkowskiego. Ten nie był jakimś wielkim teoretykiem, lecz był człowiekiem czynu, publicystą, a nade wszystko szalenie kochał Polskę. Gdy wybuchło powstanie 1863 roku, Miłkowski w Turcji zebrał Polaków i ruszył do ojczyzny przez Rumunię. Odbyła się wtedy najdziwniejsza bitwa powstania – oto w zrywie Polaków przeciwko Rosjanom, Miłkowski musiał stoczyć walkę z... Rumunami. Starcie wygrał, po czym... poddał się. Nie było sensu przedzierać się przez kraj przestraszonych konsekwencjami marszu Rumunów i narażać młode państwo na rosyjskie represje. Miłkowski wyjechał do Szwajcarii, stając się ważną postacią przyciągającą do siebie swoją polskością. Balickiemu ten patriotyzm imponował, zwłaszcza że był połączony z konkretną codzienną pracą – organizowaniem „skarbu narodowego", czyli budżetu nieistniejącego państwa. I tak oto racjonalny do bólu socjolog stawał się powoli działaczem założonej przez Miłkowskiego Ligi Polskiej i jej młodzieżowej przybudówki: Zetu. W tym samym czasie do swojego grona przyjął go Międzynarodowy Instytut Socjologiczny. Balicki był tam pierwszym Polakiem, a więc pierwszym uznanym socjologiem polskim. Prawnik, socjolog, naukowiec, były socjalista, a wówczas już działacz społeczny i narodowy, dojrzewał do zebrania swoich refleksji i wyłożenia ich w politycznych pismach.

Sztandarowy tekst

Jedną z jego najsłynniejszych prac, wówczas szeroko czytaną i omawianą w kręgach patriotycznych w kraju i za granicą, było dziełko „Egoizm narodowy wobec etyki". Tytuł okazał się wysoce niefortunny, bo później zaczął być kojarzony z nieusprawiedliwioną dychotomią: że oto Polacy mieli wybierać między egoizmem narodowym a etyką, że nacjonalizm miał kłócić się ze szlachetnością. Nic bardziej mylnego! Socjolog właśnie uznawał, że etyka i wspieranie drugiego człowieka może się odnaleźć tylko we wspólnocie narodowej, a w doktrynach liberalnych i socjalistycznych jest złudna i prowadzi do odwrotnych skut-

eprasa.pl eb5d10470b

ków. Jak podsumował poglądy Balickiego badacz jego pism Piotr Koryś, liberalizm miał być „utopijny i doktrynerski, odwołujący się do abstrakcyjnych i niezrozumiałych bez kontekstu kulturowego i społecznego pojęć, takich jak wolność, ludzkość czy sprawiedliwość". Balicki przyglądał się „imperatywowi kategorycznemu" Immanuela Kanta, który tym pojęciem chciał odróżniać dobro od zła.

Autor „Egoizmu narodowego..." (znowuż brzmienie tego tytułu!) proponował jednak ograniczenie imperatywu kategorycznego do kategorii nie ogólnoludzkiej, a ogólnonarodowej. W swojej pracy wytłumaczył to na przykładzie darowania długu. Gdyby wierzyciele na całym świecie darowywali długi, może byłoby to szlachetne i wyzbyło ludzi z biedy, ale jest to idea abstrakcyjna i nie do zweryfikowania. Tymczasem gest anulowania kredytu we wspólnocie narodowej się zdarzał (starożytni Grecy nawet mieli taką instytucję „strząśnięcia długów"), a i miał konkretne, pozafinansowe, konsekwencje.

„Darowanie należności lekkomyślnemu dłużnikowi utrwala tylko jego lekkomyślność, rozluźnia w nim poczucie obowiązku i odpowiedzialności i uczy żyć z dnia na dzień kosztem otoczenia. Z drugiej strony, zbyt pochopnych ofiarodawców doprowadza do zaniku poczucia własnego prawa i robi z nich ludzi, gotowych za wszelką cenę okupić sobie spokój i nienarażanie się innym, inaczej mówiąc, pozbawia ich charakteru" – pisał Balicki. Bierzemy więc taki imperatyw kategoryczny Kanta i nie pytamy, jakie skutki miałoby nasze poczynanie dla całej ludzkości (gdyby było powszechne), ale dla naszego narodu.

Czyniąc więc jakąś rzecz z konsekwencjami dla innych ludzi, warto zapytać, co to przyniesie swojemu narodowi. Wpuszczać nielegalnych imigrantów? Gdy spytamy o ludzkość – zabrzmi to szlachetnie, ale gdy spytamy w kontekście własnego kraju, dobrem będzie obrona właśnie najbliższych, sąsiadów, rodaków. W ten sposób Balicki stawał się teoretykiem polskiego nacjonalizmu, ale przecież rozumianego nie jako szowinizm, tylko jako patrzenie na świat przez pryzmat własnej wspólnoty. Balicki nie namawiał do wrogości wobec innych, on jednak stanowczo zwalczał fałszywy altruizm. To, co dziś nazywamy lewackim aktywizmem, socjolog nazwałby z pewnością „przesadnym altruizmem", który jest jak postawa młodego idealisty, który oddaje nawet swoją ostatnią koszulę, ale potem sam pozostaje w biedzie i sam potrzebuje pomocy. „Altruizm bezwzględny, przyjęty w pewnym środowisku jako powszechny nakaz moralny, wytwarza położenie w najwyższym stopniu nienormalne: każdy myśli o innych, inni zaś myślą o nim" – pisał narodowy demokrata, a potem komentował to bardziej publicystycznie: „Bohaterowie altruzimu? Nie, raczej jego sybaryci!". Z politowaniem patrzył na te aktywizmy, widząc w nich spektakle i zabawy, a nie realną pomoc. Aż dziś trudno się oprzeć skojarzeniom z egzaltowanymi kobietami chcącymi pomagać Ibrahimom i Ahmedom cynicznie opłacającym służby Łukaszenki, by przez granicę polsko-białoruską udać się do Europy. Dalej Balicki pisze o takich aktywistach: „W takim środowisku największego altruistę poznaje się często po tym, że najwięcej musi przyjmować od innych". Gdybyż mógł wiedzieć, że 120 lat później w internecie powstaną całe programy do wpłacania pieniędzy „na zbiórkę" dla takich „altruistów", by móc im finansować i działalność, i przeżycie.

> Uczony uznawał trzy drogi rozwoju społeczeństw europejskich: socjalistyczną, liberalną i narodową.

Jednostka w socjalizmie i liberalizmie

Ale nie tylko troska o własną wspólnotę kierowała Balickim w definiowaniu potrzeb i etyki narodowej. Uczony uznawał trzy drogi rozwoju społeczeństw europejskich: socjalistyczną, liberalną i narodową. Koryś streścił to następująco: „Balicki swoje poglądy prezentował często również za pomocą przeciwieństw: nacjonalizm przeciwstawiał socjalizmowi [...], demokratyzm – liberalizmowi, egoizm narodowy – egoizmowi indywidualnemu,

eprasa.pl eb5d10470b

a narodową etykę idei – kosmopolitycznej etyce ideałów". Irytowało socjologa to, że socjaliści chcą zbawiać ludzkość, a nienawidzili zwykłego człowieka obok, a liberałowie chcieli zbawiać tylko siebie jako indywidualną jednostkę. Z tego powodu uważał socjalizm i liberalizm za dwie strony tego samego medalu.

Nacjonalizm miał być drogą uwzględniającą nie tylko położenie człowieka – z jego tożsamością (ja, część narodu polskiego), ale i dobra innych (rodaków) oraz dalej – reszty ludzkości (Polska jako część społeczności międzynarodowej). To między innymi z tego powodu dziś ocenia się prymasa Stefana Wyszyńskiego jako dziedzica „ruchu narodowego", bo nazywał on naród „rodziną rodzin", czyli podobnie jak nacjonaliści uznawał gradację i hierarchię ważności: rodzina – naród – cywilizacja – ludzkość. U Wyszyńskiego było to jednak spowodowane chrześcijańskim miłosierdziem, a u Balickiego – spenceryzmem, czyli wyglądało to tak, że naród jest niczym gatunek zwierzęcia, które chce przetrwać, więc kształtuje w sobie cechy dobre, a stara się usunąć te złe – a robić to ma przez ciężką pracę formacyjną. I znowu – należy to robić we wspólnocie, z innymi, nie zaś samemu. Socjolog był przekonany, że „charaktery wyrabiają się tylko w pracy twórczej, w działaniu na zewnątrz, w walce, w pokonywaniu przeciwności. Życie zamknięte w sobie, bierne, pozbawione pola działania, sprzyjać może czasem jednostronnemu rozwojowi myśli oderwanej od ezgaltacji uczuć moralnych, ale zawsze z uszczerbkiem harmonijnego i silnego rozwoju indywidualności". W tym rozumieniu nie ma stłumienia jednostki, jest wręcz jej podkreślenie przez nadanie mu więzi i kontekstu (roli w społeczeństwie). Później faszyzm i nazizm uznały, że tę indywidualność należy stłumić na rzecz nacji, ale u Balickiego sprawa jest dokładnie odwrotna – to nasze dobro i rozwój we współpracy z innymi determinują pomyślność narodu, nie odwrotnie. „Podniesiony do wysokości etycznego sztandaru, naród nie staje się przez to celem, zdolnym wszelkie środki uświęcić; stanowi on tylko sumienie człowieka obywatela" – przekonywał Balicki. Była to też tarcza na wszelkie szantaże moralne, którymi dziś karmią nas fani „Zielonej granicy" Agnieszki Holland, którzy nakazują nam poświęcić własne bezpieczeństwo na rzecz altruizmu dla obcych.

▶ Egoizm narodowy wobec lewactwa

Wszystkie te rozważania powracają do nas w kontekście lewicowych szaleństw współczesnego Zachodu. W 2017 roku niemiecki publicysta Alexander Grau wydał pracę zatytułowaną „Hipermoralność", w której opisał takie właśnie podejście do świata – wyśrubowanie altruizmu i ofiarności do tego stopnia, że przez pomoc innym zatracamy siebie, że stawiamy sobie tak nierealne wzorce wsparcia czy wręcz zbawienia całego świa-

NACJONALIZM MIAŁ BYĆ DROGĄ UWZGLĘDNIAJĄCĄ NIE TYLKO POŁOŻENIE CZŁOWIEKA – Z JEGO TOŻSAMOŚCIĄ (JA, CZĘŚĆ NARODU POLSKIEGO), ALE I DOBRA INNYCH (RODAKÓW) ORAZ DALEJ – RESZTY LUDZKOŚCI (POLSKA JAKO CZĘŚĆ SPOŁECZNOŚCI MIĘDZYNARODOWEJ).

ta, że nabieramy tendencji autodestrukcyjnych. Chcemy ochłodzić klimat, zrehabilitować się Murzynom za kolonializm, Arabom za wyzysk, gejom za homofobię, kobietom za patriarchat itd. itp. I w tym niby etycznym świecie ma dojść do naprawy relacji, gdy dzieje się dokładnie odwrotnie. I właśnie wobec takiej etyki występował ze swoim „egoizmem narodowym" Zygmunt Balicki.

Dochodzi tu jednak jeszcze inny kontekst – dziś słabo przez nas rozumiany. Balicki pisał w warunkach nieistnienia Polski na mapie, gdy wzmacniać naród trzeba było bez administracji, a raczej wbrew niej, wbrew represjom, zsyłkom na Sybir, cenzurze i wynaradawianiu. I właśnie ta idea patrzenia na relacje międzyludzkie i ofiarność przez pryzmat narodu okazała się bardzo atrakcyjna dla Polaków, którzy nie mieli własnego państwa – przecież Narodowa Demokracja była, obok ruchu ludowego, najliczniejszą polską grupą polityczną pod zaborami. Można było więc rozwijać naród bez państwa, to dawało nadzieję, to po prostu działało. Choć lepiej, byśmy my nie musieli korzystać z porad Balickiego w takich warunkach... ■

eprasa.pl eb5d10470b

Małgorzata Matuszak

Czym jest... upamiętnienie

Wszystko, co ważne, ale, co należy już do przeszłości, wymaga od nas upamiętnienia. Człowiek jako istota żyjąca w czasie zapamiętuje wydarzenia z przeszłości i dzięki temu może żyć tym, co przeszłe, również w teraźniejszości. W ten sposób mając poczucie czasu i jednocześnie ważności tego, co było, może upamiętnić swoją przeszłość. Upamiętnianie jest utrwalaniem przeszłości w teraźniejszości, poprzez czyny, znaki i rytuały.

Upamiętniamy wszystko, co niesie z przeszłości dla nas wartość, a więc wydarzenia, ludzi oraz związane z nimi historie. Człowiek upamiętnia wiedząc, że jego pamięć jest nietrwała, a życie przemija wraz z nim. Jedną z form „zachowania" jest opowieść. Opowiadając sobie historie, czy to faktycznie zaistniałe, czy to mitologiczne, ludzie przekazywali sobie wiedzę o własnych początkach indywidualnych i zbiorowych. Formą upamiętnienia może być literatura, mogą nią być inne wytwory ludzkiej kultury. Wszystko, co ma charakter pamiątki, jest formą zapamiętania ważnych dla nas ludzi i wydarzeń. Dawna sztuka, jak choćby malarstwo, miała na celu „ocalenie" sławnych postaci czy wydarzeń z historii danego narodu, podobnie pomniki. Także fotografia została wynaleziona w celu „zatrzymania czasu". Obraz fotograficzny, tak dziś powszechny, początkowo był rzadką okazją do upamiętnienia ważnych wydarzeń z życia rodzinnego, utrwalenia twarzy ludzi bliskich czy sławnych postaci historycznych.

Powszechnie znaną formą upamiętnienia są święta. W święto zmarłych przychodzimy na cmentarz, aby w ten szczególny dzień w roku wspominać drogich nam ludzi, których już nie ma z nami. Zapalając im świecę wiemy, że to, co minęło, nie gaśnie, ale odradza się jak ogień i trwa w wieczności. Chcemy uczcić tych, którzy są dla nas ważni, pomimo że już odeszli, i oddać cześć temu, co było istotne w przeszłości. Upamiętnianie jest właśnie formą oddania czci temu, co żyje w naszej pamięci.

W upamiętnianiu chodzi o utrwalenie, jednak nie całej przeszłości, tylko tego, co dla nas wyjątkowo ważne, co chcemy pamiętać na zawsze i pokazać światu jako godne zapamiętania. Możemy „celebrować" zarówno wydarzenia wyjątkowo piękne, jak i te pełne grozy. Jedne dlatego, że stanowią dla nas wartość i nadają sens naszemu życiu i naszej historii, drugie jak historie wojen czy masakr ludności po to, by były dla nas przestrogą i by pamięć o ich ofiarach wciąż trwała. W ten sposób czcimy to, co trwa w naszej pamięci, nadając ciągłość naszej historii, indywidualnej i zbiorowej.

Upamiętnianie bierze się z jednej strony z poczucia nietrwałości życia, a raczej obawy przed nią, i jednocześnie z potrzeby ocalania przed przemijaniem. Jest w tym coś z dawania świadectwa czasom, w których żyliśmy, bycia świadkiem własnego życia i życia narodu, który nas wydał na świat. Pamięć może być zawodna, ale ma swoje wsparcie w postaci form, w których zapamiętujemy zdarzenia i ludzi. Obchodzimy święta na pamiątkę ważnych wydarzeń, aby je symbolicznie powtórzyć. W ten sposób upamiętniamy w naszej świadomości naszą kulturę oraz historię.

Rytuał jest również jakąś formą upamiętnienia, powtarzamy bowiem w nim to, co było, w tej samej postaci, jeszcze raz, aby przywołać ten święty czas, w którym miały miejsce ważne i święte zdarzenie. Życie w czasie i w historii, gdzie wszystko jest jednorazowe, skazuje nas niejako na to, że aby zachować własną tożsamość narodową, rodową i osobistą, musimy upamiętniać życie swoje i innych ludzi. W ten sposób to, co jest przeszłością, trwa w naszej pamięci, której przedłużeniem są wszystkie formy upamiętnienia. Być może całość naszej kultury w jakiś sposób wypływa z tego, że żyjemy w czasie, tu i teraz, ale potrzebujemy i pragniemy, by to, co dla nas ważne, trwało wiecznie, mimo faktu naszej śmiertelności.

Pamięć może trwać w różnych formach, dlatego też i upamiętnianie może przybierać różne postaci. Każdorazowo jednak pamiątka jest darem naszej pamięci o tym, co było ważne – dla nas, dla narodu, dla świata. ■

eprasa.pl eb5d10470b



Jurij Szczerbak

Święto wielkiej krwi dla putina

Swoim niesprowokowanym atakiem na Ukrainę na dużą skalę putin i podwładni mu ludzie („niewolnicy, podnóżki, błoto Moskwy" – Taras Szewczenko) otworzyli puszkę Pandory, niszcząc międzynarodowy system bezpieczeństwa, zachęcając reżimy dyktatorskie do wszelkiego rodzaju przygód militarnych, siejąc chaos na świecie, podsycając nienawiść do Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników.

eprasa.pl eb5d10470b

7 października 2023 roku ogólnorosyjski dyktator putin – czyli główny historyk, filozof, cieśla, tragarz, badacz, playboy, lotnik, ojciec narodów, a w istocie zbrodniarz wojenny, morderca, sadysta i łotr – obchodził kolejne urodziny. Naród wybrany przez Boga klękał przed nim pokornie, trzymając w rękach portrety Stepana Bandery, myśląc, że są to ikony z boskim obliczem samego władimira władimirowicza.

Właśnie tego dnia – w sobotę 7 października– w pustynnym i gorącym zakątku Bliskiego Wschodu, Putin otrzymał na urodziny cenny i oczekiwany prezent: terroryści z organizacji Hamas, będącej właścicielem Strefy Gazy, rozpoczęli wojnę przeciwko Izraelowi, zabili setki cywilów – dzieci, kobiety, młodych i starców – dopuściwszy się niespotykanej ludobójczej zbrodni, która przypomniała ludzkości najciemniejsze czasy nazistowskiego Holocaustu.

Władca rosji putin przyjął krwawy podarunek z radością: w końcu „kwestia żydowska" w jej hitlerowskim rozumieniu jest dziś bardzo niepokojąca dla dyktatora – podobnie jak „kwestia ukraińska i polska".

Tradycja krwawych prezentów dla Putina rozpoczęła się siedemnaście lat temu, kiedy 7 października 2006 roku zamordowana została słynna rosyjska obrończyni praw człowieka Anna Politkowska, pochodząca z ukraińskiej rodziny o słynnym nazwisku Mazepa. Od tego czasu apetyty kremlowskiego paranoika wzrosły niepomiernie: swoje ostatnie urodziny obchodzi na górze trupów.

Po Czeczenach, Gruzinach, Syryjczykach i Ukraińcach na świąteczny stół putina zostali ułożeni Izraelczycy.

Dobro jest nie do pogodzenia z faszyzmem

Wciąż będąc pod strasznym wrażeniem masowego mordu dokonanego przez rosyjskich agresorów na mieszkańcach wsi Groza w obwodzie charkowskim, w sobotę 7 października 2023 roku pogrążyłem się w nowej tragedii, która wybuchła w Izraelu: przez kilka nie oderwałem się od 9. kanału izraelskiej telewizji i innych źródeł informacji, będąc świadkiem szalonych scen morderstw, przemocy, rozpaczy, strachu i zamętu. Z godziny na godzinę, z dnia na dzień liczba ofiar wśród ludności cywilnej szybko rosła: od pierwszych szacunków mówiących o 50 zabitych do oficjalnie potwierdzonych 1300 zabitych i ponad 3000 rannych. A to nie są ostateczne liczby.

O nowej jakości tej wojny miałem już pisać w związku z inwazją rosji na Ukrainę: jej bezprecedensowo otwartym, udokumentowanym charakterze, relacjonowaniem wydarzeń on-line. Nie są to ryciny z pisma „Niva" z 1914 roku ani czarno-białe fotografie i materiały dokumentalno-filmowe z lat 1939–1945, ale wytwór setek tysięcy smartfonów, kamer monitoringu w domach i na ulicach, kamer na hełmach wojskowych i w samochodach, rejestrujących wydarzenia. To możliwość błyskawicznej dystrybucji dowolnej informacji w globalnej sieci. I dlatego obrzydliwe zbrodnie terrorystów Hamasu, zamieszczane przez nich w sieci, natychmiast stały się własnością milionów ludzi, którzy wzdrygnęli się na widok tego, co zobaczyli – bo nawet NKWD w Ukrainie czy esesmani w Polsce nie afiszowali się ze swoją krwawą przemocą tak otwarcie.

W ciągu kilku dni po opublikowaniu szokujących zdjęć okrucieństw popełnionych przez Hamas upadł lewicowo-liberalny mit o bojownikach palestyńskich jako o wojownikach światła, rycerzach sprawiedliwości i honoru. To brudni mordercy i rabusie.

Podobnie jak w 2022 roku, w Buczy, Irpieniu, Mariupolu, Kramatorsku, Chersoniu, Kupiańsku, Iziumu i innych miastach Ukrainy został zniszczony łzawy mit Dostojewskiego i innych budowniczych „rosyjskiego świata" o tajemniczej i pełnej dobrego „rosyjskiej duszy".

Dobro jest nie do pogodzenia z faszyzmem – niemieckim, rosyjskim czy palestyńskim.

Niebezpieczny upadek mitu

Oglądając niekończący się program izraelskiej telewizji, czułem się, jakbym znów wrócił do tego kraju, oddychał jego gorącym powietrzem, słyszał głosy, krzyki i jęki jego obywateli. Przede mną rozegrała się tragedia państwa, w którym miałem zaszczyt być pierwszym ambasadorem Ukrainy (1992–1994). Odwiedziłem prawie wszystkie miasta i miasteczka tego małego, lecz niepohamowanego namiętnego kraju, byłem gościem w kibucach i osadach na Wzgórzach Golan, odwiedziłem niesławną Strefę Gazy, spotkałem tysiące byłych rodaków, moich profesorów i kolegów studentów, poznałem nowych przyjaciół, słyszałem niesamowite historie ludzi, którzy przybyli na te pustynne, niegdyś malaryczne miejsca z Europy, Afryki i Ameryki, aby zbudować własne państwo.

Spotkałem tu mądrego budowniczego Izraela, znawcę poezji arabskiej i twórcę izraelskiej broni nuklearnej, przyszłego prezydenta Szimona Peresa, premiera Icchaka Rabina, światowej sławy obrońcę praw człowieka Natana Szaranskiego, inne osobistości polityczne i publiczne, wśród których był Benjamin Netanjahu – prawicowy populista, obecny premier, osoba skażona szeregiem skandali korupcyjnych, który ponosi bezpośrednią odpowiedzialność polityczną za porażkę Izraela w wojnie z Hamasem.

Co stało się z tym krajem, który zawsze wygrywał wojny z licznymi wrogami – nie z terrorystyczną bandą Hamasu, lecz z takimi państwami jak Egipt, Syria, Jordania? Dlaczego mit o wszechmocy izraelskiego wywiadu i niezwyciężoności Armii Obrony – CAHAL – upadł w ciągu jednego dnia?

FOT. AA/ABACA/PAP

eprasa.pl eb5d10470b

Upadek mitu o potężnej i nie do zdobycia twierdzy Izrael, uzbrojonej w najnowocześniejsze osiągnięcia kompleksu wojskowo-obronnego, jest niebezpieczny, ponieważ może zachęcić wrogów państwa żydowskiego do ponowienia prób jego zniszczenia, wykorzystania irańskiej broni rakietowo-nuklearnej przeciwko temu zamożnemu biblijnemu krajowi.

Myślę także o uderzających podobieństwach między rosyjską inwazją na Ukrainę a atakiem Hamasu na Izrael, pomimo niezgodności skali wydarzeń. Czy te podobieństwa są przypadkowe?

„Kanibalistyczna reakcja Rosji"

Swoim niesprowokowanym atakiem na Ukrainę na dużą skalę putin i podwładni mu ludzie („niewolnicy, podnóżki, błoto Moskwy" – Taras Szewczenko) otworzyli puszkę Pandory, niszcząc międzynarodowy system bezpieczeństwa, zachęcając reżimy dyktatorskie do wszelkiego rodzaju przygód militarnych, siejąc chaos na świecie, podsycając nienawiść do Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników.

Na naszych oczach powstała nie oś Zła, lecz powstał cały kontynent Zła – rosja, Białoruś, Chiny, KRLD, Iran – kraje, które mają wspólne granice i obejmują dużą część Eurazji, posiadające ogromne zasoby ludzkie i materialne oraz wspólną ideologię dyktatorską – pogardę dla wolności, demokracji, praw człowieka. Ten kontynent Zła, do którego przylegają Irak, Pakistan i szereg krajów arabskich, ma tendencję do rozprzestrzeniania się niczym dziki porost.

Izrael, jako demokratyczny kraj prozachodni, bliski sojusznik USA, podobnie jak Ukraina, jest niewątpliwie naturalnym wrogiem nowo powstałego kontynentu niewoli i ciemności.

Przekonany jestem, że do zaciekłej nienawiści reżimu irańskich mułłów do Izraela, rosja dodała wyraźną strategię wywrotową i doświadczenie zdobyte podczas wojny na Ukrainie. Moskwa ma dług do spłaty Teheranowi za drony kamikaze, rakiety balistyczne i atak Hamasu na Izrael. Jest jeszcze kwestia rosyjskiej pomocy w montażu głowicy nuklearnej – nie bez powodu Pentagon ogłosił, że irańska bomba atomowa może zostać stworzona w ciągu kilku tygodni…

Nie ulega wątpliwości, że zbliżające się śledztwo w sprawie okoliczności izraelskiej porażki 7 października 2023 roku, prowadzone zarówno w Jerozolimie, jak i w innych stolicach, ustali sensacyjne fakty i udowodni olbrzymią rolę Moskwy w próbie zniszczenia państwa żydowskiego przez palestyńskich agentów Iranu.

Pośrednim dowodem na to jest eksplozja radosnego antysemityzmu i przechwalanie się wydarzeniami w Izraelu w rosyjskich portalach społecznościowych – co jeden z izraelskich komentatorów nazwał „kanibalistyczną reakcją Rosji".

Uważa się, że surową karą dla Bibiego (Netanjahu) za jego haniebny flirt z Putinem będzie polityczna śmierć obecnego premiera Izraela i miejsce na ciemnych kartach historii tego państwa.

I już dziś, nie czekając na wnioski przyszłych komisji i śledczych, mężowie stanu krajów demokratycznych trafnie oceniają to, co się wydarzyło.

Dlatego Prezydent RP Andrzej Duda w rozmowie z telewizją Polsat News zauważa: „Jest to zdecydowanie korzystne dla Rosji i rosyjskiej agresji na Ukrainę. To odwraca uwagę świata" (Radio Swoboda, 9 października 2023 roku).

Wygrajcie, obrońcy światła!

Odbyło się święto wielkiej krwi – ku radości Hamasu, Hezbollahu, Strażników Rewolucji Islamskiej w Iranie, putina, ciemnego narodu rosyjskiego – spadkobiercy Czarnej Sotni – i tysięcy innych zwolenników obcinania głów dzieciom, którzy nie wahali się zademonstrować swojego wsparcia dla zbrodniczego ataku.

Zło pokazało swoją prawdziwą twarz, zakrytą uśmiechniętą maską putina. Istnieje uniwersalne prawo zachowania Zła i dobrze o tym wiedzieli starożytni autorzy Biblii i tragedii greckich.

Ale istnieje też odwieczne prawo zachowania Dobra. A kiedy Kijów wieczorem, mimo groźby bombardowań, rozświetla wszystkie swoje ekrany biało-niebieskimi izraelskimi flagami, jest to ukraiński manifest poparcia Dobra. Jak również kwiaty przyniesione do Ambasady Izraela w Kijowie. A także słowa wsparcia i współczucia wypowiedziane przez ukraińskich funkcjonariuszy policji do ich izraelskich kolegów.

Dawno, dawno temu, w 1984 roku, napisałem krótki wiersz „Koszykówka", który niedawno, ku mojemu zdziwieniu, został opublikowany na Uniwersytecie Harvarda w USA „Babi Jar. Ukraińscy poeci odpowiadają" (2023). Wiersz o tym, jak w hali sportowej, która stała na terenie Babiego Jaru w Kijowie, trenują młodzi koszykarze (trenował tam mój niezapomniany syn Jarosław), a cienie ofiar Babiego Jaru zaglądają do okien i szepczą: wygrajcie chłopaki, nigdy nie poznajcie porażki, po prostu wygrajcie…

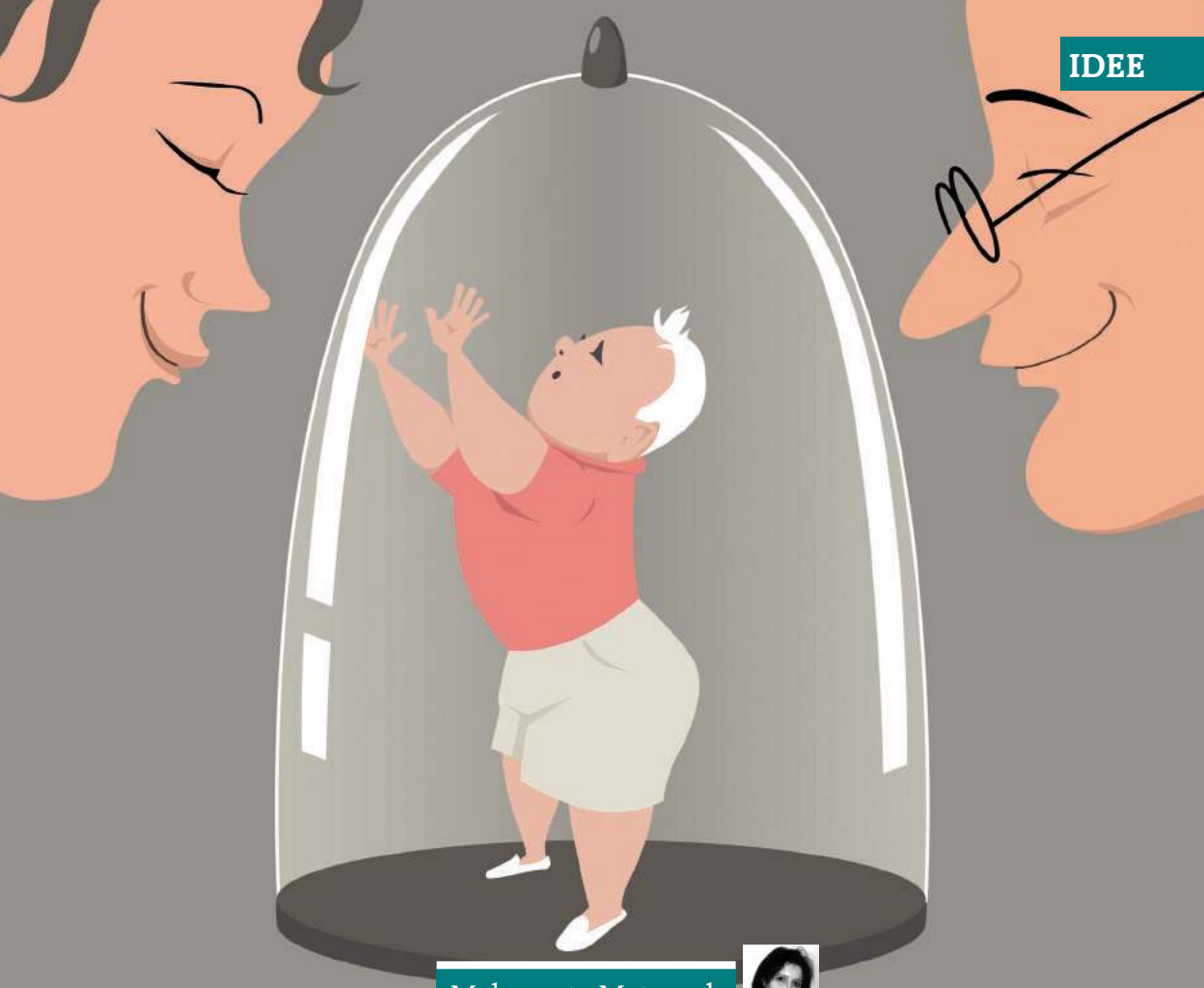
Cienie ofiar Hamasu szepczą: niech będą przeklęci: festiwal wielkiej krwi oraz jego sprawcy i podżegacze. Wygrajcie, obrońcy światła! Nigdy nie doświadczcie porażki!

Niech świat usłyszy ich szepty, głośniejsze niż wszystkie syreny alarmowe. ■

Pisownia niektórych wyrazów małą literą jest zamierzona przez Autora.

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl eb5d10470b



Małgorzata Matuszak

RODZICE HELIKOPTEROWI – model rodzicielstwa naszych czasów?

Intencje helikopterowych rodziców są niewątpliwie dobre, gdyż nie ma nic złego w dbaniu o własne dzieci. Problemem jest raczej brak poczucia granic w tym dbaniu o nie, który przeradza się w nadopiekuńczość i skutkuje bezradnością dzieci oraz nadkontrolą, która może budzić lęk u dzieci i poczucie braku własnej sprawczości oraz bezsilność wraz z niskim poczuciem wartości.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl eb5d10470b

Od końca XX i początku XXI wieku podejście do rodzicielstwa bardzo się zmieniło. Bardzo popularne stało się wtedy hasło wychowania bezstresowego, które miało stanowić przeciwwagę dla wcześniejszego modelu, zgodnie z którym „ryby i dzieci głosu nie mają" i jeśli dziecko złamało jakiś zakaz, musiało liczyć się nierzadko ze srogimi tego konsekwencjami. Popadliśmy jednak ze skrajności w skrajność. I chociaż bezstresowe wychowanie poddawane jest obecnie ostrej krytyce, to jednak sporo z jego założeń wciąż pokutuje w społeczeństwie, chociażby w modelu rodzicielstwa, który na przestrzeni ostatnich lat stał się niezwykle popularny – w tzw. rodzicielstwie helikopterowym. Będącym – jak się wydaje – kolejnym znakiem naszych czasów, w których brakuje zdroworozsądkowego podejścia do wielu spraw, także tych najważniejszych, do których zalicza się rodzicielstwo.

Kapitalizm a rodzice helikopterowi

Rodzice helikopterowi (ang. „helicopter parents") to określenie nadkontrolującego i nadopiekuńczego rodzica, który krąży nad dzieckiem jak helikopter ratunkowy, nie pozwalając mu konfrontować się z rzeczywistością i mierzyć z wyzwaniami, jakie przynosi młodemu człowiekowi życie. Można zauważyć, że styl rodzicielstwa helikopterowego narodził się w kapitalistycznych, zamożnych krajach. Można więc spytać, czy mają wpływ na takie rodzicielstwo czynniki kulturowe i gospodarcze? Do pewnego stopnia na takie pytanie można odpowiedzieć twierdząco.

Przede wszystkim konsumpcyjny i hedonistyczny sposób życia zakłada, że dobrzy rodzice dają dziecku to, co najlepsze, zarówno w zakresie dóbr materialnych, warunków życiowych, jak i dbałości o ich pełny dobrostan psychiczny. Również perfekcjonizm, będący często cechą kulturową zamożnych rodzin z kapitalistycznych krajów, dyktuje rodzicom, aby dużo wymagali od siebie jako rodzice i ich opieka była na najwyższym poziomie, i zmusza ich niejako do tego, by też oni dyktowali swym dzieciom często niemożliwe do spełnienia wymagania. Perfekcyjni rodzice oczekują wszak od swoich pociech, aby były również perfekcyjnymi dziećmi, takimi zatem, które są zdolne, ładne i którymi można się pochwalić w trakcie spotkań towarzyskich.

Oczywiście dbanie o dobrostan dzieci i dawanie im tego, co najlepsze, nie wynika z destrukcyjnych pobudek, lecz z miłości rodziców czy też z tego, co przez pojęcie miłość rozumieją. W poprzednich pokoleniach prawdopodobnie wszyscy kochający rodzice chcieli tego samego, jednak różnica tkwi w rozmiarze tego zjawiska oraz nieznajomości ograniczeń w tym zamiarze.

Rodzice często starają się wyeliminować najmniejszy przejaw trudności w życiu dziecka, każdy jego dyskomfort oraz nie czują umiaru w zaspokajaniu wszystkich zachcianek swoich dzieci. Wynika stąd często utrwalanie się w dzieciach nieumiejętność radzenia sobie z trudnymi emocjami i nieznajomość ograniczeń, jakie narzuca rzeczywistość, co wiąże się z kolei z przejawami roszczeniowej postawy takich dzieci. Inna natomiast cecha rodziców helikopterowych – ich perfekcjonizm – może być sporym ciężarem dla dzieci, wobec których oczekuje się tego samego, nie pozwalając im na uczenie się na błędach czy przejawy różnego rodzaju niedoskonałości. Może to owocować u dzieci lękiem przed światem dorosłych, poczuciem niewystarczalności oraz depresyjnymi skłonnościami. Inne cechy rodziców helikopterowych, takie jak dążenie do całkowitej kontroli życia dziecka zarówno w domu, jak i w życiu szkolnym czy w czasie wolnym, przeciążanie nauką i zajęciami dodatkowymi, wyręczanie w codziennych obowiązkach oraz usuwanie najmniejszych życiowych trudności i wyzwań, przed którymi stawia dziecko rzeczywistość, także krzywdzą dzieci. I znów, paradoksalne, krzywdzone są one z miłości. Rodzice z miłości do dziecka przecież budują wokół niego bańkę, która może jest i na pierwszy rzut oka piękna, ale na pewno nieprawdziwa i bardzo dla dziecka destrukcyjna.

Rodzicu, bądź sobą!

Rodzice w modelu helikopterowym zapominają przede wszystkim o tym, aby mieć własny świat i swoje życie poza opieką i wychowywaniem dzieci. Ich cała uwaga koncentruje się na dziecku. Może to również wynikać z lęku, że mogą okazać się w oczach własnych czy opinii społecznej uznani za niedobrych rodziców, jeśli swojemu dziecku nie poświęcą 100 procent uwagi, nie będąc nieustannie obecnymi w ich życiu i nie poświęcając każdej wolnej chwili na dbanie o dziecko, jego potrzeby i uczucia.

Często zapominając o sobie w tej koncentracji na roli rodzica, zaniedbują swoje życie, partnera czy przyjaciół oraz zainteresowania. Na pierwszym miejscu stawiając bycie dobrym czy wręcz idealnym rodzicem, gubią gdzieś, że są przede wszystkim ludźmi, że mają również swoje potrzeby oraz cele i marzenia, niekoniecznie związane z życiem własnych dzieci. Nie lokując wszystkich swoich potrzeb w dzieciach, ale stawiając na swoje bycie po prostu człowiekiem i możliwość przeżywania różnych emocji oraz autentyczność i autonomię własną, rodzice tacy daliby również możliwość zbudowania autonomii u dzieci i więcej przestrzeni dla ich świata. Odpuszczenie roli rodzica idealnego daje dzieciom również zwolnienie z roli

eprasa.pl eb5d10470b

dziecka idealnego. Tym samym pozwolenie sobie na autentyczność może wyzwolić więcej kreatywności u dzieci, gdy przestaną czuć tak dużą presję rodziców i pozwolą sobie na więcej swobody oraz czas tylko dla siebie, w którym będą mogły być tym, kim chcą i potrzebują.

Taka nadkontrola i nadopiekuńczość często prowadzą w późniejszym życiu dziecka do sporej zależności od rodziców i innych ludzi oraz braku zaradności życiowej pozwalającej na samodzielność, a także poczucie indywidualnej siły tak wychowanych dzieci. Bardzo dobitnie pisze o tym prof. Jonathan Haidt z Uniwersytetu Nowojorskiego, współautor książki „The Coddling of American Mind" („Rozpieszczanie amerykańskiego umysłu") z wymownym podtytułem „Jak dobre intencje i złe pomysły przygotowują generację porażki": „W poprzednich pokoleniach rodzice rozumieli, że ich »pracą« jest jak najszybsze pozbycie się tej »pracy«, czyli przygotowanie dzieci do opuszczenia domu i samodzielności. Wygląda na to, że teraz rodzice szukają dla siebie stałego zatrudnienia".

Umiar i jeszcze raz umiar

Intencje helikopterowych rodziców są niewątpliwie dobre, gdyż nie ma nic złego w dbaniu o własne dzieci. Problemem jest raczej brak poczucia granic w tym dbaniu o nie, który przeradza się w nadopiekuńczość i skutkuje bezradnością dzieci oraz nadkontrolą, która może budzić lęk u dzieci i poczucie braku własnej sprawczości oraz bezsilność wraz z niskim poczuciem wartości.

Dlatego pamiętając o szlachetnych pobudkach, którym towarzyszy rodzicielstwo, warto zachować w swojej opiece nad dziećmi umiar, wynikający z umiejętności wsłuchiwania się w prawdziwe potrzeby młodego człowieka, do których należą przecież również potrzeba niezależności i pragnienie mierzenia się na własną rękę z rzeczywistością, nabywania zatem umiejętności, które wszystkim nam dają poczucie własnej siły i wpływu na własne życie. Kierowanie się zasadami rozsądku i umiaru oraz uważne podejście do dziecka, bez prób skupiania się całkowicie na jego życiu, daje możliwość obdarzania go miłością dojrzałą i mądrą. Brak granic nie służy przecież ani rodzicom, ani ich dzieciom. Warto, aby rodzic znał również granice swojego rodzicielskiego wpływu i na pewnym etapie życia swoich dzieci pozwolił sobie na więcej wiary w ich umiejętności i samodzielność, oddając im w dużym stopniu ich świat oraz możliwość jego kreowania.

Można nie opuszczać dziecka i jednocześnie o nie dbać, będąc mu bardziej towarzyszem niż nieustannie pilnującym go kontrolerem. Oddając dziecku zdolność kreowania swojego świata, równocześnie dajemy to samym sobie, gdyż w naszym życiu powinno być miejsce również na nas samych, a nie tylko na dzieci. Tak podzielona uwaga pozwala na wytworzenie przestrzeni, w której i dorosły, i dziecko mogą nawzajem wzrastać i cieszyć się sobą bez poczucia nadmiernej zależności i kontroli. Tylko dzięki takiemu rodzicielstwu, gdzie każdy dba zarówno o siebie, jak i o innych, może urzeczywistniać się miłość rodzinna, a w ramach tej rodziny możliwość prawdziwego bycia sobą oraz wolność w wyrażaniu siebie i kreowaniu swojego życia przez każdego z członków rodziny.

Rodzinę można uznać za szczęśliwą wtedy, gdy można wrócić do niej jak do ostoi w trudnym momencie, gdy nie jest więzieniem, ale przestrzenią, w której dzieci nie duszą się emocjonalnie i z której nie boją się odejść, aby wyruszyć na spotkanie własnego życia. Taka rodzina, dzięki mądrej miłości, daje przede wszystkim dzieciom siłę i poczucie bycia kimś wartościowym oraz uczy tego, aby dbać o innych w takiej samej mierze, w jakiej dbamy o siebie samych.

Wyzwanie, porażka, regeneracja, wnioski

„Wyzwanie, porażka, regeneracja, wnioski – właśnie tak uczymy się, jak w końcu osiągnąć sukces" – tłumaczy prof. J. Haidt. I nie sposób się z nim nie zgodzić. Lęk, by nie skrzywdzić w jakikolwiek sposób dziecka, nie może przesłaniać racjonalności działań wychowawczych. Dziecko musi się uczyć na błędach, swoich błędach. Musi znać granice, których nie może przekraczać. Nieumiejętne stawianie granic, a niekiedy całkowity ich brak, krzywdzi bowiem dziecko równie mocno jak uprzedmiotowienie. Dziecko musi uczyć się odpowiedzialności za siebie i innych. Musi być kochane, ale miłością mądrą. Jak mówił Janusz Korczak, wielki teoretyk i praktyk wychowania: „Dziecko ma prawo być sobą. Ma prawo do popełniania błędów. Ma prawo do posiadania własnego zdania. Ma prawo do szacunku. Nie ma dzieci – są ludzie. […] Nie oczekuj, że Twoje dziecko będzie takie, jakim Ty chcesz, żeby było. Pomóż mu stać się sobą, a nie Tobą".

Nadopiekuńczość rodziców i ich zupełny brak zainteresowania to dwie strony tego samego medalu – obie odbierają dzieciom szansę na harmonijny rozwój. Obydwie inaczej, lecz równie skutecznie. Wychowanie dzieci na ludzi dobrych, odważnych, odpowiedzialnych, rzetelnych to nie lada wyzwanie. I nie ma tak naprawdę jednej, gotowej recepty na sukces w tej dziedzinie. Jedno jest jednak pewne – bycie helikopterowym rodzicem z pewnością do niego nie prowadzi. ■

eprasa.pl eb5d10470b

„Nie, dzieci nie przyjmujemy, nie mamy pieluszek” – usłyszał od Antoniego Hedy „Szarego”, gdy zgłosił się do partyzantki. 14-latek odpowiedział legendarnemu dowódcy bezczelnie: „Jedyna różnica między nami jest taka, że pan jest dorosłym, wyszkolonym dowódcą, a ja polskim dzieckiem, ale jeśli każdy z nas weźmie pistolet, to zobaczymy, który będzie lepszy”. „Szary” zaniemówił. Czy to ta zuchwałość spowodowała, że przyjął go do konspiracji? Być może nie mniej ważne było to, że 14-latek nie miał dokąd wracać. Niemcy poszukiwali go za wykradanie broni dla Armii Krajowej z fabryki zbrojeniowej w Radomiu. A potem ubecy za konspirację przeciwko komunizmowi wybili mu zęby. Sergiusz Papliński ps. „Kawka” był znanym malarzem i ostatnim polskim Żołnierzem Wyklętym żyjącym w Wielkiej Brytanii. Odszedł 2 sierpnia 2022 roku.

Piotr Lisiewicz



Od pistoletu do pędzla



FOT. FACEBOOK

eprasa.pl eb5d10470b



Premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson, premier Polski Mateusz Morawiecki i Sergiusz Papliński – to jedno z jego ostatnich zdjęć. Z czasu, gdy Polska stała się, być może na niedługo, naprawdę niepodległa. Jak mówił, przez całe życie pamiętał słowa swojej Mamy: „Najważniejszą rzeczą w życiu każdej kobiety jest obrona własnego dziecka. Najgorszą je stracić. Jedyny przypadek, kiedy Polka jest w stanie wytłumaczyć śmierć swojego dziecka, to gdy dzieje się to w walce za ojczyznę".

Samotny wilk przeciwko Berlinowi i Moskwie

Cytowane na początku słowa pochodzą z wywiadu, jakiego Sergiusz Papliński udzielił George'owi Byczyńskiemu z „The Warsaw Institute Reviev" w 2020 roku. „W swoim długim życiu był partyzantem Armii Krajowej, Żołnierzem Wyklętym (»Cursed Soldier«), więźniem komunistycznego aresztu, żołnierzem Zrzeszenia »Wolność i Niezawisłość«, emigrantem, cichociemnym, akrobatą, kelnerem, a także artystą malarzem. Pracował też w kamieniołomie oraz w kasynie. Całe życie przeszedł jak »samotny wilk«" – pisał o nim Byczyński.

93-latek rozliczał się ze swoim życiem i opowiadał o walce z dwoma wrogami. Z Niemcami było tak: „Z oddziałem partyzanckim »Szarego« przeszedłem cały jego szlak bojowy. Nie myślałem o kłopotach, byłem na to za młody. Brałem udział w słynnym rozbijaniu więzienia w Końskich 5 czerwca 1944 r. Miałem za zadanie podłożenie materiałów wybuchowych i wysadzenie bramy. Wtedy zdobyłem swój pierwszy karabin maszynowy. Był to niemiecki Bergmann, byłem z siebie niezmiernie dumny. Uratowaliśmy 70 więźniów". Nastolatek skłonny był do nadmiernej brawury. „Odbijaliśmy też wieś Radoszyce i tak rwałem się do walki, że Heda krzyczał: »Wracaj, czy już chcesz zginąć?«. Udało nam się uratować całą wioskę". Jak wspominał, kiedy wybuchło Powstanie Warszawskie, zatrzymywali niemieckie pociągi z bronią i amunicją, aby przekazywać je walczącym powstańcom.

Oddział „Szarego" nie złożył broni. Aresztowany przez UB Papliński wspominał: „Władze komunistyczne były bezwzględne. Zostałem aresztowany i osadzony w ubeckim więzieniu w Radomiu (więzienie Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego). Byłem tam wielokrotnie przesłuchiwany i okrutnie bity. Straciłem wszystkie zęby. Przesłuchujący mnie ubek powiedział: »Dla takich jak ty są tylko dwie opcje – białe niedźwiadki albo ścianka«. To pierwsze oznaczało wysyłkę na Syberię, a to drugie kulkę w łeb".

Ubek się przeliczył, bo Paplińskiego odbili koledzy. „Miałem szczęście, bo w dniu moich 18. urodzin – 9 września 1945 r. – zostałem odbity z więzienia, wraz z 300 innymi kolegami – więźniami politycznymi. Niedługo potem, pod koniec 1945 r., zorganizowano mi ucieczkę z Polski. Przez Niemcy dostałem się do Włoch, gdzie zacząłem uczęszczać do szkoły kadetów. Z II Korpusem Polskim gen. W. Andersa przedostałem się do Wielkiej Brytanii".

Niech nam przysyłają śliniaki i butelki z mlekiem!

Sergiusz Papliński „Kawka" urodził się 9 września 1927 roku w Radomiu. W dzieciństwie stracił ojca Stanisława i nim oraz rodzeństwem zajmowała się Mama. „Bliskim oddałby swoją ostatnią koszulę. Twierdził, że wrażliwości na drugiego człowieka nauczyła go babcia" – pisała o nim Maria Byczynski.

Do konspiracji trafił mając 14 lat. Tomasz Pietrzykowski i Tomasz Muskus, autorzy artykułu „Mjr S. Papliński, ostatni Żołnierz Wyklęty na Wyspach", opowiadali o tym na portalu British Poles tak: „Pomimo tego, iż nie miał nawet 15 lat, działał jako konspirator na terenie Radomia. Wynosił części broni z fabryki zbrojeniowej. W drugiej połowie 1943 r. został »spalony«. Zmuszony do ucieczki przed aresztowaniem. Musiał zmienić teren swojej dotychczasowej działalności. Nie chciał siedzieć gdzieś bezpiecznie i biernie na »melinie« do końca wojny. Pragnął jakoś dalej działać przeciwko okupantowi. Otrzymał więc wytyczne, aby udać się w Lasy Starachowickie i tam w wyznaczonym miejscu nawiązać kontakt z partyzantami. Tak też uczynił. W trakcie przemierzania gęstwin leśnych zatrzymany został przez ubezpieczenie oddziału partyzanckiego, któremu oznajmił, że chce do partyzantki".

Żołnierze ubezpieczenia doprowadzili go do dowództwa oddziału. Wzrokiem zlustrowali go „Szary" oraz Zygmunt Kiepas ps. „Krzyk". „Szary" powiedział do „Krzyka": „Trzeba Go wysłać z powrotem i dzieci do Oddziału niech nam nie przysyłają! Bo jak dzieci będą przysyłać, to będą musieli przysyłać też śliniaki i butelki z mlekiem". „Dla mnie nie było już innego wyjścia, dlatego na »Szarego« wówczas naskoczyłem, chyba pierwszy i ostatni raz Mu się postawiłem" – wspominał Papliński, który wypowiedział wspomniane słowa: „Jedyna różnica między nami jest taka, że Pan jest ode mnie starszym, wyszkolonym dowódcą, a ja dla Pana dzieckiem, ale jeśli każdy z nas weźmie do ręki pistolet, to zobaczymy, który będzie lepszy". „Szary" zaniemówił. A „Krzyk" powiedział do dowódcy: „Wiesz Antek, niech zostanie". „»Krzykowi« od razu się spodobałem i pozwolił mi pozostać w oddziale. Wtedy »Szary« do mnie powiedział: »Dobrze to zostajesz, ale tutaj nie ma nikogo, ani mamusi, ani babci, żeby się Tobą zajmo-

eprasa.pl eb5d10470b

wać«" – wspominał Papliński. Pozostała kwestia konspiracyjnego pseudonimu. Gdy nad nim myśleli, na drzewie obok usiadł ptak. No i „Krzyk" powiedział do „Szarego": „No i Antek patrz, już mamy pseudonim… sam przyleciał – »Kawka«".

▶ Przeszkolony przez „Jelenia"

„Kawka" brał udział w kluczowych akcjach partyzanckich zgrupowania „Szarego" w lasach iłżeckich, starachowickich i koneckich. Zapowiedzi „Szarego", że nikt Paplińskim nie będzie się opiekował, zdecydowanie się nie spełniły. „Wielu ludzi włożyło swój wkład wychowawczy w kształtowanie tego młodzieńca, co miało wpływ na całe jego życie. Swoje talenty dydaktyczne w tym zakresie wykorzystywał tu między innymi »Krzyk«, który przed wojną kończył Seminarium Nauczycielskie w Radomiu i pracował z młodzieżą w szkole w Iłży jako belfer. Z pewnością wiele czasu poświęcał »Kaweczce« ucząc go niemal kaligraficznej, podobnej do swojej pisowni. Zapewne niejeden grafolog stwierdziłby, że staranność, manierę i podobieństwo w ich charakterze pisma widać w piśmie Sergiusza do dziś" – piszą Tomasz Pietrzykowski i Tomasz Muskus.

Jako specjalista od minowania przeszkolony został przez cichociemnego por. Ludwika Wiechułę „Jelenia" – absolwenta Szkoły Podchorążych Saperów w Wielkiej Brytanii. „Jeleń" skierowany został do oddziału „Szarego". Pełnił tam funkcję instruktora i dowódcy kompanii. Uczył żołnierzy zakładania ładunków z materiałów wybuchowych różnego rodzaju, wysadzania mostów, torów oraz robienia zasadzek. Te umiejętności miały przydać się nastolatkowi w praktyce.

▶ „Wracaj, Nygusie, czy już chcesz zginąć?"

Jak relacjonują Pietrzykowski i Muskus, w trakcie rozbicia więzienia w Końskich 5 czerwca 1944 roku Papliński znalazł się w grupie szturmującej więzienie. „To On wraz z kolegami zakładał materiały wybuchowe i wysadzał więzienne bramy. W trakcie tej akcji pomógł w uwolnieniu ok. 70 więźniów oraz zdobył karabin maszynowy – »Bergmana«. Odbicie aresztu nie obyło się jednak bez strat. Po stronie partyzantów zginęło czterech żołnierzy. Dwóch, w tym »Krzyk«, było rannych".

Papliński wyróżnił się też w czasie walk o pacyfikowaną przez Niemców wieś Radoszyce 3 i 4 września 1944 roku. Zyskał tam nowy pseudonim nadany przez martwiącego się o niego „Szarego". Wyrywając się do przodu w trakcie natarcia, usłyszał od krzyczącego Hedy: „Wracaj, Nygusie, czy już chcesz zginąć?". Od tamtej pory nazywany był żartobliwie „Nygusem". Partyzantom udało się wówczas obronić mieszkańców wsi przed eksterminacją. W czasie bitwy o Radoszyce rozbity został pluton policji i Wehrmachtu. Poległo 28 Niemców i dwóch żołnierzy „Szarego".

▶ „Często na wojnie robił głupstwa"

Uczestniczył także w bitwie pod Szewcami 17 września 1944 roku. Zygmunt Kiepas „Krzyk" bitwę tę wspominał następująco: „Na nieprzyjaciela nie czekaliśmy długo, bo już około godziny 11.00 na przedpolu zauważyliśmy posuwających się Wehrmachtowców w sile plutonu, w kierunku lizjery lasu. Chłopcy podpuścili Niemców na odległość 30–40 m, a następnie zmasowanym ogniem ostrzelali atakujących i obrzucili granatami. Trzeba przyznać, że zaskoczenie było całkowite. Z kilkudziesięciu ludzi grupy rozpoznawczej wycofało się tylko kilku. Partyzanci zdobyli dużo broni, amunicji i sprzętu".

Tu następuje opis brawury Paplińskiego: „W tej walce i nasz »Kawka«, który był gońcem i liczył 15 lat (najmłodszy partyzant) dorobił się Walterka, o którym marzył od paru tygodni. Byłby to przypłacił życiem, bo wyskoczył za wcześnie wtedy, kiedy trwała walka. Dobrze, że go wtedy złapałem za prawą nogawkę u spodni. Oberwał parę szturchańców, czego nie miał wcale za złe, bo zdawał sobie sprawę, że często na wojnie robił głupstwa. Tym razem poczekał kilka minut i ubezpieczony przez kolegów, szczęśliwy, zdobył dobre buty, pistolet maszynowy i Walterka". W czasie bitwy pod Szewcami zginęło 61 Niemców. Z oddziału „Szarego" nikt nie poległ, było jedynie kilku lekko rannych.

„Wielu ludzi włożyło swój wkład wychowawczy w kształtowanie tego młodzieńca, co miało wpływ na całe jego życie".

eprasa.pl eb5d10470b

Urodziny w więzieniu. W prezencie wolność

Po wojny pozostał w konspiracji antykomunistycznej. Został schwytany i uwięziony w Radomiu. 9 września 1945 roku został uwolniony po rozbiciu więzienia przez oddział Stefana Bembińskiego „Harnasia". O propozycjach, które mu w więzieniu składano, mówił w wywiadzie dla „Wprost": „Szef Bezpieki już wcześniej zaproponował mi wstąpienie do ubeckiej szkoły oficerskiej i współpracę. Kiedy odmówiłem, to mnie okropnie pobili i wrzucili do ciemnicy. Potem regularnie zmieniali mi cele".

Jego uwolnienie Pietrzykowski i Muskus opisują następująco: „9 września 1945 roku. »Kawka« obchodził swoje urodziny w więzieniu. Nie był tam jedynym żołnierzem oddziału »Szarego«. Wśród wielu towarzyszy niedoli w murach radomskiego więzienia znalazł się również Franciszek Sławiński »Szczodry«, który w dniu urodzin przekazał Sergiuszowi życzenia: »Kaweczka, wszystkiego najlepszego na urodziny, prezencik przyjdzie«. Sergiusz nie spodziewał się, że jego prezentem urodzinowym będzie wolność! Wkrótce usłyszał wybuchy i strzelaninę, wówczas zdał sobie sprawę, że więzienie jest właśnie odbijane".

Sam Papliński wspominał na łamach „Wprost": „Usłyszałem wybuch, potem drugi, a następnie zaczęła się strzelanina. Wtedy już wiedziałem, że rozbijają więzienie. Ławami zaczęliśmy wyważać drzwi do celi. Jak tylko wydostaliśmy się na korytarz, to od razy ze Szczodrym dostaliśmy pistolety maszynowe. Z nimi wydostaliśmy się na zewnątrz. Szliśmy potem przez miasto na miejsce transportu, a ludzie stojący na ulicy bili nam brawa".

W mundurach NKWD

Po uwolnieniu wstąpił w szeregi Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość" i prowadził walkę dywersyjną na terenie Pomorza. Jak czytamy, po odbiciu z aresztu trafił pod skrzydła „Szczodrego". Znali się doskonale z partyzantki. Obydwaj przedostali się początkowo na Kujawy, gdzie nawiązali kontakt z Janem Jurkiem „Sępem", a następnie na Pomorze. Wspólnie rozpoczęli działalność w drugiej konspiracji w strukturach Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość", operując jako mały oddział partyzancki.

Gdy ich dekonspiracja stała się pewna, organizacja zdecydowała o ich przerzuceniu na Zachód, do zachodnich Niemiec: „W tę niezwykle ryzykowną podróż wyruszyli ze Szczecina ukryci w wagonie węglowym pociągu. Po dotarciu do Berlina obaj byli tak brudni i wymazani czarnym pyłem, że wzajemnie nie mogli się rozpoznać". Kolejnym etapem tego przerzutu miało być przekroczenie granicy wolnego świata. Uczynili to przebrani w… mundury funkcjonariuszy NKWD. Udało mi się przekupić sowieckiego strażnika i przeszli na stronę amerykańską do Berlina Zachodniego. „Szczodry" i „Kawka" służyli później w kompaniach wartowniczych w Niemczech Zachodnich. W 1946 roku podróżując przez Włochy przedostali się do Wielkiej Brytanii, pokonując tę drogę na pokładzie statku.

Cichociemny III wojny światowej

W Wielkiej Brytanii Papliński szykował się do dalszej walki o niepodległą Polskę, działając w sekcji brytyjskiej organizacji „Wolność i Niezawisłość". „Działacze WiN współpracowali z amerykańską i brytyjską armią, która szkoliła nas na cichociemnych. Wszyscy byliśmy pewni, że wybuchnie III wojna światowa z Sowietami. Szkolenia dywersyjno-spadochronowe odbywały się w Anglii i w Niemczech Zachodnich – tam Amerykanie przekazali nam cały obóz wojskowy. Byłem w pierwszej grupie, która szkoliła się tam na początku lat 50-tych. Było to takie samo szkolenie, jak w czasie wojny dla przerzucanych do Polski cichociemnych" – wspominał w wywiadzie dla „The Warsaw Institute Reviev".

Jak mówił, był tak zwanym sleepersem, czyli „śpiochem", „uśpionym żołnierzem" oczekującym w pełnej gotowości na dalsze rozkazy. Jakie miały być zadania takich jak on? „Mieliśmy Sowietom zakłócać szlaki komunikacyjne i odcinać drogę na dostawy broni, aby Amerykanie mieli więcej czasu na zorganizowanie obrony. Były wtedy trzy drogi przerzutu do Polski: zrzucenie na spadochronie, do czego ja byłem przeszkolony, lądem przez Czechosłowację lub podwodnymi łodziami z Bałtyku. W moim środowisku wszyscy mówili, że Brytyjczycy byli gotowi do walki z Sowietami, przy wsparciu Amerykanów. Mieliśmy odbić Polskę z rąk komunistów".

Jak piszą Pietrzykowski i Muskus, wszystkie te działania obejmowały w dalszym ciągu struktury WiN. „Kawka" podczas kursu wielokrotnie miał kontakt z czołowymi przedstawicielami tej formacji, między innymi z cichociemnym Stanisławem Kolasińskim „Ulewą" oraz Józefem Maciołkiem, będącym szefem Delegatury WiN za granicą.

Pięknie malowałbym pistoletem maszynowym

Te plany wymagały poświęcenia dla Polski spraw osobistych. Mówił o tym: „Znajomi do dziś dziwią się, że nigdy nie założyłem rodziny. Jak mogłem? Przecież to by było z mojej strony zupełnie nieodpowiedzialne. Moje dotychczasowe życie było zawsze podporządkowane działaniom wojskowym. Z tego powodu nie mogłem mieć dzieci, bo kto by się nimi zajął, gdybym zginął?".

eprasa.pl eb5d10470b

O tym, jak został malarzem, opowiadał żartobliwie w rozmowie z Radiem Wnet: „Odkryłem swój talent malarski, kiedy przyjechaliśmy do Anglii. Spotkałem takiego mieszkańca, który opowiedział mi o studiowaniu malarstwa. A ja poza pistoletem maszynowym, nie miałem w swoim życiu ani kredek, ani ołówka w rękach. Gdyby malowano bronią, wychodziłoby mi to pięknie". Gdy kierownik szkoły artystycznej zaprosił go na rozmowę, powiedział mu: „Zawsze marzyłem o tym, aby żyć w swoim świecie. Jak patrzę na piękno świata, chciałbym nauczyć się malować ten obraz". W obrazach, które powstawały w jego pracowni w South Kensington, widać echa kubizmu i futuryzmu. Ukończył Royal College of Art w Londynie. Był autorem kilkudziesięciu obrazów, a wystawa jego prac zatytułowana była „Od pistoletu do pędzla".

▶ Był twardy jak stal

Sukcesy w twórczości malarskiej nie zmieniły jego determinacji, gdy chodziło o walkę o niepodległość Polski. „W sercu nadal byłem żołnierzem, który czekał w pełnej gotowości, by walczyć o wolność Polski. Ani mój skok do Polski, ani wojna z Sowietami nigdy nie nadeszły. Polska została zniewolona, a świat o nas zapomniał" – mówił w wywiadzie dla „The Warsaw Institute Reviev".

O jego postawie na wygnaniu tak pisała Maria Byczynski: „Był twardy. Jak stal. Nigdy się bał niczego i nie pamiętam, by kiedykolwiek narzekał. Życie go zahartowało, w szczególności lata w partyzantce. Miał ciężkie życie, ale potrafił czerpać z niego radość. Często go pytałam, czy jest zmęczony, chciałby usiąść, napić się czegoś? Patrzył na mnie wtedy przez chwilę, jakby nie rozumiał pytania, a potem odpowiadał: »Jakbyś spędziła w lesie tyle czasu, to byś wiedziała, że to nie ma znaczenia. Jest dobrze«".

Bardzo zależało mu, by przekazać patriotyzm młodym. „Był bardzo zaangażowany w życie polonijne, szczególnie lubił chodzić do POSK-u. Co sobotę wybierał się do klubu na 4. piętrze, gdzie miał swój ulubiony stolik. Zawsze ktoś się przysiadał, szczególnie młodzi ludzie chcący uścisnąć dłoń bohatera. Sergiusz często nosił ze sobą plik fotografii z partyzantki i chętnie dzielił się opowieściami. To były fantastyczne lekcje historii".

▶ „Mieliśmy twardą młodość, ale zarazem wspaniałą"

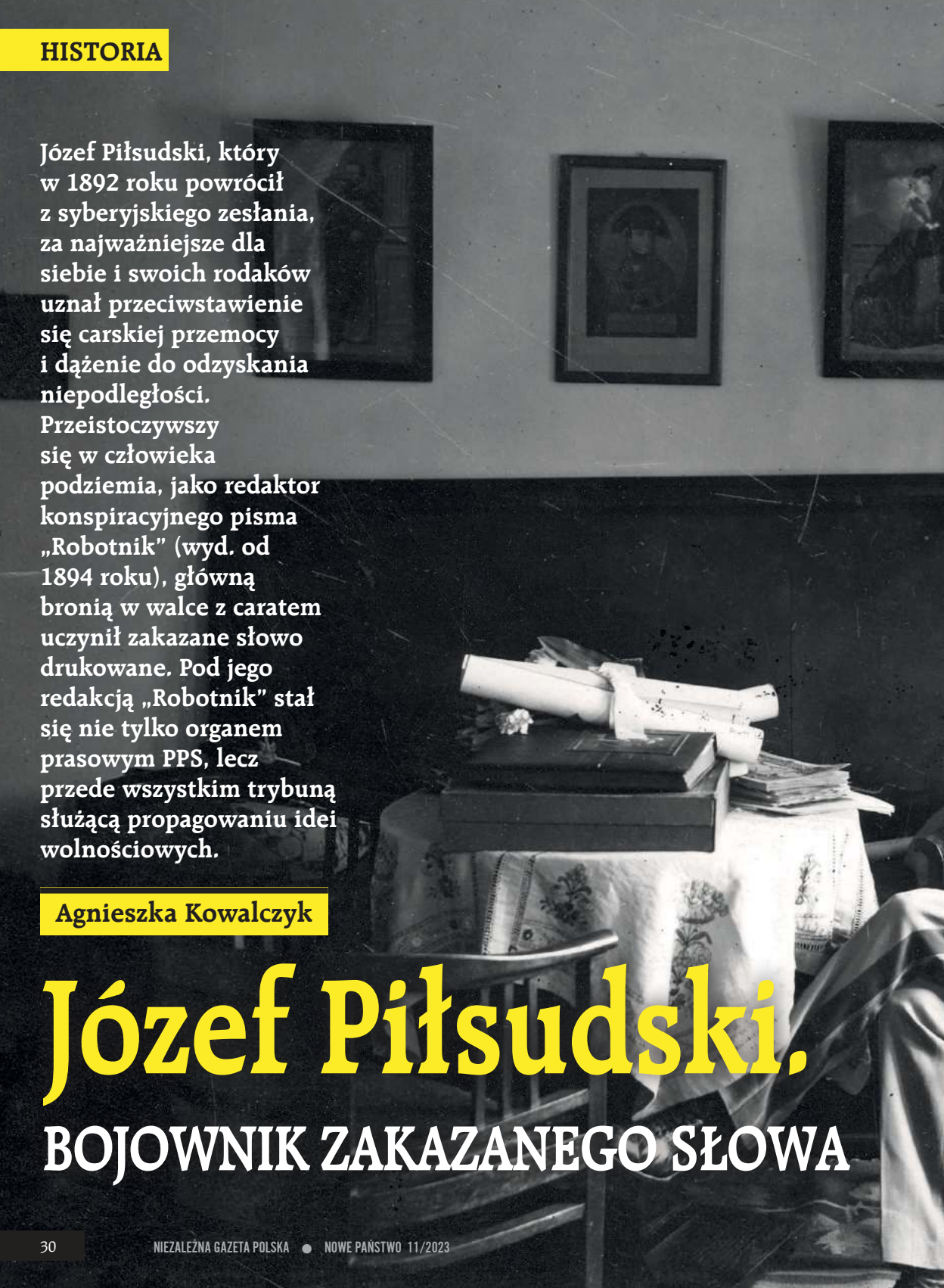
Wierność sprawie pozostawała najważniejsza dla polskich wygnańców aż do końca życia. 16 stycznia 1989 roku „Krzyk" napisał w liście do „Kawki": „Przyjaźń ta zostanie do końca życia. Nie kryję się z tym, że byłeś jednym z moich pupilów. Takich jak Ty w Grupie było tylko czterech: Kawka, Szczodry, Mściciel i Wrona. Byliście najmłodsi i traktowałem Was więcej po ojcowsku, serdecznie a nie jak zimny i twardy dowódca. Byliście w takim wieku, że trzeba było tak a nie inaczej Was prowadzić i hartować. Muszę jedno stwierdzić, że za serce umieliście i umiecie płacić sercem. Jeszcze jedną sprawę muszę z Tobą omówić i uzgodnić. Mój Drogi, zestarzeliśmy się i różnica wieku stopniowo zaczyna się zacierać. Pozostali tylko ludzie – przyjaciele, których łączy braterstwo broni, wspólne przeżycia i wspomnienia. Przeżycia ciężkie, ale zarazem i miłe. Przeżycia, które wywarły na nas swoje piętna i zaważyły na całym naszym życiu. Mieliśmy twardą młodość, ale zarazem wspaniałą. Ku czemu zmierzam? Chcę żebyś zapamiętał. Między nami nie ma panów. Są przyjaciele partyzanci. Każdy tytuł wytwarza pewien dystans, a nie chciałbym, żeby między nami była jakakolwiek bariera. Jesteśmy sobie tak bliscy, a kiedy rozmawiamy przez pan zaczynamy się oddalać od siebie. Od dziś jestem dla Ciebie Zygmunt… Piękną mamy kartę w historii partyzantki. Małe straty a dużo zwycięstw. Tak Sergiuszu, możesz być dumny, że byłeś w takiej grupie i masz współudział w naszych sukcesach. Całuję i ściskam serdecznie – Zygmunt." Dwa tygodnie później Zygmunt Kiepas „Krzyk" zmarł.

▶ Nie mów do mnie „Panie Sergiuszu", bo czuję się staro

Gdy Londyńskie Ognisko Polskie świętowało 90. urodziny majora Sergiusza Paplińskiego, przewodniczący ogniska Nick Kelsey mówił: „Sergiusz przychodzi do ogniska od ponad 50 lat, od lat 60., i pamięta doskonale, jak przychodzili tutaj polscy oficerowie, aby jeść, pić i rozmawiać przy brydżu". Pan Bóg dał Paplińskiemu długie życie. W 2018 roku odwiedził Muzeum Armii Krajowej. W lepszych czasach został honorowym członkiem Jednostki Wojskowej „Grom". Jak wspominał Tomasz Pietrzykowski, syn chrześnicy Zygmunta Kiepasa – Teresy Pietrzykowskiej z domu Kiepas – sędziwy już Papliński mówił do niego: „Słuchaj Tomku nie mów do mnie »Panie Sergiuszu«, bo czuje się staro, mów do mnie Sergiusz – tak po prostu jak kolega".

Zmarł 2 sierpnia 2022 roku. 22 sierpnia w Londynie odbyły się uroczystości pożegnalne. Skremowane szczątki majora zgodnie z jego życzeniem wróciły do Radomia. Pochowany został 9 września w grobie rodzinnym na cmentarzu przy ulicy Limanowskiego w Radomiu. Data pogrzebu nie była przypadkowa. To przecież 77 wcześniej, 9 września 1945 roku z więzienia w Radomiu został odbity przez oddział „Harnasia"… ■

eprasa.pl eb5d10470b



Józef Piłsudski, który w 1892 roku powrócił z syberyjskiego zesłania, za najważniejsze dla siebie i swoich rodaków uznał przeciwstawienie się carskiej przemocy i dążenie do odzyskania niepodległości. Przeistoczywszy się w człowieka podziemia, jako redaktor konspiracyjnego pisma „Robotnik" (wyd. od 1894 roku), główną bronią w walce z caratem uczynił zakazane słowo drukowane. Pod jego redakcją „Robotnik" stał się nie tylko organem prasowym PPS, lecz przede wszystkim trybuną służącą propagowaniu idei wolnościowych.

Agnieszka Kowalczyk

Józef Piłsudski.

BOJOWNIK ZAKAZANEGO SŁOWA



FOT. NAC

We wstępie do swej pierwszej książki „Walka rewolucyjna pod zaborem rosyjskim. Fakty i wrażenia z ostatnich lat dziesięciu", która znana jest jako „Bibuła" (1903), Piłsudski pisze, że Polacy są „narodem konspiracji i rewolucji".

„Bibuła", czyli walka słowem

Dowodzi tego ich burzliwa przeszłość powstańcza zakończona epopeją 1863 roku, a w jego czasach – intensyfikacja działań antycarskich, które na przełomie XIX i XX wieku stały się na tyle silne, że powstające w zaborze rosyjskim organizacje i kółka konspiracyjne PPS zyskały „powszechne prawo obywatelstwa". Niewątpliwy wpływ na to wywarła działalność o charakterze wydawniczo-kolporterskim. Dla Polaków pozbawionych swobód politycznych nielegalne publikacje – czasopisma, książki, broszury, odezwy, ulotki – stanowiły skarbnicę niczym nieskrępowanego słowa zaświadczającego o życiu wewnętrznym narodu i jego sile w „potężnym pasowaniu się" z obcą przemocą.

I to właśnie we wspomnianej książce postanowił Piłsudski opisać własne doświadczenia konspiracyjne związane z redagowaniem, drukiem i kolportowaniem zakazanego słowa. W istocie, z trzech planowanych części „Walki rewolucyjnej" powstała tylko pierwsza, nazwana „Bibułą", która odkrywała system funkcjonowania zakonspirowanych drukarni, organizowania rozbudowanej sieci kolporterskiej oraz dobrze ukrytych składów zakazanych publikacji, a nawet tajnych bibliotek. Książka ukazuje przy tym gotowość do poświęceń i wielkość ryzyka, na jakie narażeni byli ludzie propagujący nieprawomyślne treści, co na ziemiach przynależnych do Rosji oznaczało zesłanie lub więzienie.

W żargonie podziemia, jak tłumaczy Piłsudski, „bibułą" nazywano nielegalne wydawnictwa nieopatrzone formułą: „dozwolone przez cenzurę", a więc przemycane różnymi sposobami zarówno wielkie dzieła literackie i historyczne, jak i wszelkiego rodzaju publikacje prasowe drukowane na cienkim, „bibułkowym" papierze.

Sieć „dromaderów" i sztuka „dromaderowania"

Jeden z rozdziałów „Bibuły" poświęca autor przemycaniu do Królestwa nielegalnych pism i książek z innych krajów, przyznając, że nigdzie chyba na świecie granice państwa nie są tak pilnie strzeżone jak w imperium carów, czemu sprzyja „azjatycka tradycja oddzielania się murem chińskim od wszelkiej cudzoziemszczyzny", a zwłaszcza od jej demokratycznych ideałów. Wśród nieprzeliczonych zastępów carskich służb granicznych prym wiodą gorliwie wysługujący się władzy „zieloni" (nazywani tak z racji koloru swych uniformów), a poza nimi niewzruszenie trwa-

eprasa.pl e5d10470b

jący na swych posterunkach „błękitni aniołowie-stróże caratu" – żandarmi, akcyźnicy i policjanci. Wszyscy oni nieprzerwanie strzegą obszaru podzielonego na trzy linie, spośród których pierwsza leży nad samą granicą, drugą wyznacza pas kordonów w odległości około dwóch kilometrów od niej, trzecia zaś obejmuje prawie całe Królestwo Polskie i olbrzymią część Litwy. „Upstrzona komorami, najeżona bagnetami i urozmaicona patrolami konnymi" budzi strach w każdym, kto usiłowałby przekroczyć ją z zabronionym towarem. W takich ekstremalnych warunkach konspirator usiłujący przemycić „bibułę" za kordon, łatwo mógł znaleźć się w więzieniu po tym, jak ściągnięci z głębi carskiego imperium rosyjscy chłopi-żołnierze, najczęściej analfabeci, żyjący wcześniej w sąsiedztwie prymitywnych ludów Baszkirów i Kałmuków, bezlitośnie przetrząsnęli jego walizki w poszukiwaniu pruskiego cygara albo rosyjskiej herbaty.

Jedną ze sprawdzonych metod konspiracji było „przewożenie bibuły na ludziach". W takich akcjach niezastąpiona stawała się silna psychicznie kobieta, która „wyzyskawszy wszystkie skrytki damskiej garderoby, obłożywszy siebie najstaranniej bibułą", mogła udźwignąć niewiarygodną jej ilość – nawet kilkudziesięciu kilogramów. Piłsudski wyznaje przy tym, że sam nie był w stanie przemycić więcej niż dziesięć kilogramów tego zakazanego towaru: „Bibuła zewsząd mnie dusiła, gniotła, łaskotała; czułem, że muszę przybierać niezupełnie naturalne pozy, które mnie męczyły ogromnie". Ludzi przemycających nielegalne druki, którzy poruszali się „poprzemieniani w kosze i walizki", nazywano „dromaderami", a ich sztukę przemytniczą – „dromaderowaniem".

Wprowadzając w arkana działania tajnych drukarni, Piłsudski ukazuje z kolei proces wydawniczy dokonujący się w ścisłej konspiracji, odkrywając kulisy wielogodzinnej żmudnej pracy redaktorskiej, korektorskiej, zecerskiej i drukarskiej. Osobne miejsce poświęca sprowadzeniu z Londynu maszyny drukarskiej, zastępowanej do tej pory przez mało wydajny hektograf. Nową maszynę, nazwaną przez konspiratorów „Babcią", nabyto w Lipsku, skąd powędrowała do Londynu, by następnie zostać przesłaną do Władysławowa, gdzie w komorze celnej pracował zaufany człowiek PPS – Aleksander Sulkiewicz, który zajmował się przemycaniem do Królestwa nielegalnych wydawnictw londyńskich. Ostatecznie to za jego sprawą maszyna trafiła do Lipniszek na Wileńszczyźnie, gdzie rozpoczęła swą konspiracyjną działalność drukarnia PPS. Jej wykrycie stało się w ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku głównym celem carskiej policji usiłującej przez wiele lat bezskutecznie dotrzeć do wydawców tego nielegalnego pisma.

W tajnej drukarni Piłsudskiego

W obawie przed dekonspiracją drukarnia „Robotnika" przeniesiona została najpierw do Wilna i dotrwała tam do końca 1898 roku, a następnie znalazła swoją siedzibę w Łodzi – dużym ośrodku przemysłowym, gdzie prężnie rozwijał się ruch robotniczy. Ulokowana została na pierwszym piętrze w czteropokojowym mieszkaniu wynajmowanym przez państwa Piłsudskich w kamienicy przy ulicy Wschodniej 19. W gabinecie Piłsudskiego, który podawał się za adwokata Dąbrowskiego, można było zobaczyć m.in. biurko z szufladami pełnymi rękopisów i materiałów redakcyjnych, otomanę służącą za schowek na papier i kaszty z czcionkami, składaną szafkę, gdzie chowano maszynę drukarską angielskiego systemu „Model-Press". Klucz od drzwi wejściowych ukrywano w posążku bożka buriackiego, przewiezionego przez Józefa z Syberii. Po porannej herbacie, około godziny dziewiątej, Piłsudski wraz ze swym pomocnikiem Kazimierzem Rożnowskim zabierali się do pracy polegającej na redagowaniu, składaniu i drukowaniu tekstu. Sam proces druku jednej stronicy pisma w liczbie 1,9 tys. egzemplarzy zajmował zwykle dziewięć godzin, a ponieważ numer zawierał dwanaście stron, drukowano go około 15–16 dni.

Na łamach „Robotnika" Piłsudski rozprawiał się z carskim reżimem panującym na ziemiach polskich pod zaborem rosyjskim. Pisał o ucisku i prześladowaniach w sferze społeczno-politycznej, kulturalnej i religijnej, o wszelkich zabiegach mających prowadzić do całkowitego wynarodowienia Polaków i podporządkowania ich władzy zaborczej, do czego przyczynić się miała w szczególności rusyfikacja systemu oświaty. Wiele mówił też o wyzysku robotników, kształtując w nich postawę sprzeciwu wobec carskiego despotyzmu i nakłaniał do walki o należne im prawa, a przede wszystkim o niepodległą Polskę, dla której dopiero prawdziwa wolność byłaby gwarantem sprawiedliwości społecznej. Tym samym występował w obronie najbardziej zagrożonych dziedzin życia swojego narodu. Wśród czynników niemilitarnych wpływających na proces jego wyniszczania prof. Bohdan Urbankowski wymienia przede wszystkim: carską propagandę służącą izolowaniu Polaków od reszty Europy; użycie broni ekonomicznej w celu dokonania podziałów w społeczeństwie (uwłaszczenie chłopów, rekwizycje majątków buntującej się szlachty, zakaz kupna ziemi przez Polaków, antypolska polityka podatkowa); rozbicie rodzących się polskich wspólnot robotniczych poprzez popieranie kapitalistów i utworzenie policji fabrycznej; nauka szkolna w oderwaniu od przeszłości, tradycji i kultury narodu; nadzór policyjny nad polskim Kościołem. Redaktorska teczka Piłsudskiego, który piętnował wszystkie te groźne zjawiska, zazwyczaj nie mogła pomieścić napływającej niepowstrzymanym nurtem kore-

eprasa.pl eb5d10470b

spondencji słanej mu z fabryk, warsztatów i przeróżnych ośrodków życia robotniczego, która zamieszczana była w jego piśmie jako żywy głos uciemiężonych. Każdy numer zamykała zazwyczaj lista zdrajców i donosicieli z ich dokładnymi rysopisami.

„Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo"

Gdy „Robotnik" osiągnął apogeum swej popularności, polskie podziemie poraziła wieść, że tajna drukarnia w Łodzi została zdekonspirowana, a Piłsudski – aresztowany! 22 lutego 1900 roku, o godzinie trzeciej w nocy, do łódzkiej kamienicy wpadła carska żandarmeria pod dowództwem pułkownika Gnoińskiego. Do siedziby „Robotnika" carscy agenci ochrany zdążali tropem jednego z czołowych działaczy podziemia Aleksandra Malinowskiego, który przyjechawszy tu z Warszawy, nabył dużą ilość papieru przy ulicy Piotrkowskiej i z tym zakupem udał się dorożką do mieszkania Piłsudskich. Śledzący go odkryli więc konspiracyjne centrum wydawnicze, do którego bezskutecznie próbowali dotrzeć przez sześć lat. W ten sposób w ich ręce dostał się charyzmatyczny przywódca socjalistyczno-niepodległościowego podziemia – Józef Piłsudski, za którym od 13 lat słano listy gończe określające go mianem „państwowego przestępcy".

W momencie nocnego aresztowania maszyna drukarska trwała niewzruszenie na swym posterunku, a tajni agenci spoglądali na nią z niekłamanym podziwem i szacunkiem, dotykali z ciekawością żelaznych części, zdumieni tak wielką siłą jej oddziaływania. Wzrok żandarmów od razu przykuła świeżo odbita stronica 36. numeru „Robotnika" i artykuł o znaczącym tytule: „Tryumf swobody słowa". Tekst ten, paradoksalnie w tym dramatycznym momencie, ogłaszał zniesienie cenzury dziennikarskiej na terenie Austro-Węgier i informował o zamiarze wydawania w Galicji nowego pisma „Naprzód". W chwili aresztowania maszyna drukarska nabierała dla Piłsudskiego szczególnego znaczenia: „Pomimo iż nieraz wściekałem się na nią przy robocie, wymyślając jej od »starego klekota«, »głupiego bydlęcia« i »cholery« – wyznawał – ścinało mi serce, gdym tę »cholerę« zobaczył w plugawych łapach szpicli w chwili przenoszenia jej z szafy do kosza. Gdy na kosz Gnoiński kładł pieczęcie, stałem zgryziony, jak gdyby zapadało się wieko trumny nad kimś bliskim, serdecznie kochanym. Tyle nadziei, tyle miłości, tyle poświęcenia było związane z tym kawałkiem żelaza, skazanym oto na milczenie i bezczynność!".

Klęska, jaką ponosi w „Bibule" redaktor „Robotnika", to w istocie porażka tymczasowa, bo słowo drukowane kryje w sobie siłę, dzięki której zdolne jest oprzeć się dziełu zniszczenia, jeśli nie w chwili obecnej, to w niedalekiej przyszłości. „Byliśmy zwyciężeni – pisze Piłsudski – ale gdyby ta drobna książeczka myśleć i mówić była w stanie, to, milknąc na wieki w mrocznych murach katowni carskiej, powiedzieć by mogła swym wrogom słowami poety:

Choć mi się oprzesz dzisiaj – przyszłość moja
I moje będzie za grobem zwycięstwo!"

(J. Słowacki)

Do dziś przy ulicy Wschodniej 19 w Łodzi istnieje kamienica, w której niegdyś mieściła się tajna siedziba redakcji i drukarni legendarnego „Robotnika", a przed jej wejściem umieszczona została tablica upamiętniająca ten bastion walki o wolne słowo. Widnieje na niej wymowny napis: „Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo". Takie było życiowe motto Józefa Piłsudskiego, który nigdy już do Łodzi nie powrócił.

Jak udawać chorobę psychiczną

Po niespodziewanym aresztowaniu i dziewięciogodzinnej rewizji Piłsudski został przewieziony wraz z żoną Marią do łódzkiego więzienia przy ulicy Długiej, skąd trafił następnie do osławionego X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej. Był świadom tego, że grozi mu najsurowszy wyrok – śmierć, katorga albo twierdza w Szlisselburgu. Na pierwszych przesłuchaniach carska władza tryumfowała, obwieszczając mu, że oto nadszedł kres „Robotnika" i pismo się już nie odrodzi. „Ależ panie rotmistrzu – odparł spokojnie więzień – jestem przekonany, że w tej może chwili już się drukuje następny numer!". I wcale się nie mylił, bo w świat wychodził właśnie 36. numer „Robotnika" (z datą 26 kwietnia 1900 roku), wydany w Londynie pod redakcją Stanisława Wojciechowskiego i potajemnie przemycony do Polski. Pisano w nim, że przypadek łódzkiej wpadki w żaden sposób nie zahamował działań podziemnego wydawnictwa, które nie przestanie się ukazywać, „aż zaświta na ziemi naszej słońce wolności". Sposobiono się do zakupu nowej maszyny w Anglii i zainstalowania jej w Kijowie, gdzie miała powstać kolejna zakonspirowana baza drukarska.

Tymczasem członkowie PPS nie próżnowali i obmyślali już plan wyciągnięcia Józefa z więzienia. Najaktywniej na tym polu działała Gertruda Paszkowska „Gintra" – szefowa kolportażu „Robotnika", która była także zaangażowana w tajne prace Kasy Pomocy Więziennej, największej w zaborze rosyjskim organizacji niosącej pomoc więźniom politycznym. Miała więc rozmaite kontakty, które mogły pomóc w uwolnieniu Piłsudskiego. Wydawało się to jednak niemożliwe, dopóki znajdował się za murami surowo strzeżonej Cytadeli. Nie sprawdzały się tam metody wypracowane w innych więzieniach, jak zapiekanie grypsów w cieście, zaszywanie ich w ubraniu

eprasa.pl eb5d10470b

czy też przekazywanie zaszyfrowanych informacji w książkach, a to dlatego że „żywności z miasta nie przyjmowano wcale, książki musiały być nowe i z nierozciętymi kartkami. Na każdorazowe dostarczenie bielizny i ubrań trzeba było mieć specjalne, trudne do zdobycia pozwolenie, na które czekało się tygodniami. Widzenia z więźniami były krótkie i odbywały się przez dwie kraty, między którymi stali czujni żandarmi" – pisze Andrzej Fedorowicz.

„Gintra" nie poddała się jednak i obmyśliła doskonały plan: trzeba, by Piłsudski symulował chorobę psychiczną, co zmusiłoby władze więzienne do przeniesienia go w inne miejsce odosobnienia, skąd odbicie więźnia byłoby zadaniem wykonalnym. Napisania specjalnych instrukcji dotyczących tego, jak Piłsudski powinien wiarygodnie wcielać się w rolę szaleńca, podjął się lekarz Rafał Radziwiłłowicz, ordynator Warszawskiej Lecznicy dla Obłąkanych w Tworkach, patriota ukrywający w szpitalu ściganych przez ochranę działaczy PPS. Człowiekiem zaś, który zgodził się przekazywać więźniowi tajne instrukcje, był Aleksy Siedielnikow, pomocnik zawiadowcy X Pawilonu i intendent więzienia, mający dostęp do wszystkich cel Cytadeli.

Należało jednakże działać szybko, gdyż władze carskie szykowały już dla Piłsudskiego pokazowy proces. Tymczasem do uwięzionego dotarły już pierwsze grypsy. Nie mając innego wyjścia, zaczął więc wchodzić w rolę psychicznie chorego – pisał absurdalne listy do władz więziennych, reagował napadami histerycznego szału na widok żandarmów i odmawiał przyjmowania jakichkolwiek posiłków, tłumacząc, że boi się otrucia. Kontynuowanie głodówki było tym trudniejsze, że Siedielnikow w obawie o jego zdrowie podawał mu najbardziej wyrafinowane dania – litewskie kołduny i poziomkowe konfitury, wyszukany pasztet strasburski, a nawet francuskie foie gras z gęsich i kaczych wątróbek. Piłsudski, wciąż jednak symulując obłęd, pozostawiał jedzenie nietknięte, tym bardziej że podczas konsumpcji obserwowali go strażnicy.

Toteż lekarz naczelny Szpitala Św. Jana Bożego, Iwan Michajłowicz Sabasznikow, wydał negatywną opinię o stanie jego zdrowia, co zgodne było z oczekiwaniami konspiratorów. Sam Sabasznikow był postacią nietuzinkową. Znał dwanaście języków obcych, tłumaczył książki z dziedziny psychologii i psychiatrii, a nawet przekładał poezję Rabindranatha Tagore i Adwina Arnolda. Pochodził z Syberii i być może dlatego nawiązał bardzo dobry kontakt z Piłsudskim, który świadomie wzruszył go i zjednał swoimi opowieściami z czasów syberyjskiego zesłania. „Wspominał piękno nadbajkalskich okolic, Sajanów, polowania z Buriatami i herbaty przy ogniskach. Jego słowa były jak miód na serce Sabasznikowa, który rodzinnych stron nie widział od wielu lat". Dlatego też Józef nie miał trudności z uzyskaniem skierowania na obserwację szpitalną.

Ucieczka

Symulacja choroby była na tyle przekonująca, że ostatecznie postanowiono wysłać więźnia do Szpitala Świętego Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu. Na taką właśnie decyzję czekali już z niecierpliwością działacze podziemia, mający umożliwić Piłsudskiemu ucieczkę. Szpital ten był największym ośrodkiem leczenia umysłowo chorych w Rosji. Znajdowało się w nim wtedy około 2 tysięcy pacjentów, lecz personel był skromny, tak iż na jednego lekarza przypadało 150 chorych. Placówką kierował od 1881 roku Polak, doktor Otton Czeczot, który od razu poznał się na udawaniu choroby przez Piłsudskiego, ale go nie zdradził, celowo zwlekając z wydaniem orzeczenia medycznego. Sam uwięziony natomiast „wyczerpany prowadzoną w Cytadeli głodówką […] był cieniem samego siebie. Pobyt w petersburskiej »psychuszce«, pełna napięcia atmosfera, przerywana słyszanymi w całym budynku krzykami oraz niezwykle brutalny stosunek pielęgniarzy i dozorców do chorych były dla niego kolejnym ciężkim doświadczeniem".

Od momentu przetransportowania do szpitala w sprawie uwolnienia Piłsudskiego zaczął działać wysłany do Petersburga w tym celu Aleksander Sulkiewicz – współzałożyciel PPS, który umiejętnie wykorzystywał swoje stanowisko urzędnika izby skarbowej w Suwałkach do masowego przemytu „bibuły" przez granicę oraz urządzeń drukarskich z Londynu i Genewy. Po aresztowaniu Piłsudskiego nawiązał kontakt z należącym do organizacji młodym lekarzem Władysławem Mazurkiewiczem, który podjął się uwolnienia Piłsudskiego. W tym celu zatrudnił się w Szpitalu Św. Mikołaja Cudotwórcy i otrzymał tam stanowisko ordynatora. „Natychmiast zaczął studiować układ pomieszczeń ogromnego gmachu, najlepsze drogi ewakuacji oraz możliwości wyjścia na zewnątrz. Poznawał też lekarzy dysponujących kluczami do sal pacjentów oraz dozorców pełniących dyżury w budynku i przy bramach". Wiedział, że jedynym sposobem wyprowadzenia więźnia z oddziału jest sprowadzenie go na dół, do sali ordynacyjnej, gdzie odbywały się badania osób podejrzanych o symulację choroby. Plan ten zrealizował 30 kwietnia 1900 roku, kiedy to o godzinie ósmej rano rozpoczął swój pierwszy i ostatni dyżur.

Ryzykował wszystkim, bo jak pisze Fedorowicz, umożliwiając Piłsudskiemu wyjście ze szpitala, zaprzepaszczał na zawsze swoją karierę lekarską, „dla ochrany stawał się podejrzanym numer jeden i wrogiem publicznym na równi z samym Piłsudskim". Musiał więc liczyć się z koniecznością ucieczki z imperium rosyjskiego, gdzie zostawiał swoich bliskich, narażonych na

eprasa.pl eb5d10470b

represje. „Jeśli tego nie zrobię – rozważał – ten człowiek zostanie przeze mnie pogrzebany na zawsze w więziennych murach" i pojął, że „nie tylko życie Piłsudskiego, ale i przyszłość Polski leżą wyłącznie w jego rękach. Wziął głęboki oddech: decyzja została podjęta". Ostatecznie więc wyjął z teczki osobiste dokumenty więźnia, ze skrytki przeniósł do pokoju służbowego przygotowane wcześniej dla niego ubranie, a stróżowi nakazał przyprowadzenie go do swojego gabinetu. Z chwilą gdy zostali sami, zaczęli gotować się do ucieczki. Ponieważ przy głównym wyjściu, gdzie czekali już na nich współorganizatorzy akcji, Aleksander Sulkiewicz i Konstanty Demidowski, w portierni pojawił się jakiś nieznajomy człowiek, musieli zatem opuścić szpital tylnymi drzwiami. Po przejściu przez podwórze, wsiedli do przypadkowo zatrzymanej dorożki, udając się na ulicę Morską, a potem na Wasilewski Ostrow, do umówionej kryjówki. Tam szczęśliwie udało im się spotkać z Sulkiewiczem i Demidowskim, którzy radzili Piłsudskiemu poczekać z wyjazdem do rana. „Ten jednak walnął pięścią w stół – Wyjeżdżam dziś! – oznajmił nieznoszącym sprzeciwu tonem, po czym usiadł i zaczął studiować rozkład pociągów. Najbliższy odchodził do Tallina. – Jedziemy – zdecydował".

„Żyjemy tylko wówczas, gdy mamy bibułę!"

Podczas gdy po ucieczce Piłsudskiego w Petersburgu zawrzało, on sam ukrył się na Polesiu, u znajomej rodziny Lewandowskich, a po miesiącu wyruszył w dalszą drogę – do Kijowa, wprost do tajnej drukarni „Robotnika", nad którą pieczę sprawował działacz podziemia Feliks Perl. „Prauss i Perl przygotowywali właśnie 39. numer pisma, gdy usłyszeli dzwonek przy drzwiach. Zamarli, gdyż żadnych gości się nie spodziewali. […] Czyżby policja? Prauss ostrożnie uchylił drzwi i ku swojemu zdumieniu zobaczył Piłsudskiego, a za nim uśmiechniętego zawadiacko Sulkiewicza. […] Musiałem zobaczyć »Robotnika«, moje dziecko ukochane – powiedział Piłsudski i natychmiast włączył się w prace redakcji, odbijając na maszynie kolejne strony". Jak zawsze wierzył w to, że „za kilka godzin świeży pocisk rewolucyjny wyruszy w świat, by […] złożyć raz jeszcze świadectwo niespożytej energii ruchu, urągającego w żywe oczy piekielnej potędze cara i sług jego".

Doskonale zdawał sobie sprawę, jak wielką rolę w zniewolonym kraju odgrywa swobodne, nieskrępowane przez cenzurę słowo. Mógł się o tym przekonać, znajdując jeden z pierwszych numerów „Robotnika" w zakonspirowanej „wypożyczalni bibuły" w Zawierciu. Był on, jak się okazało, cały podziurawiony, zatłuszczony, noszący ślady sadzy i licznych zagięć, widać, że przechodził z rąk do rąk, że naddarte kartki starano się podkleić nowym papierem, a tam, gdzie tekst stawał się nieczytelny, odtworzyć go na marginesie. Patrząc na ten „zaczytany egzemplarz", pojął silniej niż kiedykolwiek sens redagowania prasy konspiracyjnej, którą „przechowuje się, jak świętość, w różnych zakątkach Polski". Według niego liczba wszystkich krążących w zaborze rosyjskim druków nielegalnych w 1900 roku mogła sięgnąć nawet 300 tys. egzemplarzy. W istocie nakład „Robotnika" ciągle wzrastał – u swych początków, w roku 1894, liczył 1,2 tys. egzemplarzy, w 1900 roku – już 1,6 tys., a cztery lata później, tuż przed wybuchem rewolucji 1905 roku, doszedł aż do 44 tys. Siła oddziaływania „bibuły" w czasach pisania książki przez Piłsudskiego była więc tak wielka, iż jej brak oznaczałby dla działaczy podziemia „anemię, skazującą organizację […] na powolne wymieranie", co zgodnie potwierdzali redaktorzy „Robotnika": „My […] żyjemy tylko wówczas, gdy mamy bibułę!".

„Hymn na cześć potęgi słowa drukowanego"

Opublikowana dokładnie 120 lat temu „Bibuła" Piłsudskiego to pierwsza polska książka odsłaniająca sferę życia podziemnego końca XIX stulecia, świat działaczy niepodległościowych, którzy podobnie jak ich poprzednicy przeobrażali się w wojowników o narodową sprawę. Współczesny Piłsudskiemu publicysta M.J. Toporowski nazywa tę książkę „pięknym hymnem na cześć potęgi słowa drukowanego", podkreślając, że „niemal z każdego zdania przebija przede wszystkim wymowa faktu i kult czynu".

Podjęta w „Bibule" batalia o wolne słowo odsłania w istocie dramatyczną sytuację Polaków, którym odmówiono prawa do wyrażania własnych myśli i uczuć, do poznawania prawdy ojczystych dziejów i których pozbawiono łączności z rodzimą tradycją i kulturą. Rozchodzące się szeroką falą tajne pisma były, według Piłsudskiego, najwspanialszą emanacją duszy narodu, który zdołał wytworzyć i rozwinąć w konspiracji „skomplikowane, nowoczesne życie polityczne", stanowiąc „ogromny, wielomilionowy konglomerat ludzi, związanych wspólną mową, historią i poczuciem przynależności do tego, a nie innego narodu". Świadomość przeobrażeń dokonujących się w społeczeństwie dojrzewającym do czynu, coraz silniejsze poczucie tego, że „lud drga i szumi jak fala wód", prowadziła Piłsudskiego do wniosku, iż ten postępujący proces aktywizacji wewnętrznej zawdzięczać należy „gorącemu oddechowi słowa, słowa demokratycznego, nawołującego do samodzielnego życia. A słowo to w zaborze rosyjskim jest przede wszystkim słowem drukowanym – bibułą". ■

Źródła: A. Kowalczyk, „Józef Piłsudski. Pisarz", Warszawa 2019; A. Fedorowicz, „Słynne ucieczki Polaków", t. 2, Warszawa 2020.

eprasa.pl eb5d10470b





Dariusz Jarosiński



Szilo ze Stanisławowa

Henryk Krzeczkowski (1921–1985) zyskał miano najbardziej tajemniczej postaci polskiej kultury, literatury drugiej połowy XX wieku. Rzeczywiście, w jego biografii napotykamy liczne niejasności, znaki zapytania. Nawet nie ukrywał, że miał duży udział w komponowaniu własnego życiorysu.

eprasa.pl eb5d10470b







FOT. ARCHIWUM ZESZYTÓW LITERACKICH

Profesor Leszek Kołakowski, filozof, mówił o Henryku Krzeczkowskim, że to „najinteligentniejszy człowiek w Warszawie". Choć nie ukończył studiów, to sprawiał wrażenie, jakby był absolwentem dobrego uniwersytetu. Dżentelmen, maniery niemal lordowskie, erudyta, znawca muzyki, sztuki, władający perfekt kilkoma językami. Znawca polskiej i europejskiej kultury, zatroskany o jej ciągłość. Mistrz rozmowy, żywego słowa, fascynująca osobowość. Zdaniem wielu osób najważniejszym zajęciem w jego życiu były rozmowy.

„Do miejsca w pisarskim panteonie nigdy nie aspirował"

Krzeczkowski przeszedł zawiłą drogę życiową. Wychowanek żydowskiego gimnazjum, ojczym słynnej piosenkarki Anny German, która dzięki niemu mogła wyjechać z matką ze Związku Sowieckiego i stać się Polką. Żołnierz armii Berlinga, po roku 1946 oficer komunistycznego wywiadu; po usunięciu go ze służby w roku 1951 (usunięcie to sprowokował, wywołując bójkę w kasynie oficerskim), tłumacz, pisarz żyjący z przekładów i z pracy redaktorskiej. Publicysta, eseista paryskiej „Kultury", „Twórczości", „Znaku", „Ruchu Muzycznego", podziemnych wydawnictw – „Polityki Polskiej", „Kursu", członek redakcji „Tygodnika Powszechnego". Homoseksualista, konwertyta na katolicyzm, przyjaciel benedyktynów z Tyńca (na cmentarzu w Tyńcu pochowany), konserwatysta, inspirator odrodzenia krajowej myśli konserwatywnej, autorytet prawicy, mentor młodych konserwatystów z Ruchu Młodej Polski, m.in. Jacka Bartyzela, Aleksandra Halla, Marka Jurka. W roku 1984 jeden z inicjatorów powołania Klubu Myśli Politycznej Dziekania.

Przyjaźnił się z Pawłem Hertzem, Zygmuntem Mycielskim, Zygmuntem Kubiakiem, Stefanem Kisielewskim, Juliuszem Żuławskim. Kisiel w swoim słynnym „Abecadle" z 1988 roku tak pisał o „Heniu", jak o nim zwykł był mówić: „Henryk Krzeczkowski – przyjaciel. Uważam, że to był niezwykle inteligentny człowiek, znający świetnie języki, który przechodził różne metamorfozy, wymyślał sobie różne postawy, ale już przed śmiercią był bardzo określony ideologicznie. Taki swojego rodzaju konserwatysta, patriota. Ciekawe, bo miał zawsze argumenty na swoją postawę. Szkoda, że mało pisał, a takie dobre pióro. Brakuje mi go bardzo". Profesor Jacek Bartyzel uważa, że „mógł być polskim Disraelim (premier brytyjski w XIX wieku, konserwatysta), gdyby za jego życia możliwa była polityka polska. Ale czasy były takie, że nie pozostawiały miejsca na nic poza służalczą uległością bądź rewolucyjną gorączką", „był jak T.S. Eliot – katolikiem w religii, konserwatystą w polityce i klasykiem w literaturze", „znienawidzonym przez lewicową Warszawkę". Na tle lewicowego

65d10470b

warszawskiego środowiska intelektualnego, literackiego, Krzeczkowski zdecydowanie wyróżniał się ze swoimi poglądami konserwatywnymi, narodowymi.

Pisarz Marek Nowakowski tak wspominał swego starszego przyjaciela, współbiesiadnika z Kameralnej, baru w Bristolu, SPATiF-u: „Otwarty i bezpośredni w zachowaniu, rżał donośnym śmiechem, pełnym energii i pogody ducha. Brat łata, który równie dobrze czuł się wśród pisarzy, jak murarzy. Nosił się w stylu solidnym i nieco niedbałym: tweedowe marynarki, szkockie swetry i welwety. […] Imponował rozległą wiedzą o historii, filozofii, literaturze; nigdy jednak nie przytłaczał rozmówcy erudycją, potrafił lekko i atrakcyjnie ją przekazywać. […] Henio był jedną z najbardziej kolorowych postaci światka artystyczno-intelektualnego Warszawy. Błyskotliwy, dowcipny. Gotowy do wypitki i zabawy. Patrzyłem na jego mięsistą, pełną wyrazistej mimiki twarz i słuchałem z rozkoszą. Miał rzadki dar tworzenia ulotnej literatury mówionej, czarowała i brała we władanie tylko na chwilę, nierozerwalnie zespolona z głosem, gestami, osobowością" („Szeherezada" „Nekropolis 2", Warszawa 2008).

O istocie jego twórczości napisał w pośmiertnym tekście Paweł Hertz, serdeczny przyjaciel, któremu notabene zawdzięczał wejście do literatury: „Konstytutywnymi elementami rozmyślań Henryka Krzeczkowskiego było podkreślanie konieczności zakorzenienia w kulturze narodowej, a jednocześnie zwracanie uwagi na szerszy, chrześcijański kontekst naszej tradycji, traktowany przez niego trochę jako odtrutka na absolutyzowanie składnika narodowego. Wszystkie ważne rozmowy, które przeprowadziliśmy, były ukierunkowane inaczej niż typowe rozmowy w warszawskich środowiskach intelektualnych. Te rozmowy wprowadzały pojęcia nie do przyjęcia dla górującej tradycji i doktryny lewicowo-liberalnej" („Żal po Krzeczkowskim", „Gra tego świata", Warszawa 1997).

Wojciech Wencel wypowiadał się o Pawle Hertzu, że „do miejsca w pisarskim panteonie nigdy nie aspirował. Uważał się raczej za strażnika cudzego słowa: antologistę, redaktora, edytora – z pożytkiem dla siebie i innych". Słusznie zauważyła Katarzyna Górska-Fingas, iż tymi samymi słowami można opisać również Krzeczkowskiego. „Hertz i Krzeczkowski uznali, że w obliczu tak poważnego zagrożenia kultury polskiej, jakie stanowił komunizm, własna twórczość musi zejść na plan dalszy, a fundamentalną sprawą staje się troska o kulturę – przede wszystkim o jej ciągłość" (Katarzyna Górska-Fingas „Trzecia droga – ani konformizm, ani wycofanie", „Teologia Polityczna", 8 grudnia 2014 rok).

„Nieważne nic, ważne by godnie kończyć"

Nazywał się właściwie Herman Gerner. Pochodził z rodziny żydowskiej ze Stanisławowa, miasta położonego na południowo-wschodnich Kresach II Rzeczypospolitej, stolicy Pokucia – historycznej krainy. Był to drugi w tym regionie ośrodek nauki i kultury po Lwowie. Stanisławów stanowił mozaikę kultur – zamieszkiwali go Polacy, Żydzi, Rusini (Ukraińcy), Niemcy, Austriacy, Huculi, Ormianie, Cyganie, Węgrzy.

W domu i w szkole mówiono na niego Szilo. W roku 1939, na trzy miesiące przed wybuchem wojny, zdał egzamin maturalny w Gimnazjum Koedukacyjnym Żydowskiego Towarzystwa Szkół Ludowych w Stanisławowie. Był najlepszym polonistą w klasie i jednym z najlepszych sportowców w szkole. Po ataku Niemiec na Związek Sowiecki w czerwcu 1941 roku uciekł w głąb Sowietów. Miał wówczas 20 lat. 28 czerwca 1941 roku, tuż przed wyruszeniem w drogę, starsza siostra Klara podarowała mu fotografię z dedykacją: „St. 28 VI 941. Memu najdroższemu bratu, jedynemu Szilowi na pamiątkę naszego rozstania ofiaruje Klara. Pamiętaj, bądź człowiekiem. Nieważne nic, ważne by godnie kończyć". Napisała tak, jakby przeczuwała, że już nigdy więcej się nie zobaczą. Aby te słowa stały się przykazaniem życiowym. Henryk nie rozstawał się z fotografią Klary, nosił ją cały czas przy sobie. Z najbliższej rodziny Henryka nikt nie przeżył Holocaustu.

Szilo gdzieś około 1935 roku, a więc jako czternastolatek, zaczął prowadzić osobiste zapiski, rodzaj dziennika, raptularza. Bywało, że niektóre zapiski niszczył lub zmieniał ich treść. Niewiele zachowało się notatek o charakterze dokumentalnym, które pozwalałyby na wyjaśnienie zagadek z jego życia. Jak sam przed sobą tłumaczył, notatki prowadził, aby uciekać od samotności, „aby nie zwariować", „aby móc zasnąć". Notatki świadczą o tym, jak bardzo poważnie traktował swoje życie, które poddawał surowej autoanalizie. Niezwykły wymiar nadawał słowom – przykazaniu siostry Klary; w roku 1948 lub 1949 (niewyraźna data) zapisał na luźnej kartce: „Śmieszne i staroświeckie: radość czystego sumienia. Przecież z domu wyszedłem z dewizą nieważne nic, ważne aby godnie skończyć". W grudniu 1960 roku ponownie powrócił do słów Klary: „uczę się bez przerwy na przyjaciołach, znajomych, na sobie – to właściwie eksploatacja – i to wszystko tylko po to, by wreszcie zrobić tak jak K(lara) kazała – skończyć z godnością".

Jesienią 1941 roku Szilo dotarł do Kirgizji. Oto jedna z pierwszych notatek z kilkumiesięcznej tułaczki w Sowietach: „Listopad 1941. We Frunze byłem zawszony i wygłodzony. Siedziałem i czekałem na jakąś decyzję władz. Od rana do północy w bibliotece. Co za lektura: Erazm, potem Goethe, potem Valéry i śliczna monografia o Picasso. O północy na dworzec. Jak doskonale spało się na schodach. Potem była już katastrofa z forsą. Ostatnie, co spieniężyłem, to skórzana portmonetka za 10 rubli". Przyznają państwo, że ciekawy zestaw lektur. Klasyka w sytuacji zawieruchy wojennej.

eprasa.pl eb5d10470b

W swojej wędrówce po sowieckiej Rosji dotarł w lutym 1942 roku do miejscowości Orłowka w malowniczym zakątku azjatyckiej Kirgizji. Imał się różnych zajęć, aby utrzymać się przy życiu, pracował w szkole jako nauczyciel, w kołchozie jako robotnik fizyczny. Z pobytem w Kirgizji wiąże się ciekawa historia, która była skrywana przez kilkadziesiąt lat. Otóż w tym azjatyckim kraju Henryk poślubił Irmę Martens przebywającą w Kirgizji na zesłaniu. Irma była o 12 lat starsza od Henryka, miała sześcioletnie dziecko o imieniu Anna, jej przodkowie wywodzili się z holenderskich mennonitów, którzy przybyli do Rosji za czasów carycy Katarzyny II. Mąż Irmy, Eugen Hörmann (German), był Niemcem pochodzącym z Łodzi, padł ofiarą stalinowskich czystek – został oskarżony o rzekome szpiegostwo i rozstrzelany w 1938 roku. Małżeństwo Irmy Martens z Polakiem umożliwiło jej repatriację do Polski w roku 1946. Repatriowała się wraz z matką i córką Anną, przyszłą piosenkarką znaną jako Anna German. Z tego, co wiadomo, Krzeczkowski odwiedził Irmę i jej córkę, czyli swoją pasierbicę, wkrótce, kiedy obie zamieszkały po przyjeździe ze Związku Sowieckiego w Nowej Rudzie na Dolnym Śląsku. W roku 1949 przeniosły się do Wrocławia. Irma z niewiadomych powodów zmieniła nazwisko z Gerner na Berner oraz utrzymywała, że jej mąż zginął w bitwie pod Lenino. Nie wiemy, czy Krzeczkowski utrzymywał kontakt z poślubioną w Kirgizji Irmą, czy miał świadomość, że niezwykle utalentowana piosenkarka Anna German to jego pasierbica. Dopiero w roku 2012 po wyemitowaniu serialu telewizyjnego o Annie German „Anna German. Tajemnica białego anioła" dociekliwym dziennikarzom udało się ustalić kilka faktów z jej życia. Anna German zmarła w 1982 roku, czyli na trzy lata przed śmiercią Henryka Krzeczkowskiego, Irma Berner (Gerner) odeszła z tego świata w roku 2007.

„Nie cierpię konfrontacji z przeszłością"

W roku 1943 Henryk rozpoczął nowy rozdział swego życia – wstąpił do armii Berlinga, do 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Po ukończonym szkoleniu podoficerskim został zastępcą dowódcy kursu w Centrum Szkolenia Piechoty w Riazaniu. W roku 1945 trafił do szkoły oficerskiej w Rembertowie. W listopadzie 1946 roku otrzymał skierowanie do II Oddziału Sztabu Generalnego (wywiad). Z uwagi na znajomość języków – włoskiego, angielskiego i niemieckiego – pracował jako rezydent wywiadu za granicą, m.in. w Rzymie, Paryżu, Mediolanie. Latem 1948 roku został wysłany do Wrocławia na Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju, gdzie pod nazwiskiem Henryk Meysztowicz dyskretnie kontrolował anglojęzycznych pisarzy. W tym samym roku marszałek Michał Rola-Żymierski rozkazem personalnym wydał zgodę Hermanowi Gernerowi na zmianę nazwiska na Henryk Krzeczkowski.

Pod koniec lat 40. Krzeczkowski zaczął rozmyślać o wyjściu z wojska. Wiedział, że jest niemożliwe, aby w sposób normalny zrzucić mundur oficera wywiadu, a był już w stopniu majora. Wielokrotnie słyszał od kolegów po fachu: „ze służb się nie wychodzi", „za dużo wiesz". Postanowił spróbować metody „na wariata". W kasynie oficerskim sprowokował awanturę, symulując przy tym zaburzenia psychiczne. W zakładzie psychiatrycznym uzyskał zaświadczenie, iż nie jest zdolny do pełnienia służby wojskowej. Według innej wersji Krzeczkowski został wyrzucony z wojska za sprawy obyczajowe, za homoseksualizm. A może jedna wersja nie wyklucza drugiej? W każdym razie w lutym 1951 roku stał się cywilem. Radykalnie odrzucił dotychczasową biografię. W roku 1955 zapisał w dzienniku: „Nie cierpię konfrontacji z przeszłością [...]. W okresie szczególnego »mitotwórstwa« stworzyłem się na nowo; nieważne, ile z tego mitu musiało odpaść, ile trzeba było zmodyfikować. Powstawał on zresztą nie tyle ze snobizmów, co z planowania; tworzyłem siebie jak architekt dom".

Jeszcze kiedy pracował w II Oddziale Sztabu Generalnego, w roku 1950, poznał Pawła Hertza. To Hertz, poeta, literaturoznawca, redaktor, w owym czasie pracownik Państwowego Instytutu Wydawniczego, wprowadził go do warszawskiego środowiska literackiego. Ta znajomość, a z czasem czterdziestoletnia serdeczna przyjaźń, okazała się bardzo ważna dla nich obu. Łączyło ich m.in. żydowskie pochodzenie, fascynacja polską kulturą, podziw dla Zygmunta Krasińskiego. Krzeczkowski żył do roku 1951 w zamkniętej wojskowej enklawie, nie miał znajomych po stronie cywilnej, nie miał rodziny – był samotny. W latach 50. codziennie Hertz i Krzeczkowski spotykali się w Kameralnej o godzinie dziesiątej wieczorem i rozmawiali do późnych godzin nocnych. Obaj byli sobą zaciekawieni, przy kawiarnianym stoliku odkrywali, jak wiele ich łączy, jak podobnie patrzą na kulturę, literaturę. „Bardzo wiele rzeczy, które pisałem – wspominał Hertz – powstało po rozmowach z nim".

„Zdumiewało mnie jego obycie kulturalne – pisał po śmierci Krzeczkowskiego Hertz. Henio był ode mnie młodszy o trzy lata, nigdy nie studiował i – jeśli nie liczyć Rosji – w młodości nie wyjeżdżał za granicę. Tymczasem zakres jego lektur, znajomość języków, umiejętność poruszania się w świecie sztuki i kultury, były czymś po wojnie rzadko spotykanym. [...] w osobie Henryka natrafiłem na kogoś, kto nie pisał, a z kim o rzeczach napisanych, namalowanych, skomponowanych, można było swobodnie porozmawiać. Oczywiście obu nas interesowała polityka, ale przede wszyst-

eprasa.pl eb5d10470b

kim poprzez pryzmat przeżytej historii" („Żal po Henryku Krzeczkowskim", „Gra tego świata", Warszawa 1997).

Do towarzystwa Hertza i Krzeczkowskiego dołączyli wkrótce Zygmunt Mycielski, Juliusz Żuławski, Zygmunt Kubiak i Stefan Kisielewski. Kisiel poznał Krzeczkowskiego w 1952 roku dzięki Pawłowi Hertzowi. W trójkę spędzili noc w Kameralnej na interesującej rozmowie podlewanej alkoholem. Kisiel następnego dnia spotkał jakiegoś znajomego, któremu powiedział, że poznał bardzo ciekawego człowieka o nazwisku Krzeczkowski. „A on na to – opisywał zdarzenie Kisiel – coś pan oszalał, przecież to ubek. Idę dalej i natykam się na Henryka. Mówię mu: Dowiedziałem się, że pan jest z UB, a ja panu tyle nagadałem. Na to on odpowiada: Owszem, jestem, ale to wszystko, co mi pan powiedział, zapomniałem".

Debiut w literaturze

Po wyjściu z wojska Krzeczkowski imał się różnych zajęć – udzielał korepetycji z języka angielskiego, pracował w Studium Wojskowym przy Szkole Ekonomicznej w Krakowie, w bibliotece Polskiej Akademii Nauk, w dziale zagranicznym Polskiego Radia. Nigdzie nie zagrzał dłużej miejsca. W roku 1953 został wyrzucony z partii. Sławomir Cenckiewicz pisał, że po odejściu Krzeczkowskiego z armii, „początkowo służby cywilne traktowały go jak informatora (rodzaj kontaktu obywatelskiego), ale w czerwcu 1958 r. Krzeczkowski kategorycznie odmówił jakiejkolwiek współpracy". Później sam był rozpracowywany – w Instytucie Pamięci Narodowej znajdują się akta jego rozpracowywania.

Po październiku 1956 roku, na fali tzw. odwilży, Krzeczkowski zaangażował się w tworzenie nowego pisma, miesięcznika literackiego. To on wymyślił jego tytuł – „Europa". Pismo miało być poświęcone „sprawom kultury i ruchu umysłowego w Polsce i za granicą". Wiosną 1957 roku grupa założycielska pisma otrzymała pozwolenie Sekretariatu KC PZPR, lokal, sprzęt biurowy. W stopce redakcyjnej mieli figurować: Jerzy Andrzejewski (redaktor naczelny), Juliusz Żuławski (zastępca redaktora naczelnego), Henryk Krzeczkowski (sekretarz redakcji), Marek Hłasko, Mieczysław Jastrun, Paweł Hertz, Janusz Minkiewicz, Zygmunt Mycielski i Adam Ważyk. We wrześniu został przygotowany pierwszy numer, zostały też zebrane materiały na trzy kolejne numery. W prasie, na przykład w „Nowej Kulturze", w „Przeglądzie Kulturalnym", pojawiły się zapowiedzi ukazania się nowego miesięcznika „Europa". Pierwszy numer jednak nie ukazał się – partia zatrzymała pismo na etapie „szczotek". „Właściwie ani Henryk, ani ja – wspominał Paweł Hertz – nie przeżyliśmy jakoś szczególnie likwidacji »Europy«". Obaj uznali po pewnym czasie, że dzięki temu uniknęli uzależnienia od władzy, wejścia w układ, który z czasem mógł uwierać.

W latach 1956–1958 pełnił funkcję recenzenta literackiego „Expressu Wieczornego", jednak jego głównym zajęciem stała się praca translatorska i edytorska. Okazał się być wybitnym tłumaczem z języka angielskiego, notabene zafascynowany był kulturą, literaturą anglosaską. Niezwykle cenił powieść angielską, a już w szczególności powieści wielkiego Evelyna Waugha (1903–1966), znakomitego pisarza, twórcy katolickiego, konserwatysty, który opisywał angielskie elity początku XX wieku: przywilej ekonomicznej niezależności i społecznego prestiżu, ale w zamian – służba wspólnocie, „ciężki obowiązek chronienia i przekazywania wartości stanowiących o sensie ludzkiego istnienia na ziemi".

Debiutował tłumaczeniem esejów Williama Hazlitta. Tłumaczył m.in. Jamesa George'a Frazera, Roberta Gravesa, Josepha Conrada, George'a Gordona Byrona, Isaiaha Berlina, Irvinga Stone'a, Wystana Hugha Audena. Z języka niemieckiego przełożył na przykład „Podróż włoską" Goethego. W 1974 roku otrzymał nagrodę polskiego PEN-Clubu za zasługi translatorskie.

Warto wspomnieć, że Krzeczkowski wspólnie z Jerzym S. Sito oraz Juliuszem Żuławskim dokonali wyboru i opracowania trzytomowej antologii „Poeci języka angielskiego". Antologia prezentuje dorobek siedmiu wieków poezji języka angielskiego. Ogółem antologia przedstawia około 200 poetów. Jako datę graniczną w prezentacji poetów języka angielskiego redaktorzy przyjęli rok urodzenia 1914.

Krzeczkowski, dbając o polskość, zorientowany był na to, co w naszej śródziemnomorskiej tradycji jest trwałe i nieśmiertelne. Czuł się dziedzicem kultury zachodniej i duchowości chrześcijańskiej, potrafił zachować mądry dystans do tego, co doraźne, przemijające. W tłumaczonej literaturze starał się przemycić te wartości, te treści, których z uwagi na cenzurę nie mogliby przekazać rodzimi twórcy, pisarze w czasach Peerelu. Uważał, że tłumacz staje się współodpowiedzialny za dzieło. Doskonale ujął to śp. Tomasz Merta: „Dla Krzeczkowskiego tłumaczenie było właściwie misją – oznaczało przyswojenie nowego, obcego dzieła nie tylko językowi, ale i kulturze narodowej. W nieunikniony sposób prowadziło to do pytania: co należy, co warto tłumaczyć? Właśnie w odpowiedzi na to pytanie kryje się odpowiedzialność moralna tłumacza, gdyż nie może on zupełnie odseparować się od myśli i idei przekładanego dzieła. Henryk Krzeczkowski uważał, że tłumacz musi się do pewnego stopnia identyfikować z pisarzem (równocześnie jednak będąc świadom swojej odrębności, bo jakże inaczej zdołałby przyswoić dzieło swojej kulturze?), co ma bardzo poważne konsekwen-

eprasa.pl eb5d10470b

cje – innymi słowy, nie można być równocześnie tłumaczem Hemingwaya i Faulknera [...]" („Zaproszenie do rozmowy", „Nieodzowność konserwatyzmu. Pisma wybrane", Warszawa 2011).

Jaka polska inteligencja?

Od połowy lat 60. częstymi gośćmi Krzeczkowskiego w jego niewielkiej dwupokojowej kawalerce przy ulicy Czackiego stali się Wojciech Karpiński i Marcin Król. To on kształtował ich poglądy konserwatywne, podsuwał lektury, inspirował do pracy, do pisania. Owocem tej współpracy stał się tom esejów autorstwa dwóch historyków idei pt. „Sylwetki polityczne XIX wieku" – jest to piętnaście szkiców o wybitnych działaczach i myślicielach okresu niewoli, m.in.: Maurycym Mochnackim, Zygmuncie Krasińskim, Aleksandrze Wielopolskim, Stanisławie Tarnowskim.

Karpiński i Król byli zafascynowani erudycją Krzeczkowskiego, którego poglądy zdecydowanie różniły się na tle warszawskiej inteligencji. A propos polskiej inteligencji: Krzeczkowski nie szczędził krytycznych uwag pod jej adresem. Według niego znaczna część powojennej inteligencji uległa „orwellowskiej deprawacji", inteligenci „zaprzedali się idei tworzenia »nowego szczęśliwego świata«". We wspomnianym już tekście Tomasz Merta pisał, że według Henryka Krzeczkowskiego zadaniem całej polskiej elity „powinna być przede wszystkim ochrona dziedzictwa narodowego, przechowanie w społecznej pamięci oraz przekazywanie nowym pokoleniom wiedzy na temat istoty polskości. [...]. Krzeczkowski był [...] pewien, że najważniejsze jest to, jak w momencie odzyskania niepodległości wyglądać będzie narodowa pamięć i czy Polacy – a przynajmniej elity – zachowają poczucie sensu historii narodowej, czy zdołają ochronić symbole i język przed totalnym znieprawieniem". Za namową Stefana Kisielewskiego Krzeczkowski zaczął pod koniec lat 60. publikować w krakowskim „Tygodniku Powszechnym", w latach 80. został członkiem redakcji tego pisma. W roku 1969 pojawił się jego pierwszy tekst w paryskiej „Kulturze" pod pseudonimem Mikołaj Sawulak. Pseudonimu tego używał też, publikując w pismach podziemnych. Swoje teksty zamieszczał w „Twórczości", „Znaku", „Życiu Literackim".

Kiedy i jak się dokonało jego nawrócenie, kiedy zbliżył się do Boga, raczej o tym nie mówił. Wiadomo, że był człowiekiem głęboko wierzącym.19 marca 1970 roku zapisał w dzienniku: „Bóg przeprowadza na mnie eksperyment, który tylko mnie wydaje się unikalny, ale tak powinno być, skoro moja dusza jest niepowtarzalna". Na temat wiary dużo rozmawiał z Hanną Malewską. Bywał w podkrakowskim Tyńcu u ojców benedyktynów, z którymi prowadził długie rozmowy na tematy teologiczne, filozoficzne, regularnie jeździł na rekolekcje. Opactwo tynieckie to szczególne miejsce w historii Polski, chrześcijańskiej Europy, w roku 2044 minie tysiąc lat od założenia klasztoru.

Na kształtowanie konserwatywnych, narodowych poglądów Krzeczkowskiego miały wpływ jego lektury, ale też na pewno rozmowy z przyjaciółmi. Czerpał z różnych źródeł polskiej i europejskiej tradycji. Był pełen uznania dla Józefa Piłsudskiego, ale najwyżej cenił polityczny geniusz Romana Dmowskiego, którego książek postępowa polska inteligencja nie brała nawet do ręki, pogardzała nim jako faszystą i antysemitą. Krzeczkowski nie był jednak zaślepionym admiratorem przywódcy polskiej endecji, widział także słabości i błędy.

Z czasem Karpiński i Król zbliżyli się do warszawskiego salonu, rozluźniły się ich relacje z Krzeczkowskim, który niezmiennie hołdował prawicowym poglądom. W roku 2016 wyszła książka Wojciecha Karpińskiego, biografia Krzeczkowskiego pt. „Henryk", w której pisał: „Gdzieś od roku 1976 także nasze rozmowy na tematy polityczne stawały się trudniejsze i mniej częste. Powstanie KOR-u przyjął z nieufnością. Wypowiadał tyrady przeciw »dysydentom«, »egzystencjom katylinarnym« (zbierał materiały do rozprawy o spisku Katyliny). Widział, że nie znajduje u mnie aprobaty dla tych poglądów. Szukał jej gdzie indziej. Krąg jego młodych rozmówców (słuchaczy) w tym okresie ewoluował, przesuwał się na prawo. Nie podzielałem opinii Henryka, ale doceniałem niezwykły wysiłek mobilizowania młodych umysłów do samodzielnego myślenia".

Krzeczkowski bardzo krytycznie patrzył na partyjnych rewizjonistów, trockistów; lewicowe, kosmopolityczne środowisko tzw. komandosów, Komitetu Obrony Robotników.

W kawalerce przy ulicy Czackiego zaczęli bywać młodzi konserwatyści, którzy latem 1979 roku utworzyli Ruch Młodej Polski: Jacek Bartyzel, Aleksander Hall, Marek Jurek, Tomasz Wołek, Wiesław Walendziak. Tomasz Wołek uważał Krzeczkowskiego za ojca duchowego „Polityki Polskiej", pisma RMP, w którego redakcji zasiadali oprócz wcześniej wymienionych osób Jarosław Kaczyński i Rafał Matyja.

Henryk Krzeczkowski zmarł po ciężkiej chorobie 28 grudnia 1985 roku. Zgodnie z własną wolą został pochowany na cmentarzu w Tyńcu. Pozostawił po sobie kilkadziesiąt przetłumaczonych książek, tyle samo rozproszonych artykułów oraz trzy zbiory esejów, recenzji: „Po namyśle", Znak, Kraków 1977; „O miejsce dla roztropności" (pod pseudonimem XYZ), Odnowa, Londyn 1979; „Polskie zmartwienia" (pod pseudonimem Mikołaj Sawulak), Odnowa, Londyn 1981. ■

eprasa.pl eb5d10470b

Ostrymi rysami twarzy przypominała Elżbietę I (od strony matki sama wywodziła się z Plantagenetów). Jej okazała smukła sylwetka – miała 182 cm wzrostu – w najbardziej nieoczekiwanych strojach pojawiała się na publicznych spotkaniach literackich w Londynie, często uwieczniana na obrazach i fotografiach. Nie była próżna, niezwykłe stroje były prowokacją artystyczną, a nie kokietowaniem publiczności.

Ewa Polak-Pałkiewicz



Wszystkie niespodzianki panny Sitwell

eprasa.pl id1047dh

Przychodziła w wieńcach laurowych pomalowanych na złoto, w ogromnych turbanach, w ekstrawaganckich sukniach z brokatu i aksamitu, w dziwnej biżuterii. Zawsze poważna i skupiona, bez uśmiechu. Nie epatowała wybujałą kobiecością, to było świadome przebranie, pełne symboli. Rodzaj teatru, który miał ukazać dramat zderzenia kruchej, wystawionej na niebezpieczeństwa psychiki człowieka z rygorem i posłannictwem sztuki.

Mieli „mistycyzm we krwi i kościach"

Edith Louise Sitwell (1887–1964) była jedną z najbarwniejszych postaci pośród angielskich twórców. Przez wiele lat zmagała się z pokusą zasilenia szeregów zadeklarowanych przeciwników Kościoła. Z pochodzenia arystokratka – siostra dwóch pisarzy Osberta i Sacheverella Sitwellów – wprowadzała konsekwentnie, precyzyjnie i „naukowo", z ich pomocą, program zintelektualizowania języka poetyckiego. Była zawziętą eksperymentatorką, frapowała ją zmiana w zakresie rytmiki wiersza. Lubiła łączyć poezję z muzyką, zasłuchana w dźwięk i brzmienie słowa. Towarzyszyła jej sława oryginalnego talentu i odważnej propagatorki „nowej sztuki". Przez długie dekady zwalczała bardzo popularnego i cenionego w jej kraju klasycyzującego poetę Alfreda Noyesa, z którym rywalizowała, ale też starała się go skompromitować jako artystę „niedzisiejszego", „staroświeckiego" (nazywała go „Tanim Linoleum"). Swoje nowatorskie pasje prezentowała w almanachu „Wheels", który lansował poezję młodych awangardowych twórców.

Edith Sitwell otaczano w środowisku artystycznym rodzajem płaszcza ochronnego, uważając za duże dziecko. Brano pod uwagę zarówno jej stan zdrowia, niełatwe życie – wychowywana była przez guwernantkę, nigdy nie zaznała ciepła rodzicielskiej miłości – jak i nieco fanatyczną bezkompromisowość. Krytycy potrafili jednak być wobec niej bezlitośni, jeden z nich oskarżył ją, że w swojej twórczości cały czas zajęta była „Noszeniem krwawiących serc innych ludzi na własnym bezpiecznym rękawie". Ona sama scharakteryzowała jednego ze swoich krytyków, F.R. Leavisa, jako „nużącego, marudzącego i małostkowego małego pisklaka".

W 1923 roku odbyła się publiczna debata w London School of Economics, w której mieli się zmierzyć Sitwell i Noyes, dyskutując „o zaletach nowej poezji". Prowadzący debatę Edmund Goss został uprzedzony, „że cierpiąca na nerwicę Sitwell jest na granicy omdlenia", i dyskretnie poprosił Noyesa, by obchodził się z nią łagodnie („Nie używaj, błagam, kija na głowę biednej Edith"), choć sam poeta miał obawy, „że może stać się ofiarą krzykliwych stronników Edith" i „zostać nagle zaatakowany przez rozwścieczone stado dziwnie upierzonych ptaków, gorączkowo próbujących udziobać go w nos" – jak zapisał w swoich wspomnieniach. Poetka pojawiła się w przeładowanym ozdobami stroju, purpurowej sukni i złotym wieńcu laurowym. Gdy poprosiła, by jej stronnicy mogli zasiąść przy niej na scenie, Noyes oświadczył, że on także chciałby przyprowadzić swoich stronników, Wergiliusza, Dantego, Szekspira. Debata była ostra, ale bez większych afrontów. Goss odprowadzając poetkę, uspokajał ją: „Nie przejmuj się, Edith, jestem pewien, że współcześni Szekspira też uważali go za szaleńca".

Komentarze po debacie, niepozbawione złośliwości, wskazywały, że opinia publiczna jest zdecydowanie po stronie nowatorów. Niewielu ludzi zdawało sobie sprawę, że „rozluźnienie formy" może grozić upadkiem w bezkształtność. „W którym miejscu wolny wiersz staje się tak wolny, że przestaje być wierszem?" – pyta biograf poetki, Joseph Pearce.

W 1927 roku Alfred Noyes został rzymskim katolikiem. Uznane to zostało powszechnie za najważniejszy akt jego wojny toczonej przeciw modernizmowi w sztuce. A przecież jego własne słowa o tym wydarzeniu są daleko głębsze niż mogliby sobie to wyobrazić ludzie śledzący jego walkę: „W Anglii" – pisał, nie bez goryczy, świadom licznych nieprzychylnych komentarzy towarzyszących jego decyzji – „przydało to nowego sensu ruinom Glastonbury i Tintern, nowego znaczenia samemu Opactwu Westminsterskiemu, a nawet Bożemu Narodzeniu, bo współczesna Anglia zapomniała, że istnienie opactwa implikowało kiedyś istnienie opata i że Boże Narodzenie było kiedyś narodzinami Boga. Był to renesans umysłu, w którym literatura i filozofia wszystkich wieków nabrała nowej i niezwykłej urody…". „Istnieje słońce" – dodawał – „wokół którego porusza się cały wszechświat. I nie próbuje być oryginalne, ponieważ samo jest początkiem. Nie musi być nowoczesne, ponieważ jest starsze od samego czasu i nowe każdego ranka".

Te słowa „staroświeckiego" poety oznaczały także, że on sam, Edith Siwell, T.S. Eliot, a także bliski przyjaciel Sitwell, poeta Siegfried Sassoon, znany z wojennych wierszy, oficjalnie ateista, w najbardziej istotnych sprawach nie różnili się tak bardzo; wszyscy mieli „mistycyzm we krwi i kościach".

„Pan zrozumiał wszystko"

Poetka przez wiele lat miała silne przeświadczenie o swojej misji i zarazem poczucie całkowitej odrębności i samotności. „Nie przywykłam do tego, by ludzie rozumieli cokolwiek z mojej poezji prócz przygodnie wychwyconego obrazu" – pisała w liście do Grahama Greena, który zachwycił się jej tomikiem, „a i to tylko częściowo, jako że nie pojmują stojącej za nim inspiracji duchowej. Pan zrozumiał wszystko". A przecież sam Green irytował się nieraz na skrajne przejawy eksperymentalizmu poetyckiego. Szczerze bronił Sitwell, ale „nie

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl eb5d10470b

czuł się tam całkiem u siebie". „Nie ma większego ode mnie admiratora poetów takich jak panna Sitwell, ale nie rozumiem, dlaczego miałoby to uniemożliwić mi podziwianie także pana Drinkwatera. Poezja byłaby zaiste nudna, gdyby wszyscy byli rewolucjonistami, nikt zaś konserwatystą". Bliska mu była postawa Chestertona, który nie wahał się ironizować: „wszyscy nowatorzy przyjmują pewne rzeczy hurtem, głównie dlatego, że przypuszczają (często błędnie), iż wszyscy starcy odrzucą je z przerażeniem".

W 1954 roku, w dniu urodzin królowej, Edith Sitwell otrzymała Krzyż Komandorski Orderu Imperium Brytyjskiego. Było to dla niej ogromną satysfakcją, radością i ukojeniem, bowiem była nadwrażliwa na krytykę i nie zdawała sobie sprawy, jak jej zapalczywość podsycała zarówno „skrajne postawy uwielbienia", jak i wrogości. Ale właśnie od czasopisma „Spectator", które, jak twierdziła, uporczywie ją prześladowało, doczekała się po tym wyróżnieniu prawdziwego hołdu: „Dr Edith Sitwell jest największym poetą, jaki się dotąd narodził pośród kobiet angielskich, i Order Imperium Brytyjskiego zaczynał już wyglądać doprawdy śmiesznie na naszym Parnasie, skoro wśród jego zdobywców nie było dr Sitwell. [...] Kiedy będę miał przyjemność zwrócić się do niej jako do dame Edith, wówczas, wypowiedziawszy ów tytuł, uświęcony w baśniowej wyobraźni dzieciństwa, zwrócę się do wielkiej postaci angielskiej historii" – pisał powieściopisarz Compton Mackenzie na łamach „Spektatora". Thomas S. Eliot gratulował jej wyróżnienia, co było dla niej szczególną przyjemnością, bowiem uważała go za „największego poetę naszych czasów" – jak napisała do niego, gdy otrzymał Nagrodę Nobla (1948 rok). Jej własny poemat inspirowany dziełem Eliota „Ziemia jałowa" wyraźnie współbrzmi z wizją poety, zawiera obraz „okropności i pustki życia współczesnego". Stał się też ostrożnym krokiem ku nawróceniu religijnemu.

Po II wojnie światowej, gdy Sitwell wciąż nie potrafiła zdecydować się na konwersję na katolicyzm, choć odczuwała istotne powinowactwo z myślą chrześcijańską, jednym z przełomowych momentów w tej drodze okazała się admiracja, jaką odczuwała wobec Roya Campbella, poety i pisarza, także żołnierza biorącego udział w wojnie domowej w Hiszpanii po stronie gen. Franko i uczestnika walk z Niemcami w II wojnie, żarliwego katolika, nawróconego po burzliwej rewolucyjnej młodości. Edith Sitwell zapamiętała, że wziął kiedyś jej stronę, i uznała, że jest jej oddanym obrońcą, nieco go idealizując. Podobnie jak ona odznaczał się on imponującym wzrostem.

Pewien znany krytyk „wciąż mnie obrażał" – opowiadała Edith Sitwell w towarzystwie – „i Roy postanowił dać mu nauczkę. Był wielkim i niesłychanie silnym facetem i po prostu znokautował go jednym ciosem. Tamten był przerażony i skulił się, leżąc na podłodze. A Roy powiedział: „»Jeśli znów obrazisz doktor Sitwell (taki miałam wtedy tytuł), wiesz, co cię spotka«. I póki Roy żył, tamten już nigdy nie zrobił tego. A potem zaczął znowu".

Elizabeth Salter, australijska pisarka, przyjaciółka poetki, wspominała, że „Roy Campbell ogromnie dużo dla niej znaczył. Nie tylko był poetą, którego podziwiała, lecz również kimś wyjątkowym w jej życiu, obrońcą. Być może dlatego, że sama siała taki postrach, nieczęsto się zdarzało, by admiratorzy stawali w jej obronie, a jeszcze rzadziej – że bronili ją własnym ciałem. Edith odczuwała elżbietański szacunek do mężczyzny, który umiał tak samo dobrze posłużyć się pięścią jak głową, i na rycerskość Campbella odpowiadała czysto kobiecą wdzięcznością".

„Spokój na twarzach włoskich chłopek…"

Panna Sitwell nie mogła rzecz jasna nie dostrzec, że „jej rycerz w lśniącej zbroi był zarazem rzecznikiem Kościoła wojującego". Gdy po wielu latach wewnętrznych zmagań podjęła wreszcie decyzję o chrzcie, zależało jej bardzo, by jej rodzicami chrzestnymi był Roy i jego żona Mary. Nie przyjmowała do wiadomości, że Roy jest już ciężko schorowany i że mieszka z żoną w Portugalii (na dalekiej prowincji, w małej wiosce). W maju 1955 roku pisała do swojego katechety, ojca Caramana: „Wierzę i ufam całym sercem, że stoję na progu nowego życia. Ale będę musiała się na nowo narodzić. I będę musiała jeszcze zobaczyć cały świat jak gdyby po raz pierwszy, i zrozumieć na tyle, na ile potrafię. Modlitwa zawsze sprawiała mi trudność. Przez co rozumiem jedynie to, że czuję się bardzo daleka, jak gdybym mówiła w ciemność. Ale mam nadzieję, że będzie to uleczone. Kiedy myślę o Bogu, nie czuję się bardzo daleka…".

Po dogłębnej lekturze św. Tomasza pisała, że czuje, iż zwątpienie jest „całkowitą porażką intelektu". Ale i dostrzega wyraźnie, że „wiara całkowicie intelektualna nie wystarcza: trzeba nie tylko myśleć, że się wierzy, lecz wiedzieć, że się wierzy. Musi istnieć szósty zmysł w wierze".

Kiedy człowiekowi dane jest „oglądanie rzeczywistości za światem zjawisk" – dodawała – „wtedy istnienie Boga trzeba uznać bez żadnych deliberacji…". „Bo jeśli cokolwiek w ogóle istnieje" – precyzowała – „musi istnieć coś w pełni rzeczywistego…" . Nawiązała w tych zwierzeniach do swojego dzieciństwa (bardzo niełatwego i pełnego bólu z powodu odtrącenia przez rodziców i choroby kręgosłupa): „Kiedy byłam bardzo małym dzieckiem, zaczęłam widzieć formy świata, obrazy cudu. I pytałam siebie, dlaczego te formy się powtarzają – pióro, paproć, róża i żołądź w rysunkach szronu – forma za formą, powtarzana bez końca. I już wtedy wiedziałam, że to nam coś mówi. Na tym oparłam swą poezję".

Ekscentryczna i dość zarozumiała w latach młodości, miała wyjątkową łatwość przyjęcia autorytetu Kościoła.

eprasa.pl eb5d10470b

Rozumiała potrzebę tego autorytetu, co było trudnością nie do pokonania dla wielu intelektualistów. Zagłębiając się w filozofię chrześcijańską, nie wahała się wyznać, że tym, co ją najbardziej frapuje i przyciąga do Kościoła, „jest spokój na twarzach chłopek modlących się w kościołach włoskich". W innym liście, tuż przed przyjęciem chrztu, wyznawała, że wciąż tkwi „w głębi nocy, gdzie nie ma żadnego głosu ani światła. Prawie że mogłabym być martwa – z wyjątkiem chwil, gdy biorę do ręki św. Tomasza z Akwinu, a wtedy… staję się znów dojmująco żywa".

Gdy jej przyjaciel David Horner nawrócił się i przyjął chrzest w Kościele, w liście do niego dzieliła się swoim spostrzeżeniem: „Nigdy nie rozumiałam, dlaczego ludzie obawiają się konstruktywnych reguł. Bardzo nieliczni zdolni są powziąć jakiekolwiek wielkie postanowienie, ale ty okazałeś się zdolny". A przecież jak można być ślepym na to, że taki krok „daje bezgraniczne poczucie spokoju, pokoju i bezpieczeństwa, i wielką ramę, na której można rozpiąć swoje życie".

„Wiem, że jestem okropny"

Roy i Mary Campbellowie nie mogli zostać rodzicami chrzestnymi Edith i rola ta przypadła innemu przyjacielowi Edith, Evelynowi Waughowi. Wcześniej napisał do niej uradowany jej decyzją: „Witaj. Witaj wśród nas. […] Znam wielu świeckich, którzy zechcą podziękować za Ciebie Bogu i wielu księży, którzy zechcą wspomagać Cię podczas mszy". Przestrzegał też, by zachowała w tajemnicy miejsce i datę chrztu, by nie stać się obiektem złośliwości źle nastawionych mediów. Wiedziony złym przeczuciem, zwrócił się też do ojca Caramana, jej duchowego przewodnika: „Ufam, że nie wydam się ojcu impertynentem. Jestem starym przyjacielem Edith i kocham ją. Niekiedy skłonna jest zanadto zwracać na siebie uwagę". Namawiał usilnie zakonnika, by chrzest odbył się poza Londynem i nie stanowił żeru dla prasy: „Obawiam się bowiem, że prasa popularna rzuci się na nią jak na swego rodzaju Garbo-królową Krystynę. Kiedy sam się chrzciłem, byłem nieporównanie mniej sławny, a doskonale pamiętam, ile przykrości kosztował mnie rozgłos, na który bezmyślnie przyzwoliłem. Jest tylu złośliwców, by wyśmiać tę Sitwell…".

Evelyn Waugh nie miał wątpliwości, że jego nadwrażliwa przyjaciółka jest łatwym żerem dla popularnej prasy, ale – paradoksalnie – to on sam, uczestnik chrztu Sitwell, stał się obiektem kpin. „Observer" krótko po tym wydarzeniu opisał go jako „zgorzkniałego romantyka, wystudiowanego galanta i samotnika, zwykłego komedianta, ojca katolickiej rodziny", pointując, że jest jedną „z najbardziej dziwacznych postaci naszych czasów". Jako argument podano, że ojciec chrzestny Edith Sitwell, Waugh, pojawił się w dość nieoczekiwanym stroju, „krzykliwym tweedowym garniturze w czarno-białą jodełkę, w czerwonym krawacie i w kapeluszu słomkowym, z którego powiewały czerwone i błękitne wstążki". Bardzo odcinał się od reszty zebranych panów w nobliwej czerni. Sama Edith, jak pisał Waugh w jednym z listów, była „wbita w czarną suknię" i „wyglądała pięknie – niby szesnastowieczna infantka, a jej wyrzeczenie się wszelkiej herezji brzmiało jak śpiew srebrnego dzwonu".

Po ceremonii Edith wydała wielkie przyjęcie w swoim londyńskim Sesame Club. „Miejsce to malowało mi się w ponurych barwach" – wspominał Waugh – „ale wyżerka była pierwszorzędna". Wśród gości pojawił się znany aktor Alec Guinness – „Bardzo nieśmiały i łysy jak kolano", serdeczny przyjaciel poetki, który także był konwertytą i wkrótce otrzymał chrzest w Kościele. Waugh był pod wrażeniem tego spotkania i napisał do Edith: „Czy jako twój ojciec chrzestny mogę przestrzec Cię przed wstrząsami, jakie zapewne czekają cię w związku z ludzkimi aspektami katolicyzmu? Nie wszyscy księża są tak bystrzy i uprzejmi jak o. D`Arcy i o. Caraman… Ale sama już na tyle znasz świat, żeby wiedzieć, że są katoliccy nudziarze, katoliccy pedanci, katolicy oszuści i katolicy łajdacy. Sam zawsze mówię sobie: »Wiem, że jestem okropny, ale o ile bardziej byłbym okropny bez wiary«. Jedną z pociech w życiu katolika jest to, że dostrzega wszędzie iskierki dobra". I Waugh nie byłby sobą, gdyby nie dodał na koniec do blisko siedemdziesięcioletniej Sitwell: „W niedzielę słyszałem poruszające kazanie o niebezpieczeństwach stwarzanych przez nieskromne stroje kąpielowe i pomyślałem, że ty i ja jesteśmy wreszcie w tym względzie bez winy".

Z wygnania wrócić do domu

Nie wszyscy jednak bliscy Edith Sitwell byli tak uradowani z powodu jej nawrócenia. Jej brat Sacheverell był szczerze zasmucony. W „Serenadzie dla Siostry" pisał z goryczą: „Gdzie się schroniłaś, siostro, /Wśród pacierzy i litanii?". I żalił się: „Odmawianie różańca/ Jest jak liczenie płatków/ Róży w starej, wyschniętej dłoni./ Nie takiej jak twoja/ Jędrna i silna/ Jak tygrys od tygrysiej lilii".

Edith otrzymała też sporą garść połajanek od znajomych i impertynenckich listów od nieznajomych. Gdy pewien handlarz dywanów z Nowego Jorku wytykał jej, że „przystąpiła do Kościoła, który nie obmył się w krwi rzezi w dniu św. Bartłomieja", wysłała do niego kartkę pocztową ze słowami: „Nie bądź pan głupi. Edith Sitwell". Anonimowy list zawierał gwałtowne oskarżenia, które cytowała potem we wspomnieniach, jego autor „mówił mi, że jestem znienawidzona, bo jestem »wulgarna, pospolita«… bo noszę »wulgarne kolczyki, którymi pogardziłaby najnędzniejsza z kelnerek« (dlaczego kelnerki miałyby być nędzne?), bo jestem »oszukańczą, fałszywą, trzeciorzędną

eprasa.pl eb5d10470b

poetką«, bo »dobrą poezję czytam w sposób straszny«… i – rzecz jasna – bo jestem katoliczką".

Tendencyjny i kłamliwy artykuł ukazał się także w „Time Magazine". Aleca Guinnesa pomówiono tam, że wyśmiewał rzekomy teatralny entourage towarzyszący jej chrztowi. Natychmiast po przeczytaniu tekstu aktor pojechał do Sesame Club i wyjaśnił, że nie miał nic wspólnego z podobnym opisem. W tym samym momencie przybył do Sitwell dziennikarz „Time" z egzemplarzem gazety i na widok Guinnessa szybko się zmył, mnąc ją i ukrywając na piersiach marynarki. Alec był wstrząśnięty tą zniewagą i zarazem podziwiał pełną spokoju reakcję poetki, która po chrzcie tak wyraźnie się zmieniła. Nie tylko nie upierała się przy roli Królowej Literatury, a gdy ją krytykowano, nie unosiła się, jak miała wcześniej w zwyczaju (twierdząc na przykład, że „żadna z osób, które miały czelność mnie zaatakować, nie posiada ani krzty zmysłu poetyckiego"). Nie była skłonna do utarczek, protestów i wylewania żalów.

„Kiedy mijam kaplicę, w której ją ochrzczono" – pisał po latach Alec Guinness – „nadal widzę jej wysoką postać z dopasowanej czarnej sukni, podobną do jakiegoś egzotycznego ptaka, i widzę ojca Caramana, który w starożytnym obrzędzie wylewa wodę na jej czoło. Wydała mi się jak postarzała księżniczka, która z wygnania wraca do domu".

A jednak zabierała odważnie głos w sprawach, które ją najbardziej obchodziły. W 1963 roku odniosła się do publikacji obscenicznej książki Williama Burroughsa, której towarzyszył spory rozgłos, mówiąc, że autor „wylewa swe brudne myśli na brytyjskiego czytelnika", i dodając: „nie mam najmniejszej ochoty spędzić reszty życia wtykając nos w ustępy moich bliźnich. Wolę Chanel nr 5".

Broniła publicznie księży katolickich przed jadowitymi oskarżeniami o dwulicowość. Robiła to w sposób dowcipny i błyskotliwy. Odeszła w 1964 roku, ciesząc się pod koniec życia szacunkiem krytyki literackiej i wdzięcznością wielu czytelników. „Times" napisał, że ostatnie jej wiersze wyrażają odrazę wobec „przemocy i okrucieństwa świata, złączone z głęboką wiarą w ostateczną dobroć Boga i świętość przyrody… Jej poezja, podobnie jak osobowość, była osobliwa, mocna i wykraczająca nieco ponad doczesność… do końca zachowała niezłomną wzniosłość i szczerość sposobu bycia oraz czystość wizji religijnej".

▶ „Nawrócony do Rzymu: Dlaczego mnie to spotkało?"

Wbrew obowiązującej jeszcze do niedawna w Europie zasadzie, że ludzie kulturalni przy okazji spotkań towarzyskich nie powinni rozmawiać o religii i polityce, w Anglii, w latach poprzedzających I wojnę światową namiętnie spierano się na ten temat w otwartych debatach. Prym w tych dyskusjach wiedli pisarze Bernard Shaw i G.K. Chesterton.

„Chestertończycy i Shawianie to gatunki dobrze znane w Oksfordzie" – pisał w 1912 roku Hugh Lunn, brat pisarza Arnolda Lunna – „Shawianin, wyniesiony ponad ludzkie emocje, jest inteligentny, ale zarozumialec. Chestertończyk, mniej olśniewający, daje się bardziej lubić. Nie interesują go postępowe idee, chciałby za to połączyć dowcipną inteligencję z uczciwością. Dlatego opowiada się za pisarzem, który z humorem broni dawnych sposobów myślenia i atakuje współczesnych myślicieli, uważając ich za starych nudziarzy w przebraniu".

Arnold Lunn (1888–1974) był jednym z najbardziej uważnych obserwatorów tego sporu. Syn świeckiego pastora metodystów nigdy nie był w stanie utożsamić się z wyznaniem rodziców, a lekcje religii w szkole były dla niego „tak dziwne", jak pisał po latach, że anglikanizm przez całe życie był mu czymś obcym. Wspominał, że z powodu „żałosnych braków anglikańskiej edukacji stał się bezbronny wobec ataków ateistów" i został agnostykiem.

Twórczość Chestertona poznawał podczas studiów w Oksfordzie; namiętnie zaczytywał się też w książkach Belloka; imponowała mu jego wojowniczość. Traktował go jak swego rodzaju proroka. Przyznał kiedyś, że „potężny głos", który Belloc „wydobywał ze swej katolickiej trąby, miał niszczący wpływ na ściany mojego protestanckiego Jerycha".

Roland Knox, syn anglikańskiego biskupa, później ksiądz katolicki, którego konwersja stała się głośnym wydarzeniem w środowisku intelektualnym, w tym samym czasie studiował w Oksfordzie. Dobrze znał Lunna i uważał go za „zgorzkniałego protestanta". Współpracowali razem w Związku Oksfordzkim, redagowali studencki tygodnik „The Isis", ale nic zgoła nie zapowiadało, że ćwierć wieku później Roland Knox będzie go przyjmował do Kościoła katolickiego. Bo Lunn był jednym z najtwardszych oponentów wobec Kościoła wśród ludzi pióra, najbardziej podejrzliwym, jeśli chodzi o autentyczność nawróceń swoich rodaków i najbardziej wątpiącym w to, że prawda katolicka nie zawiera błędu, a jej głosiciele nie mają skłonności do manipulacji.

Miał zawsze ciągoty do ujawniania faktów wysoce niewygodnych, jak mniemał, dla ludzi wierzących. W swojej pierwszej powieści „The Harrovians", która przyniosła mu wielki sukces, zawarł obraz prywatnej szkoły angielskiej daleki od wyidealizowanego wizerunku obecnego w literaturze. To właśnie ta książka tak mocno „uderzyła do głowy" młodemu Evelynowi Waugh jako demaskatorski dokument zbiorowej hipokryzji; czytał ją na głos uczniom jego anglikańskiej szkoły młody nauczyciel religii. Wkrótce pojawiła się kolejna książka Lunna, „Loose End", gdzie zupełnie już nie ukrywał antychrześcijańskiego nastawienia. W zamierzeniu była to polemika z „Some Loose Stones" Rolanda Knoxa i „Kulą i krzyżem" Chester-

eprasa.pl eb5d10470b

tona: opis sporu dwóch uczniów, z których zadeklarowany ateista góruje intelektualnie nad chrześcijaninem. Sukces książki, ale w jeszcze większym stopniu wyjątkowy wysyp nawróceń wśród ludzi pióra i książek dokumentujących te konwersje, skłoniły Lunna niebawem do użycia jeszcze bardziej zaostrzonego pióra.

„Rozpieszczone dziecko szczęścia" gra na nerwach Arnoldowi

Biograf pisarza, Joseph Pearse, próbuje odtworzyć nastrój, w którym Lunn wstąpił w szranki. „W świecie, w którym zaroiło się od nawróconych krzyżowców, Lunn postanowił wystąpić w roli niewiernego, a bezpośrednim impulsem do działania była znów postać Rolanda Knoxa". Zirytowała go zwłaszcza „A Spiritual Aeneid", w której Knox opisywał swe nawrócenie we wrześniu 1917 roku. „Pamiętam, że wyjątkowo rozdrażnił mnie ustęp, w którym to rozpieszczone dziecko szczęścia, gdyż za kogoś takiego go uważałem, wyznawało, że odczuwa instynktowną sympatię dla spraw przegranych, czego jedynym świadectwem było rzewne współczucie dla Stuartów" – wspominał Lunn. Chwyciwszy za pióro, napisał „drapieżną filipikę" przeciwko „A Spiritual Aeneid", ale nikt nie chciał mu tej książki wydać. Nie dawał za wygraną i kolejną książkę poświęcił pięciu najsłynniejszym wówczas angielskim konwertytom na katolicyzm: Newmanowi, Manningowi, Chestertonowi, Knoxowi i Tyrrelowi.

Choć książka „Rzymscy konwertyci" była wysoce zjadliwa, autor zaczął zwracać uwagę na głębsze motywacje bohaterów, nie uczuciowe, a rozumowe. Sam zawstydził się później swoją ówczesną ignorancją teologiczną i filozoficzną; „[…] nie potrafiłem należycie przeanalizować argumentów, które skłoniły błyskotliwych ludzi do uznania twierdzeń Rzymu" – przyznawał. Zaczął rozważać racje Kościoła poważniej i dogłębniej. Gdy książka się ukazała, zarówno Knox, jak i Chesterton zaskoczyli go powściągliwą, wręcz uprzejmą reakcją na tę „wrogą krytykę". Lunn zaczął zdawać sobie sprawę, że najbardziej rozpowszechnione opinie na temat katolików są nie tylko powierzchowne, ale wręcz nieobiektywne, głupie i krzywdzące. Jego książka tak dalece odbiegała od tendencyjności obiegowych sądów, wypowiadanych z wielką pewnością siebie, że Bernard Shaw po jej przeczytaniu przestrzegał jego ojca, sir Henry`ego Lunna: „papiści jeszcze przechwycą twojego Arnolda".

Lunn jednak nie zamierzał się poddawać. Na kilka lat przerwał działalność pisarską i oddał się górom i narciarstwu (od dzieciństwa spędzał w Alpach każdą zimę, a jego ojciec porzuciwszy zajęcie pastora, zajął się biznesem turystycznym). Był pełen wigoru, pomysłów, jako pierwszy zdobył Eiger. Został twórcą nowoczesnego slalomu. Odnosił wielkie sukcesy. (W 1931 roku udało mu się zorganizować pierwsze mistrzostwa świata w zjeździe i slalomie i doprowadzić do tego, by stały się one dyscypliną olimpijską. Był zdegustowany, gdy w 1936 roku Zimowe Igrzyska Olimpijskie odbyły się w Garnisch-Partenkirchen; pisał, że Komitet Olimpijski złożył Hitlerowi największy możliwy komplement, powierzając nazistom organizację letnich i zimowych igrzysk. Jego syn Peter, kapitan drużyny angielskiej, zbojkotował uroczystość otwarcia igrzysk i wystawny bankiet wydany przez nazistów. W 1952 roku Arnold Lunn otrzymał tytuł szlachecki za „zasługi dla brytyjskiego narciarstwa i stosunków angielsko-szwajcarskich").

Choć jego poglądy polityczne były niemal tożsame z zapatrywaniami i ideami Chestertona i Belloka, nie potrafił przełamać zawziętej wewnętrznej nieufności wobec wiary i Kościoła. „Zmora religii zaczęła go dręczyć na nowo w 1929 roku" – notuje jego biograf. Tym, który ją wywołał, był tym razem słynny uczony, filozof i matematyk A.N. Whitehead. Choć nie był katolikiem, jednak to jego książka „Nauka i świat nowożytny" wyznaczyła intelektualny przełom Lunna. Autor pisał o ruchu późnego odrodzenia, którego oblicze stanowiły reformacja i rozwój nauki, ale nie był to bynajmniej zwrot ku rozumowi. „Przeciwnie, był to ruch całkowicie antyintelektualny… a opierał się na odwrocie od sztywnego racjonalizmu myśli średniowiecznej".

Książka niekatolickiego uczonego, który okazał się tak intelektualnie uczciwy, sprawiła, że Lunn zaczął studiować dzieła św. Tomasza i średniowiecznych scholastyków, idąc tropem największych konwertytów w swoim kraju, a także Francuzów Jacquesa Maritaine`a i Etienne Gilsona. Był wstrząśnięty, gdy uświadomił sobie różnicę „między obiektywizmem, z jakim św. Tomasz formułuje i odpiera argumenty przeciwko Wierze, a wykrętną zmową milczenia, jaka otacza argumenty przeciwko teorii ewolucji". Kolejną książkę „Ucieczka od rozumu" („The Flight from Reason"), opublikowaną w 1930 roku, poświęcił właśnie owemu uderzającemu kontrastowi „między ufnym racjonalizmem św. Tomasza i bojaźliwą afektacją nowoczesnych proroków", jak podsumował później w autobiografii.

„Ci nowocześni myśliciele z zapałem piłują gałąź, na której siedzą!"

Jeśli nowoczesna moda intelektualna skłania do „ucieczki od rozumu", to Arnold Lunn, świadom, jak niebezpieczna jest to pułapka i że pozostawia ona ziemię sztuki i nauki pustynną i jałową, postanowił powrócić do rozumu, „na skałę scholastyki z lotnych piasków subiektywizmu". Odkrył, że „Naczelnym rysem myśli nowożytnej jest pewna ukryta przesłanka, która w ostatecznym rachunku przeczy prawomocności wszelkiej filozofii". Przesłanka ta w istocie domaga się pokornej „wiary" w tezy Freuda

eprasa.pl eb5d10470b

i Marksa. Tymczasem „komunizm marksowski nie jest niczym więcej niż odzwierciedleniem liberalizmu spod znaku laissez-faire oraz industrializmu Anglii wiktoriańskiej" – stwierdzał stanowczo. „Nie posiada żadnej obiektywnej prawomocności". Nie zostawił też suchej nitki na Freudzie, ujawniając manipulatorski charakter jego teorii.

Przyjaciele Lunna, w tym Hilaire Belloc, z radością obserwowali ewolucję Lunna, przewidując rychłe nawrócenie autora „Ucieczki od rozumu". Belloc wykupywał dziesiątki egzemplarzy książki i rozdawał wśród znajomych. W tym samym czasie Ronald Knox opublikował książkę zbijającą pokrętne szlaki myślenia i obnażającą „wewnętrzne sprzeczności w pseudo-teologicznych wywodach rozmaitych popularnych pisarzy i publicystów" z najbardziej znanych angielskich czasopism. Wywołała spory rezonans, choć Evelyn Waugh był zdania, że szkoda czasu na polemiki z ludźmi wprawdzie bardzo znanymi, ale niewielkiego formatu umysłowego. „Obdarzony nadzwyczaj subtelnym umysłem" Knox „czuł się raczej skonsternowany naiwnością, frywolnością i banalnością" tego grona „dobrze opłacanych amatorów", z którymi wdał się w spór. Identyfikując i badając etos gwiazd żurnalistyki, musiał dojść do wniosku, że żaden „spójny etos nie istniał". „Myśl nowoczesna rozwijana poza Kościołem katolickim jawiła się jako zaplątana beznadziejnie w żargon pozbawiony nie tylko głębi, lecz i określoności" – jak konstatował Evelyn Waugh.

„Dziwne, ale nie robisz wrażenia"

Jednym z efektów tej książki było podjęcie przez Lunna, wciąż zdecydowanie wojowniczo nastawionego wobec Kościoła, tym razem poważnej polemiki na tematy religijne ze swoim dawnym kolegą ze studiów w Oksfordzie. Zaproponował Knoxowi, żeby wspólnie napisali książkę w formie listów, w których Lunn będzie atakował twierdzenia katolicyzmu, a Knox ich bronił. Listy krążyły między nimi przez rok. Tak powstał tom korespondencji pod tytułem „Trudności". Lunn wypowiadał się tu „obszernie i stanowczo, broniąc swych tez z wielkim wigorem". Knox był powściągliwy, jego odpowiedzi były krótsze, argumenty wyważone. Niektórzy czytelnicy byli zdezorientowani. Jeden z przyjaciół Lunna, pułkownik C.A. de Linde, był przekonany, że Lunn ten pojedynek wygrał i nie mógł wyjść ze zdumienia, gdy dowiedział się o jego nawróceniu. „Nie potrafię zrozumieć, jak mogłeś zostać katolikiem, po tym jak dosłownie wytarłeś podłogę Knoxem…". Ale ludzie bardziej przenikliwi odkryli, że Knox zdobywa przewagę nad Lunnem swoim wyciszeniem i spokojem. „Zdobywasz punkt za punktem, ale, co dziwne, nie robisz żadnego wrażenia. A w listach Knoxa jest jakaś osobliwa rezerwa siły i to ona zostawia największe wrażenie" – wyjaśniał inny przyjaciel Lunna, wicehrabia Knebworth.

Najwyraźniej gra w otwarte karty, publiczny spór był żywiołem Arnolda Lunna. Na rok przed swoim nawróceniem zwrócił się do jednego z „najmodniejszych ateistów minionego wieku" i „dyżurnego mędrca z programu „Brains Trust" w BBC, celebryty, autora czterdziestu siedmiu książek, filozofa i nauczyciela Cyrila Edwina M. Joada, postaci bardzo w Anglii znanej, by zmierzyć się z nim w listownej polemice. „[…] chętnie podejmę korespondencję z panem", pisał Lunn, „ponieważ w najmniejszym stopniu nie podzielam pana pism o religii, które są mętne, źle sformułowane i trącą plagiatem. W każdej pana linijce na temat filozofii widać solidne myślenie, ale gdy przechodzi pan do nieprzyjemnego tematu chrześcijaństwa – najwyraźniej pozwala odpocząć swemu mózgowi. […] nie jest pan wyjątkiem… jest pan dzieckiem swego czasu, epoki, która postanowiła, że kiedy na ławie oskarżonych zasiada chrześcijaństwo, można zawiesić wszelkie kanony trzeźwego krytycyzmu" – i tu Lunn przywołał przykład H.G. Wellsa i Huxleya. Joad się chętnie zgodził. Plonem tych polemik stała się książka „Is Christianity True?" („Czy chrześcijaństwo jest prawdziwe").

Kilka lat później Lunn podsumował tę przygodę: „Nie mogę sobie wyobrazić lepszego treningu dla przejścia do Kościoła niż spędzenie roku, tak jak ja, na wyszukiwaniu argumentów przeciwko katolicyzmowi, w sporze z katolikiem, i kolejnego roku na obronie stanowiska katolickiego wobec agnostyka". Pod koniec życia także Cyril Joad przyjął chrzest w Kościele katolickim.

W lipcu 1933 roku Arnold Lunn został przez ks. Rolanda Knoxa przyjęty do Kościoła. Nawrócenie zaowocowało też powrotem ich prawdziwej przyjaźni, mimo że wieloletni antagonizm nie był czymś udawanym na użytek publiczności. „Złożona, pełna zarówno miłości, jak nienawiści więź między Lunnem i Knoxem rozwijała się od przeszło dwudziestu lat i przez cały ten czas Knox był w oczach Lunna co się zowie straszną postacią… – bywało, że budził w nim prawdziwą grozę i bezgraniczną irytację zarazem" – podsumowuje Joseph Pearce.

Znamienne, że po nawróceniu Lunna Ronald Knox, autor kilkudziesięciu książek, całkowicie zrezygnował z publicznych polemik w obronie religii katolickiej. Prześmiewca Evelyn Waugh, przyjaciel Knoxa, zawyrokował, że najprawdopodobniej „Ronald uznał, że uzbroiwszy sir Arnolda i wysławszy go w pole, spełnił swoją rycerską powinność", a jego właściwym powołaniem jest umacnianie i pogłębianie wiary wśród duchowieństwa, bo w istocie uważał się bardziej za pasterza niż rybaka.

Arnold Lunn po swoim nawróceniu zyskał w swojej ojczyźnie miano „najbardziej niezmordowanego apologety katolickiego swojego pokolenia". ■

Joseph Pearce, „Pisarze nawróceni. Inspiracja duchowa w epoce niewiary", Warszawa 2006.

eprasa.pl eb5d10470b



Tomasz Gromadka

14 lipca 1471 roku nad rzeką Szełonią, dziś w zachodniej Rosji, stanęły naprzeciw siebie dwie armie. Jedna pozostawała pod rozkazami Iwana III Srogiego, wielkiego księcia moskiewskiego. Druga reprezentowała republikanów z Nowogrodu Wielkiego. Żołnierze obu armii mówili tym samym językiem i tak samo uważali się za Rusinów, ale reprezentowali dwie różne cywilizacje.

PIERWSZA OFIARA KREMLA

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl eb5d10470b

Mentalność obu stron oddzielała przepaść. Nowogrodzianie już wtedy – w XV wieku – rozumieli, że słowo Moskwa oznacza niewolę. Na wiecu przed bitwą obywatele Republiki krzyczeli: „Nie chcemy wielkiego księcia moskiewskiego. Nie chcemy być jego dziedzictwem. Jesteśmy wszyscy wolnymi ludźmi". Stanowili pierwsze duże społeczeństwo, które stawiło opór nienasyconemu apetytowi Kremla, wyznaczając szlak, którym pójdą potem dziesiątki innych narodów. Choć pokonany i zniszczony, Nowogród Wielki od wieków kusił do tworzenia alternatywnych wizji dziejów, w których to on odniósł zwycięstwo i zbudował Rosję wolną od despotyzmu. Jego historia skłania też do postawienia zasadniczych pytań – skąd się wzięła odmienność Moskwy? Co zatruło duszę rosyjską już u zarania jej istnienia?

▶ Średniowieczna Ruś

Aby na to pytanie odpowiedzieć, cofnąć się trzeba w głąb średniowiecza, gdy istniało zjednoczone państwo ruskie. Władała nim dynastia Rurykowiczów, pochodząca ze Skandynawii, która w IX i X wieku scaliła plemiona Słowian Wschodnich. Państwo Rurykowiczów rozciągało się na rozległych obszarach dzisiejszej Ukrainy (z pominięciem stepów, gdzie żyły ludy pokrewne Tatarom i Turkom), Białorusi oraz zachodnich rubieży Rosji. Od X wieku stolica znajdowała się w Kijowie. Drugi, bardzo ważny ośrodek i zarazem historyczną kolebkę dynastii stanowił Nowogród Wielki. Oba miasta rozwinęły się do rozmiarów prawdziwych metropolii dzięki położeniu przy szlaku handlowym, łączącym Skandynawię z Konstantynopolem – największą stolicą ówczesnej Europy, i dalej – ze światem muzułmańskim.

O Moskwie w tym czasie nikt jeszcze nie słyszał. Najstarsza wzmianka o niej pochodzi z 1147 roku, gdy wzniesiono pierwszą drewnianą wieżę – zalążek przyszłego Kremla. Gród leżał wówczas na pograniczach Rusi, gdzie ludność słowiańska mieszała się z Ugrofinami – pogańskimi plemionami, żyjącymi na znacznie niższym poziomie rozwoju cywilizacyjnego. Mimo to kilkaset lat później włodarze Moskwy nie będą mieli zahamowań, nazywając swój lud Wielkorusinami, a mowę – wielkoruską, natomiast Ukraińcom pozostawiając nazwę Małorusinów, a ich językowi – określenie małoruski. Ta kolonialna nomenklatura żywa jest nad Wołgą do dziś i stosowana m.in. przez Putina. A przecież to w Kijowie biło jedno z serc średniowiecznej Rusi. Tam też ewoluował przez wieki język ukraiński, podczas gdy rosyjski wyłonił się z dialektów pogranicznych.

Chrześcijaństwo docierało na Ruś już od IX wieku, zarówno z Zachodu, jak i z Bizancjum. Ostatecznie zwyciężył obrządek wschodni, w którym w 988 roku przyjął chrzest książę Włodzimierz Wielki. Wcześniej co prawda dochodziło już dwukrotnie do chrztów ruskich władców, ale później za każdym razem następował nawrót religii pogańskiej. Wybór Konstantynopola jako źródła chrześcijaństwa ograniczył cywilizacyjne wpływy Zachodu. Przede wszystkim Ruś nie poznała łaciny, co zamykało jej mieszkańcom drogę do ośrodków naukowych rozwijających się na Zachodzie, w tym do pierwszych uniwersytetów. Z drugiej jednak strony użycie w liturgii języka słowiańskiego spowodowało rozpowszechnienie się piśmiennictwa, i to w całym społeczeństwie. W Nowogrodzie znaleziono zapiski w rodzimym języku, sporządzone na fragmentach kory brzozowej. Z odkryć archeologicznych wynika, że na korze pisały nie tylko elity, lecz także pisali przeciętni nowogrodzianie, nawet dzieci. Zachowały się na przykład szkolne notatki dzieci z lekcji kaligrafii.

Żywe pozostawały kontakty Kijowa z Zachodem na polu handlowym i politycznym. Rurykowicze wchodzili w związki małżeńskie z domami panującymi całej Europy – przede wszystkim Europy Środkowej i Skandynawii, a także Niemiec, Francji i Anglii.

Na ten pierwszy okres historii Rusi przypada wyodrębnienie się niepodległego państwa ze stolicą w Nowogrodzie Wielkim, które powstało, gdy państwo Rurykowiczów rozpadło się w XI wieku na dzielnice. W toku ekspansji podporządkowało sobie plemiona ugrofińskie, żyjące na północy, i oparło granicę o wybrzeża Morza Białego. Z tamtych terenów ściągano skóry i futra zwierzęce – w tym sobole, szczególnie cenne – które następnie eksportowano.

Wydaje się, że oparcie gospodarki Nowogrodu ma handlu doprowadziło do powstania ustroju republikańskiego. Było to możliwe dzięki temu, że bogacąca się warstwa kupiecka urosła w siłę na tyle, że mogła ograniczyć władzę książęcą. Analogiczne procesy zaszły w średniowieczu we włoskich republikach, takich jak Wenecja i Genua. W trakcie wolnej elekcji obierano nie tylko księcia, lecz także naczelnego wodza sił zbrojnych oraz arcybiskupa. Książę raczej zarządzał państwem, niż rządził, i mógł być przez obywateli zdetronizowany. Na ogół tron przypadał przedstawicielom którejś z licznych odnóg dynastii Rurykowiczów, a w późniejszym okresie także człon-

eprasa.pl eb5d10470b

kom litewskiej dynastii Giedyminowiczów (jedną z jej gałęzi stanowili Jagiellonowie).

Na wiecu głosowano poprzez okrzyki, bez liczenia głosów. Prowadziło to często do zamieszek i walk ulicznych pomiędzy frakcjami. O zebraniu obywateli informowało każdorazowo bicie dzwonu, symbolizującego wolność Republiki. Gdy Iwan III Srogi opanował Nowogród, jedną z pierwszych decyzji było wywiezienie dzwonu do Moskwy, gdzie został przetopiony. Już wtedy na Kremlu wiedziano, że wojna cywilizacyjna toczy się także w sferze symboli.

Wielkość cywilizacyjna Nowogrodu objawiła się w zaprowadzeniu tam w XIII wieku nietykalności osobistej i majątkowej, która objęła warstwę wolnych obywateli. W Polsce analogiczne przywileje uchwalono dopiero w latach 20. i 30. XV wieku za czasów Władysława Jagiełły. Jakże różne były te prawa od sytuacji panującej przez wieki w Moskwie/Rosji, gdzie państwo i jego ludność uważani byli za własność wielkiego księcia, a później cara.

Każdy książę musiał stawiać się na dwór chański w Saraju nad Wołgą w celu otrzymania pisemnego pozwolenia na sprawowanie władzy – jarłyku.

Mongołowie rozgrywali Rurykowiczów między sobą w imię zasady *divide et impera*. Szerzyli donosicielstwo, nagradzając za lojalność. Wymagali bezwzględnego posłuszeństwa, do którego skłaniał straszliwy terror, pochłaniający dziesiątki książąt. Książęta wprost drżeli o własne życie. Na przykład wśród władców Tweru, położonego na północnym-wschodzie Rusi, zginęły trzy kolejne pokolenia władców. Byli to prapradziadek, pradziadek i dziadek Władysława Jagiełły z linii jego matki, Julianny. Poprzez matkę Jagiełło był bowiem Rusinem.

Nie trzeba było stawiać oporu, aby stracić życie. Wystarczył choćby pozór nielojalności lub po prostu donos innego Rurykowicza. Okupanci zadawali śmierć w sposób nieprawdopodobnie okrutny. Kilku ruskich książąt chan rozkazał zwiąWielkość cywilizacyjna Nowogrodu objawiła się w zaprowadzeniu tam w XIII wieku nietykalności osobistej i majątkowej, która objęła warstwę wolnych obywateli.

▶ Katastrofa ze Wschodu

Kastrofa Rusi przyszła niespodziewanie ze Wschodu w czasie, gdy kraj – podobnie jak ówczesna Polska – rozbity był na dzielnice. Podział państwa uniemożliwił skuteczną obronę. Pierwsze forpoczty Mongołów pojawiły się w 1223 roku i zadały Rusinom wielką klęskę w bitwie nad rzeką Kałką niedaleko ruin dzisiejszego Mariupola. Kilkanaście lat później Mongołowie powrócili i tym razem dokonali podboju Rusi. Spłonęła większość ruskich miast, w tym stołeczny Kijów. Niepodległość uratowały jedynie ziemie północno-wschodnie, wśród nich Nowogród. Najeźdźcy zadowolili się pobieraniem haraczu, a Republika mogła rozwijać się bez większych przeszkód.

Tych książąt ruskich z dynastii Rurykowiczów, którzy przeżyli podbój, Mongołowie ustanowili swoimi namiestnikami. Ich zadaniem było zarządzanie podbitymi ziemiami w imieniu chana, zbieranie podatków i odsyłanie je okupantowi. Każdy książę musiał stawiać się na dwór chański w Saraju nad Wołgą w celu otrzymania pisemnego pozwolenia na sprawowanie władzy – jarłyku.

Mongołowie rozgrywali Rurykowiczów między sobą w imię zasady *divide et impera*. Szerzyli donosicielstwo, nagradzając za lojalność. Wymagali bezwzględnego posłuszeństwa, do którego skłaniał straszliwy terror, pochłaniający dziesiątki książąt. Książęta wprost drżeli o własne życie. Na przykład wśród władców Tweru, położonego na północnym-wschodzie Rusi, zginęły trzy kolejne pokolenia władców. Byli to prapradziadek, pradziadek i dziadek Władysława Jagiełły z linii jego matki, Julianny. Poprzez matkę Jagiełło był bowiem Rusinem.

Nie trzeba było stawiać oporu, aby stracić życie. Wystarczył choćby pozór nielojalności lub po prostu donos innego Rurykowicza. Okupanci zadawali śmierć w sposób nieprawdopodobnie okrutny. Kilku ruskich książąt chan rozkazał związać, położyć na ziemi i przykryć wielkimi, cerkiewnymi drzwiami. Następnie polecił swoim konnym wojownikom, aby ci wjechali na drzwi, miażdżąc nieszczęsnych monarchów.

▶ Danyło Halicki – symbol oporu wobec okupanta

Największy opór stawił Mongołom książę Danyło (Daniel) Halicki, panujący na terenie obecnej Zachodniej Ukrainy. Szukał on oparcia w Polsce i w Rzymie. Ze Stolicy Piotrowej otrzymał – jako jedyny władca ruski w dziejach – koronę królewską. Nałożono mu ją na skronie w Drohiczynie nad Bugiem w trakcie liturgii, w której uczestniczyli wspólnie biskupi rzymskokatoliccy i ruscy. Uważano wówczas – choć przeświadczenie to powoli zanikało – że Ruś nie popadła w schizmę razem z Konstantynopolem.

Choć Mongołowie złamali ostatecznie opór Danyła, pozostał on w pamięci kolejnych pokoleń mieszkańców Zachodniej Rusi. Nie bez przyczyny do jego tradycji odwołują się współcześni Ukraińcy. Od dwóch dekad pomnik króla stoi na placu

eprasa.pl eb5d10470b

Halickim we Lwowie, Danyło bowiem wsławił się także założeniem tego wielkiego miasta. Nazwał je na cześć swojego syna i przyszłego następcy – Lwa Danyłowicza Halickiego.

Tereny współczesnej Ukrainy i Białorusi zrzuciły jarzmo mongolskie w XIV wieku. Ziemie Księstwa Halickiego zostały włączone do Polski w czasach Kazimierza Wielkiego, który odziedziczył je dzięki koneksjom dynastycznym. Resztę wyzwolili natomiast Litwini, witani na Rusi jak wyzwoliciele. Z czasem wszystkie te ziemie weszły w skład Rzeczypospolitej Obojga Narodów i otworzyły się na wpływy cywilizacji łacińskiej. Wykształciły się tam narody ukraiński i białoruski.

Moskwa – dziedziczka Mongołów

Północno-wschodnia Ruś, zwana w średniowieczu Rusią Zaleską (położona była bowiem za rozległymi lasami, oddzielającymi ją od centralnych ziem ruskich, Kijowa czy Nowogrodu), znajdowała się najbliżej serca Imperium Mongolskiego. Jednym z jej grodów była Moskwa, początkowo niewiele znacząca, z czasem – główny jej ośrodek. Ruś Zaleska doświadczyła najsroższych form ucisku. Jednocześnie nie miała szczęścia posiadać kogoś na miarę Danyła Halickiego, wprost przeciwnie – jej książęta prześcigali się w lojalności wobec chana. Jednym z nich był Aleksander Newski – czczony jako święty przez patriarchat moskiewski. „Wsławił się" on oferując Mongołom upokorzenie niepokornego Nowogrodu Wielkiego i z ich błogosławieństwem napadł na miasto, wymuszając na nim zaległe opłaty dla okupantów.

W 2020 roku o Aleksandrze Newskim w rosyjskiej telewizji Spas mówił patriarcha Cyryl. Stwierdził on, że uległość wobec Mongołów stanowiła jedyną właściwą postawę, znacznie lepszą od wszelkiego oporu. Argumentował to tym, że najeźdźcom zależało jedynie na daninach, nie stanowili oni natomiast zagrożenia dla „rosyjskiej duszy". Jednocześnie należało przeciwstawiać się wszelkim zakusom Zachodu. Aleksander Newski w bitwie na zamarzniętym Jeziorze Pejpus pobił atakujących Ruś rycerzy zakonu kawalerów mieczowych. W oczach Cyryla czyn ten uratował rodzącą się Rosję. Dostojnik KGB-owskiej Cerkwi powiedział, że „wojownicy, którzy przybyli z Zachodu, pragnęli zabrać naszą duszę".

Nie jest prawdą, że Mongołom nie zależało na duszach Rusinów. Co prawda pozostawili oni podbitym narodom wolność religijną, jednakże narzucili równocześnie mongolskie obyczaje. Feliks Koneczny, opisując cywilizacje Eurazji, uznał, że Moskwa stała się wówczas częścią cywilizacji turańskiej, reprezentowanej przez koczowników Wielkiego Stepu. Gdy po 250 latach w końcu zrzuciła zależność, nie miało to większego znaczenia, sama bowiem uległa mongolizacji. Jak pisał wielki znawca Rosji, Alain Besançon, „car na równi rościł sobie prawo do bycia następcą chanów, jak i bizantyńskich cesarzy. Moskwa stała się nie tylko nowym Rzymem, lecz także nowym Sarajem (dawną stolicą mongolską nad dolną Wołgą)" („Święta Ruś", Warszawa 2015). Sami Rosjanie nie odżegnują się od uznawania ich za spadkobierców Mongołów. W 1918 roku, gdy bolszewicy planowali podbój Europy, rosyjski poeta Aleksandr Błok pisał, zwracając się do Europejczyków:

Miliony – was. Nas – mrowie, mrowie, mrowie.
Spróbujcie, zmierzcie się z nami!
Tak, my – Azjaci! My – dzicy Scytowie.

Moskwa podbija Nowogród

Moskwa po raz pierwszy zaatakowała Nowogród w 1456 roku. Wojska wielkiego księcia moskiewskiego Wasyla Ślepego rozbiły wówczas oddziały Republiki, były jednak zbyt słabe, by móc ją zniszczyć. Wasyl wymógł jedynie (i aż!), by wiec wybrał go na księcia. W Nowogrodzie ukształtowała się niepodległościowa opozycja, której przewodziła Marfa Borecka, arystokratka, wdowa po naczelnym wodzu wojsk Republiki. Jej starania doprowadziły do tego, że po śmierci Wasyla – wbrew woli Moskwy – na księcia nie został wybrany jego syn, Iwan III Srogi, lecz jeden z Giedy-

Jak pisał marszałek Józef Piłsudski, „dusza Rosjanina, jeśli nie każdego, to prawie każdego jest przeżarta bakcylem nienawiści i niepokoju w stosunku do każdego wolnego Polaka i do idei wolnej Polski.

eprasa.pl eb5d10470b

minowiczów, kuzyn Jagiellonów. Partia Marfy Boreckiej liczyła na pomoc Wielkiego Księstwa Litewskiego. Litwa jednak – zajęta własnymi problemami – wsparcia nie udzieliła. Umożliwiło to Iwanowi Srogiemu poprowadzenie ataku na Nowogród.

Walna bitwa nad rzeką Szełonią – o której pisałem we wstępie – przyniosła Moskalom zwycięstwo. Przetrawienie pokonanego państwa zajęło im kilka lat. Po raz pierwszy właśnie tam zastosowali metody, które odtąd służyć im będą przez setki lat. Porwanie szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego w 1945 roku i urządzony im w Moskwie proces pokazowy to realizacja schematu, według którego rozbito opór Nowogrodu. Po zajęciu miasta Iwan III Srogi rozkazał pochwycić i wywieźć członków partii antymoskiewskiej. Na Kremlu zostali oni osądzeni i skazani. Syna Marfy Boreckiej i zarazem naczelnego wodza, Dymitra Boreckiego, skazano na śmierć i ścięto. Kilka lat później zesłano również samą Marfę. Jej dalsze losy są nieznane.

Nowogrodzianie zdobyli się na jeszcze jeden akt oporu. Gdy Iwan zażądał od nich złożenia przysięgi wierności i uznania go za „gosudara", co oznaczałoby wyrzeczenie się wolności obywatelskich, sprowokowało to wybuch powstania. Iwan Srogi utopił je w krwi, po czym dokończył dławienie oporu społecznego. Zniszczono resztki elity oraz rozpoczęto wywózki zwykłych mieszkańców miasta. Na ich miejsce osiedlano ludność pochodzącą z centrum państwa moskiewskiego.

Na Kreml zabrano także zawartość archiwów Republiki. Już wtedy Moskale byli zdolni do kreowania własnej, sfałszowanej wizji historii. Atak miał w istocie ratować Ruś przed ekspansją litewską, którą rzekomo współorganizowały nowogrodzkie elity. Jakże przypomina to współczesną propagandę rosyjską głoszącą, że inwazja na Ukrainę stanowiła element koniecznej obrony przed zakusami NATO i Stanów Zjednoczonych. „Sztuka kłamstwa jest tak stara jak sama Rosja" – napisał Besançon.

Dzieje Nowogrodu ostatecznie zamknął wnuk Iwana Srogiego – Iwan IV Groźny – prawie 100 lat później. W 1570 roku carscy opricznicy otoczyli miasto i dokonali całkowitej eksterminacji ludności. Zginęło kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Na ich miejsce przesiedlono Moskali. Choć budynki przetrwały, a sam Nowogród istnieje do dziś i liczy ponad 100 tys. mieszkańców, nie jest to już to samo miasto. Zniszczono wszelkie więzy łączące je z duchem wolnej republiki.

Nienawiść do wolności

Czy podbój Nowogrodu wynikał z czystej chęci ekspansji? Wydaje się, że nie.

Od początku swojego istnienia Moskwa próbowała pożreć każdego ze swoich sąsiadów. Hamowała ją jedynie jej własna słabość. Imperializm napędzały nie tylko idee odziedziczone po Mongołach, lecz także przeświadczenie o wybraniu przez Boga i wyjątkowej misji zleconej przez Opatrzność. Władcom Kremla zależało szczególnie na podboju innych państw zamieszkałych przez Rusinów. Ich istnienie stanowiło pokusę dla elit moskiewskich – pokazywało im, że władza nie zawsze oznacza despotyzm, a oni sami nie muszą być jej niewolnikami. Szczególnym źródłem pokusy był oczywiście republikański Nowogród. Jak pisał Feliks Koneczny, „Iwan chciał czegoś więcej: żeby rządy w Nowogrodzie były takie same, jak w Moskwie. Była to prosta zaborczość, zmierzająca nie do zjednoczenia dwóch odłamów Rusi północnej, lecz do zniszczenia Nowogrodu […]" („Dzieje Rosji", Komorów 1997).

Według Józefa Piłsudskiego te same pobudki motywowały odwieczne zachowanie Rosji w stosunku do Polski. Jak pisał Marszałek, „dusza Rosjanina, jeśli nie każdego, to prawie każdego jest przeżarta bakcylem nienawiści i niepokoju w stosunku do każdego wolnego Polaka i do idei wolnej Polski. Oni są łatwi i zdolni do uczucia wielkiej nawet przyjaźni i będą was kochać szczerze i serdecznie, jak rodzonego brata, do chwili, nim nie poczują, że w sercu swoim jesteście wolnym człowiekiem i boicie się ich miłości, w której dominującym pierwiastkiem jest żądza opieki nad wami, inaczej mówiąc – władzy".

Dziś nienawiść do wolności objawia się nie tylko w relacji do Polski. Niepokój władców Kremla wywołuje wirus wolności szerzący się także na Białorusi (mimo jej politycznego zniewolenia), a przede wszystkim na Ukrainie. Jedynie ścisła współpraca państw Europy Środkowej może uratować ją przed zwycięstwem Moskwy. Zabrakło jej w 1471 roku, gdy upadła Republika Nowogrodzka. Szczęśliwie jednak historia nie powtórzyła się w 2022 roku. Ukraina nie podzieliła losów Nowogrodu, a stało się to m.in. dzięki militarnej, dyplomatycznej i moralnej pomocy Polski. Dzięki Bogu nasze państwo było wówczas w stanie pomocy tej udzielić. Trzeba mieć nadzieję, że przyszłość będzie jeszcze lepsza – że Rosja podzieli los Imperium Mongolskiego, od którego się wywodzi, a które od setek lat stanowi jedynie wspomnienie. ■

eprasa.pl eb5d10470b

Piotr Lisiewicz

Trybunał Stanu to jest pieszczota, oni będą siedzieć" – mówił Donald Tusk w czasie jednego z politycznych wieców. Wśród zwolenników Tuska byli w 2023 roku ludzie, którzy wsadzali ludzi do więzień za czasów komunizmu, zarówno przedstawiciele bezpieki państwa totalitarnego, jak i sędziowie, którzy wydawali polityczne wyroki. Odnieść można wrażenie, że byli to nawet najbardziej zdeterminowani zwolennicy obecnej opozycji. Czy pogróżki trybuna ludowego ubekistanu na emeryturze należy traktować serio czy to strachy na Lachy? Historia z reguły powtarza się jako farsa, więc jakieś neoZOMO Tuska okaże się zapewne instytucją groteskową, niemniej wyrok skazujący Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika z 2015 roku czy odsiadki choćby piłkarskich kibiców za rządów PO i PSL pokazują, że postkomunistyczne układy są zdolne do wsadzania niewinnych ludzi za kratki. W Polsce rządy rozpoczynają obecnie Rosjanie do spółki z Niemcami, za pomocą ich polskich popychadeł. Marian Zdziechowski współczesnych odpowiedników nowej władzy nazywał słusznie „Rosjanami mówiącymi o polsku". Dla Rosjan i Niemców wsadzanie do więzień polskich patriotów było od stuleci czymś zwyczajnym. Dziś w „Nowym Państwie" proponujemy lekturę na czasie, czyli odczyt Józefa Piłsudskiego z 1931 roku zatytułowany „Psychologia więźnia". Marszałek mówi w nim, że stając w mundurze najwyższego przedstawiciela armii polskiej, z dumą opowiada o pobycie w rosyjskim i niemieckim „kryminale". Myślą Państwo, że warto się z nim zapoznać zawczasu?

Józef Piłsudski

Psychologia więźnia

Gdy staję przed wami w mundurze najwyższego rangą oficera, w mundurze najwyższego przedstawiciela armii polskiej i śmiało mówię o kryminale, to jest to jedynie dlatego, że 150 lat historii polskiej nie zrobiło z więzienia nic innego, jak tylko życie codzienne ludzi. W Polsce więzienie jest stałym, codziennym, jak gdyby, towarzyszem myśli ludzkiej. Jest to część kultury myślowej, część kultury politycznej, kultury codziennego życia Polski.

Zostałem zaproszony przez Komitet, mający w opiece byłych więźniów politycznych, do wygłoszenia odczytu na temat psychologii więźnia. Polska jest może jedynym krajem, obecnie istniejącym wśród wielu innych narodów i krajów, gdzie jest możliwym jeszcze mówienie swobodnie o rzeczy tak kompromitującej człowieka, jak kryminał. I gdy staję przed wami w mundurze najwyższego rangą oficera, w mundurze najwyższego przedstawiciela armii polskiej i śmiało mówię o kryminale, to jest to jedynie dlatego, że 150 lat historii polskiej nie zrobiło z więzienia nic innego, jak tylko życie codzienne ludzi. W Polsce więzienie jest stałym, codziennym, jak gdyby, towarzyszem myśli ludzkiej. Jest to część kultury myślowej, część kultury politycznej, kultury codziennego życia Polski. Rok za rokiem, dziesiątki lat za dziesiątkami lat, pokolenia za pokoleniami oswajały się z więzieniem, jako z rzeczą codzienną, jako z rzeczą, wchodzącą w myśli ludzkie, tak, jak może gdzieindziej wchodzą inne problemy życia, a nie więzienie.

eprasa.pl eb5d10470b

Imię u wstępu życia złączone z więzieniem

Literatura jest odbiciem życia, i te czarne literki, rzucane na papier, mają tę własność, że gdy są rzucone ręką talentu, zostają nie tylko świadectwem talentu człowieka, lecz i świadectwem tego, co było w życiu całego miliona ludzi. Jeden z naszych wielkich pisarzy mówił w cudownym wierszu do matki-Polki: „wcześnie okręcaj łańcuchem szyję dziecka, naucz go oddychać parą zgniłą i wilgotną". Gdzieindziej byłoby to rzeczą niemożliwą; tu mamy zjawisko, że w Polsce prawie przymusowo wdziera się to do uczuć matki, matki myślącej o przyszłości swego dziecka, matki lękającej się w swoim matczynym sercu jakiejś biedy, czy jakiegoś nieszczęścia dla ukochanego dziecka. Dziecko rodziło się, jak gdyby predestynowane do rozumowania i myślenia o więzieniu. I gdy zaraz po upadku Polski mamy jedno imię, które najmniejsze dziecko powtarza jeszcze obecnie, jako imię, wiążące się z myślą i sercem polskim, imię Tadeusza Kościuszki, — widzimy go, jako jednego z pierwszych prawie, osadzonych w więzieniu zaborców.

Tadeusz Kościuszko, ranny pod Maciejowicami, wywieziony jest nie gdzieindziej, jak do twierdzy Petropawłowskiej w Petersburgu. A imię tak głośne i rozgłośne, jak imię wielkiego Mickiewicza — jest również u wstępu życia złączone z więzieniem. Nie ma więc żadnej przesady dla tego pokolenia, przed którem przemawiam, gdy mówię o więzieniu, jako o rzeczy zwykłej, tak, jak niema przesady, gdy się mówi o bohaterstwie, ofiarności, poświęceniu — gdyż tak szerokim jest to zjawisko, jak daleko sięga wstecz codzienna myśl ludzi przez 150 długich lat. Niech mi wolno będzie z siebie wziąć również ten przykład, który mnie się wydaje także historycznie stwierdzającym wartość więzienia, jako części życia polskiego.

Przybyłem do Polski wprost z więzienia. Magdeburg bowiem był więzieniem i przybyłem po to, ażeby, przy pierwszym rozkwicie życia nowej Polski, wejść na najwyższy szczebel reprezentowania jej, jako świeżo wypuszczony z więzienia człowiek. To prawda niechybna. Ta prawda prosta powinna być ujęta nie w sposób naciągany takimi czy innymi słowy nadzwyczajnymi, gdyż prostota tej prawdy historycznej, gdy się mówi o Polsce ojców i praojców, jest sama za siebie mówiąca i nie potrzebuje zanadto wielkich frazesów.

Więzienie jest po to, aby było ludziom przykro

Gdy zastanawiałem się nad tym, jak mam traktować przedmiot, który wybrałem sobie: psychologię więźnia – zatrzymywałem się na najrozmaitszych sposobach. Odrzuciłem je prawie wszystkie, z wyjątkiem jednego, który dla mnie był najłatwiejszym. Nie mam zdolności do badania czegoś t. zw. naukową metodą. Jedynym przedmiotem, który badałem metodą naukową, jest praca wojenna. Wszystko inne przebiegałem inną metodą. Naukową metodą badać więzienie i psychologię człowieka, zamkniętego w więzieniu, jest to ująć w ramy statystyki zdrowie, zniszczone przez więzienie, statystykę obłąkań, wywołanych przez więzienie, statystykę śmierci przedwczesnej więźniów, skracających sobie życie, statystykę kubicznych metrów powietrza, tej pary zgniłej i wilgotnej, którą oddychać nieraz trzeba. Wszystkie te fakty i fakciki dzielić, mnożyć i odejmować na najrozmaitszy sposób, przerabiać na sposób znaków algebraicznych i ścisnąć, tak, bym mógł te rzeczy oddać w krótkim odczycie — jest dla mnie absolutnie niemożliwe. Nie potrafiłbym w taki sposób badać swego własnego życia. Dlatego też, po odrzuceniu tego sposobu, zdecydowałem się na sposób najprostszy, choć może najbardziej egoistyczny. Jestem więźniem, który nie przez jedno więzienie przechodził. A wobec tego, że statystykę wspomniałem, to jeżeli wszystkie więzienia i lata więzień policzyć i podzielić przez całą ludność polską, to jednak na jedną moją osobę przypadłoby trochę więcej, niż przeciętnie na niejedną głowę, jeżeliby policzyć ilość ludności polskiej. Dlatego, że byłem niezwykłym szczęściarzem w życiu, to i pod tym względem szczęście mi służyło. Albowiem ilość więzień, które przebyłem w życiu, jest już znacznie wyższa, niż ilość więzień, która przypada na każdego przy podziale przez liczbę ludności polskiej. Dlatego też spokojnie i z pewnym prawem i poczuciem moralnem, powiedziałem, że gdy będę mówił o psychologii więźnia, to będę mówił więcej o sobie, niż o innych. Albowiem przebyłem przez wielką ilość więzień i nie jeden rok straciłem nie na co innego, jak na więzienne życie. A wobec tego, iż podstawa więzienia, baza więzienia materjalna, jest jednakowa dla każdego człowieka, nie przypuszczam, bym daleko odbiegł, mówiąc o psychologji tego więźnia, którą sobie przypominam, jako od zasadniczej rzeczy, istniejącej dla każdego więźnia.

Więzienie ma dwie wyraźne cechy zasadnicze, które, gdy się odrzuci wszystkie inne dodatki — streszczają się w sposób nadzwyczaj prosty. Mianowicie, więzienie jest po to, aby było ludziom przykro. Dla przyjemności nikogo do więzienia nie wsadzają. Przykrym jest dlatego przede wszystkim, że jest to ograniczenie swobody materialnej, ograniczenie swobody materialnej do minimum, ograniczenie swobody ruchu do niewielkiej przestrzeni, przeznaczonej, jako miejsce zamieszkania w więzieniu, to znaczy miejsce, ograniczone czterema ścianami, szerszymi czy mniejszymi drzwiami, wiecznie zamkniętymi, oknem zakratowanym. Oto jest więzienie.

eprasa.pl eb5d10470b

Jest to po wtóre fakt, nie ulegający żadnej wątpliwości, że więzień każdy jest poddany codziennej, cogodzinnej obserwacji. Jego życie, jego postępowanie, nie zależy od jego chęci i woli. To jest druga cecha, występująca najzupełniej wyraźnie przy pojęciu więzienia. I to bez względu na to, — dlaczego, po co i na co — przepraszam, że mówię po galicyjsku — do tej ubikacji został więzień wsadzony. To już zupełnie obojętne.

To są cechy więzienia, które, gdy odrzucić wszystko inne, pozostają stałe i niezmienne dla każdego więzienia.

Oczy ciążące na człowieku

Ile razy w więzieniu siedziałem, mając dużo swobodnego czasu na zastanawianie się, starałem się w ten sposób ułatwić sobie życie więzienne: mówiłem sobie, że moje więzienie jest równie dobre, jak i więzienie poza tymi murami, przez które ludzie życiowo przechodzą. Człowiek, który swej pracy biurowej nie lubi, ma nieznośne uczucie, gdy idzie do pracy biurowej, codziennie jednej i tej samej, codziennie idzie po tej samej ulicy, jest skrępowany w wyborze, musi dojść do pewnego miejsca, do którego nie lubi chodzić, usiąść przy tym samem biureczku, wziąć ten sam przeklęty papier do ręki, przepisywać, czy pisać, oglądać te same mury, wiecznie te same, chociaż niezakratowane, okna, by, potem, znudzony i zmęczony życiem, powracać do siebie, do domu, tymi samymi ulicami, bo jeść mu się chce. Gdy sobie tak przesadnie wymalowałem więzienie tego człowieka — robiłem to umyślnie, ażeby uprzyjemnić swój pobyt, ażeby uświadomić to sobie, w przeciwstawieniu do ludzi, którzy mogą chodzić swobodnie po ulicach. To może daje odczuć tę psychologię ogólną człowieka, który, wbrew swojej woli, wbrew swojej chęci, wbrew wszystkiemu temu, co jest jego istotą, ma zamkniętą przestrzeń dla swobodnego ruchu, i nie znosi tego dlatego, że jest mu to przykre.

Dla drugiej podstawowej rzeczy dobiorę, jako przykład, niedobrane małżeństwo, gdzie się jest pod okiem codziennie oglądającym, z jakimś podejrzeniem, wtedy, gdy się dobierze para, która parą nie chce być ze sobą. I bez względu na to, mówię jako mężczyzna, czy te oczy są piękne, czy brzydkie, bez względu na to, jakiego są koloru, są to nieznośne oczy, ciążące codziennie na człowieku, od których się oswobodzić nie można, chyba wyraźną ucieczką. Bo do tego ta druga istota ma pełne prawo i spokojnie tego prawa używa i nadużywa. Wobec tego, że mogłoby to wyglądać tak, jakbym powiedział to przeciwko kobiecie, to oświadczam, że i kobieta ma prawo powiedzieć to samo o mężczyźnie w niedobranem małżeństwie. To też od razu cofam swe powiedzenie. Zastanawiałem się bowiem w więzieniu nieraz, jak znacznie ciężej jest kobiecie być w więzieniu, niż mężczyźnie, gdyż ma ona na sobie wiecznie oko jakiegoś brutala mężczyzny, mającego prawo we wszystkich chwilach, w których przeważnie uchodzi przed okiem mężczyzny, być podglądaną bez ceremonii, i odczuwa to tak, jak gdyby nastąpienie brutalnej stopy na samą istotę myśli kobiety. To jest więzienie.

Szukanie remedium na brak swobody

Przechodzę do psychologii walki z tym, co więzienie ciężkiego daje. Niema bowiem więźnia, który by kiedykolwiek został w więzieniu zamknięty, aby nie zaczął z ciężarem więzienia w ten czy inny sposób walczyć, szukać remedium, lekarstwa na brak swobody materialnej i na tę nieznośną zależność, zależność brutalną, wyrażoną przede wszystkim przez oko, mające prawo co chwila zajrzeć, walki przeciwko warunkom, w których człowiek nie ma nic rozporządzalnego dla siebie.

Pierwsza walka, którą więzień zawsze odbywa, jest to chęć przynajmniej oszukania tych, którzy go do więzienia wtrącili. Oszukać w przestrzeni, która jest zamknięta. Oszukuje się więc oko wiecznie patrzącego stróża. Szuka się wyjścia, aby choć na chwilę to oszukaństwo udać się mogło. Różni ludzie różnie postępują. Ja należę do istot dość zuchwałych. I dlatego robiłem sobie po ciemku nachuchania na szybie, aby choć przez chwilę stróż nic nie widział. Próbowałem schować się do kąta, aby się spłaszczyć, jak papier przy ścianie.

Wszyscy, jako pierwszą rzecz odczuwają, jako nieszczęście, jako przykrość, jako drażnienie, że się jest wiecznie podglądanym. Potem łatwo się o tym zapomina, łatwo się do tego przyzwyczaja i przechodzi do porządku dziennego nad obcym okiem, które widzi doskonale i samo znudzone przygląda się dlatego, że może to zrobić, a szuka rozrywki, jak więzień szuka rozrywki w swoim więzieniu.

Drugą rzeczą, która przychodzi – a niema pod tym względem więźnia na świecie, który by trochę dłużej w więzieniu siedząc – nie przeszedł przez tę chorobę – to szukanie metod ucieczki z więzienia. Jest to tak psychicznie prawdziwe, że nawet jest jak gdyby prawem, przez które przechodzi więzień wtedy, gdy materialny brak swobody zaczyna mu ciążyć.

Jedni szukają tego za pomocą dowcipnych środków oszukiwania tych, od których więzienie zależy, inni szukają wyjścia za pomocą marzenia o jakichś chytrych, jakichś nadzwyczajnych sposobach przepiłowania krat i t. d. Ale jest to zawsze uporczywie wracająca myśl, która człowieka ściga i z którą się czło-

eprasa.pl eb5d10470b

wiek pieści. Uciec z więzienia! Wyjść z braku ruchu materialnego! Stać się człowiekiem jak inni! Mieć możność przejścia się po ulicach!

Zaczyna się wtedy dalej walka wewnętrzna o stworzenie sobie czegoś, co jest niezależnym od nikogo, stworzenia, za pomocą siebie samego, życia w więzieniu. Na tym może polega najcięższa prawda więzienia. Stworzyć życie z czego? Z siebie samego, sobą samym stworzyć życie w tak niezwykłych postawione warunkach, tworzyć bez nikogo, bez pomocy, szukając w jakiś sposób źródła tego, co ja nazywam „luksusem więzienia". Luksus więzienia polega na tworzeniu wewnętrznie przez siebie samego czegoś, co jest potrzebne dla mnie tylko i co jest niezależne od tych, którzy człowieka do więzienia wsadzili. Kiedy człowiek szuka materiału do tego, spostrzega, iż jest tak ograniczony w środkach, tak ograniczony w sposobach, że prawie cofa się przed tym zadaniem. Ręce nie mają co robić, narzędzi dla tworzenia czegoś dla siebie niema. Materialne rzeczy są tak ograniczone i tak małe, że z trudem myśl pracuje, aby się o coś zaczepić.

Cóż w więzieniu jest? Są ściany, takie czy inne, przedmioty bardzo nieliczne, które się więźniom daje. Czyni się najrozmaitsze próby naśladowania życia, które bije pracą gdzieindziej w szybkim tempie. W więzieniu więc będą muchy i inne stworzonka, które w ten czy w inny sposób w więzieniu się znalazły. I nie jest wcale kłamstwem, że znajdują się ludzie, którzy się zakochiwali nawet w pluskwach, robiąc sobie z nich obiekt swych prac, krystalizując swoją potrzebę niezależności około tak obrzydliwego stworzenia. Cóż mówić o rzeczy, czytanej ongiś przeze mnie, że jeden z więźniów, który długo siedział w więzieniu, wychował sobie pająka, z którym to pająkiem przez dłuższy okres czasu robił rendez-vous, próbując go sobie przyswoić, chcąc go nawet cyrkowych sztuczek nauczyć. Jest to mus szukania życia poza warunkami więzienia, stworzenia luksusu, który by dla mnie tylko błyszczał, mus psychiczny więźnia.

▶ Chęć stworzenia sobie luksusu niezależnie od siebie

Co do mnie, zawsze się śmiałem, że jestem urodzony na więźnia, bo mnie łatwo przychodziło stworzenie sobie czaru życia. Mogłem z duszy swojej wysnuć najniemożliwsze bajki i myśli, jedynie dlatego, że dusza łatwo pod tym względem pracowała. Nie przywiązałem się do żadnej materialnej rzeczy. A jednak, gdy siebie w różnych więzieniach prześledzę, znajdę jedno, co było dla mnie niezwykle przyjemnym. Było mi mianowicie przyjemnym, jeżeli mogłem cokolwiek w celi więziennej przerzucić i poruszyć. Ale w wielu więzieniach nic się poruszyć nie da, bo wszystko jest przytwierdzone i na moc przyśrubowane i nic nie da się poruszyć. Dlatego, między innymi, gdy siedziałem w X pawilonie w Warszawie, czuję rozrzewniającą przyjemność, wspominając o nim. W innych więzieniach człowiek nie miał nic dla siebie. Tu wszystko to należało do kogoś, kto miał prawo tym poruszać.

Świetny Nr. 26 cytadeli warszawskiej w X pawilonie, gdy mnie do niego przyprowadzono, wydał mi się pięknem zjawiskiem, tak, jak numer hotelu, bardzo kiepskiego co prawda, ale hotelu, w którym leży moja waliza, w której mogę przebierać swe rzeczy, które mogę w ten lub inny kąt postawić lub przerzucać, mogę stół kopnąć nogą i odsunąć, a on się usunie i mnie słucha. Jeżeli w ten sposób przedstawiam życie więzienne, to nie sądzę, by to nie stanowiło przyjemności. Mogłem walczyć z warunkami więzienia, miałem szybką i żywą fantazję i umiałem stworzyć sobie życie, życie myśli, życie marzeń, życie rojeń, życie, w którem swobodniej szalałem, niż można szaleć w codziennym życiu, gdzie jest tyle oczu podglądających człowieka z podejrzeniem. Niema żadnej żenady, gdy się zupełnie negliżuje tego pana, patrzącego na mnie. Wtedy tworzyłem wszystko, co mnie się żywnie podobało, bo czasu było dosyć. – Jeżeli panowie sądzą, że ja, który miałem pod tym względem swobodną, bujną fantazję, która przed rzadką rzeczą się zatrzymywała, która przebiegała

> Pierwsza walka, którą więzień zawsze odbywa, jest to chęć przynajmniej oszukania tych, którzy go do więzienia wtrącili. Oszukać w przestrzeni, która jest zamknięta.

eprasa.pl eb5d10470b

wszystkie myśli, różnię się pod tym względem od innych więźniów, którzy nie mają tej swobodnej myśli, jaką ja posiadałem — to – nieprawda, gdyż ile razy rozpytywałem jakiegoś więźnia, zawsze znajdowałem jedno.

Próbował myślą przeżyć to, co było, próbował znaleźć w sobie, czy innych, wady. Samokrytyka i samoanaliza jest wyostrzona z powodu przeżywania raz jeszcze śladów swej przeszłości. Prowadzi to bardzo często więźnia na bardzo błędne i ciężkie drogi, prowadzi to do znienawidzenia ludzi w ten sposób, w jaki by nigdy ich nie nienawidził, gdyby w więzieniu nie siedział. Gdyż przy tej wyostrzonej krytyce ubiegłych czasów, człowiek wyodrębnia pewne rzeczy tak silnie, jakby nigdy nie wyodrębniał ich, gdyby żył razem z niemi. To też ile razy więźniów, wychodzących z więzienia, widziałem, dostrzegałem u nich ten chorobliwy objaw więzienia.

U iluż więźniów widziałem zawsze chęć stworzenia sobie luksusu niezależnie od siebie. Czym się biedny więzień nie zajmuje! Zaczyna studiować języki. Ten, który nigdy w życiu języków nie studiował, zaczyna to robić. Męczy się biedaczysko nad jakimiś dzikimi słowami obcymi, szuka w nich sensu, nie umie wymawiać, nabiera błędów, których się potem nigdy pozbyć nie może, tak, jak ja w języku angielskim, bo ja w więzieniu nauczyłem się angielskiego języka. Nabrałem błędów, których nigdy poprawić nie jestem w stanie, gdyż się przyzwyczaiłem do fałszywej wymowy. Nie będąc zamiłowany do języków na swobodzie, nie odważyłbym się ich uczyć, a jednak popełniłem ten grzech przeciwko sobie, ucząc się języka angielskiego i męczyłem się nim w więzieniu.

Byłem ongiś namiętnym szachistą, lubiłem szachy szalenie, ale, w szachy trzeba grać z kimkolwiek. Próbowałem urządzić sobie szachownicę maleńką i pamiętam, jak w Petropawłowskiej fortecy, nie mając żadnych instrumentów do tego, urządziłem sobie jednak szachownicę na książce, która w każdej celi tam leżała, t. j. na Biblii. Za pomocą zapałek, gdyż zapałki miałem w ręku, bo szczęśliwie pozwolono mi palić, robiłem czarne pólka, szachy lepiłem tak niezgrabnymi rękami, że wstydzę się komukolwiek pokazać moją wieżę i mojego nieszczęsnego laufra. Chowałem to tak sprytnie i umiejętnie przed codzienną rewizją, która się odbywała w celi, by jak najdłużej zachować ten skarb oszukańczy, który zrobiłem w stosunku do bezlitosnych katów. Teraz śmiech mnie wzbiera, gdy przypomnę, jak urządziłem to życie więzienne. Ktoś inny do czego innego ciągnie. I gdy mówię o tej umiejętności tworzenia życia własnego, zawsze wspominam kilku ludzi, których imiona pozostały mi drogie.

▶ Konieczność szukania z okruchów tego, co człowiek wniósł do więzienia

Oto dwóch mieszkańców najcięższego więzienia, jakie Rosja kiedy miała – Schlisselburgu. Oto jeden z rodaków, pochodzący ze Żmudzi, Janowicz, który, siedząc w Schlisselburgu, bronił się psychicznie od zarazy więzienia, które zabija psychologię ludzką. Wytworzył sobie systematy statystyczne, na podstawie wszystkich ubogich źródeł udowadniające najrozmaiciej jego ukochane pragnienie. Dowodził za pomocą tych skąpych źródeł statystycznych, siedząc w więzieniu schlisselburskiem, konieczności niepodległości Polski. Pompował z siebie raczej dane, niż z tych szmatek małych, które mu się udało dostać do czytania. Ileż niezwykle ciężkiej pracy przeszła ta dusza, nim mogła uwierzyć – bo człowiek był inteligentny, że to jest prawdą, co on robi, przy tak ubogim materjale, który on posiada. Zawsze wspominam z pewną przykrością, że człowiek, który tyle czaru umiał wydobyć w więzieniu, wypompował z siebie siły psychiczne, do tego stopnia, że gdy go wypuszczono na Syberję, nie wytrzymał życia, – skończył samobójstwem. A oto druga postać, która się przesuwa z konieczności na oczy. To jest także mój rodak wilnianin, Łukasiewicz. Pamiętam go wtedy, gdy jako młodzieniec szedł na ogień matury, jako sława gimnazjalna. Poszedł na przyrodę; był prawie skończony przyrodnik, gdy zamknięto go w Schlisselburgu. Cóż on czynił. Bada trawki, rosnące mizernie na podwórzu więzienia, szuka śladów życia, tam, w Schlisselburgu, na tej przestrzeni 100 sążni czy 100 metrów kwadratowych. Skończony wielki umysł przyrodniczy, który duszę ratuje w swój sposób. I zawsze, gdy go w Wilnie, w drogim mi uniwersytecie wileńskim, spotykam, widzę, jak ten olbrzym fizyczny, z łagodną twarzą, z uśmiechem, dzisiaj pracuje.

Jest mus, jest konieczność szukania czegoś przez siebie samego, szukania z okruchów tego, co człowiek wniósł do więzienia i z tego, co mu do rąk wpada, zlepienia nowego, więziennego, duchowego życia. Wszystko się jednak dzieje w czasie. Czas, ten matematyk, czas, który leczy blizny, czas, który nowe rany zadaje — czas w więzieniu inaczej płynie. Gdy szukałem nieraz w więzieniu określenia, w jaki sposób czas w więzieniu biegnie, to znalazłem określenie może nonsensowe, że on, stojąc, biegnie szybko. Bo czas właściwie się nie rusza. Czym my, ludzie, czas mierzymy? Tym, że czas ten dzielimy na kawałki, że przeżywamy, takie czy inne wrażenie, tem, że jest coś przedtem i potem, mierzymy czas psychicznie. Im więcej mamy wrażeń, tym dzień i godzina jest dłuższa: przynajmniej tak się wydaje. Pomimo, że każda godzina jest jednakowa dla szczęśliwca i nieszczęśliwca,

eprasa.pl eb5d10470b

w więzieniu tego niema, bo nic się w więzieniu właściwie nie dzieje. Wrażenia więzienne są tak ubogie i nikłe, że dusza się czepia najbardziej nonsensownych rzeczy, aby czas ten na kawałki podzielić. Nie przypuszczam, abym się omylił, gdyż pod tym względem więźniów specjalnie nie badałem i nie przypuszczam także dlatego, że do jedzenia nie przywiązuję wielkiej wagi. Ale w więzieniu obiad, kolacja, które dzielą czas na kawałki, są niesłychanie ważnym elementem życia, albowiem służą, jako podziałka czasu, jako konieczność, do której myśl wraca, jak coś, co jest związane z ustawą życia codziennego. – Czas jest podzielony na kilka „repas". Mimo woli człowiek zaczyna myśleć o tym jedzeniu, jakim będzie obiad, jaka kolacja. I najbardziej nie smakosz ma na pewno te same myśli, uważając obiad i kolację za niezwykle ważne zdarzenia w jego życiu. Ta ubogość życia codziennego, którą więzień przechodzi, daje mu mus pracy szukania jakiegoś podziału dnia, jakiegoś podziału czasu, a tymczasem dzień za dniem jest podobny tak niesłychanie, że różnić się on tylko może jakimś osobistym wrażeniem, przeżyciem, np. tym, że człowiek jednego dnia jest w lepszym, innego dnia jest w gorszym humorze.

Bo w więzieniu nic się właściwie nie dzieje. Wypadkami niesłychanej wagi są dni, gdy drzwi mu się otworzą i pociągną nie na spacer, lecz na badania, gdy przejdzie się przez pewną ilość korytarzy, przestrzeni, lub gdy wsadzą do karetki i przez miasto szybko przewiozą. To są ewenementy niesłychanej wagi. Zdarzył się przypadek w życiu! Dzień do dnia jest tak bliźniaczo do siebie podobny, tak nic się doniosłego nie dzieje, że ten czas wydaje się stojący i godziny płyną niesłychanie wolno. Tak wolno, że godzina jest zupełnie dniem prawie. Przeżyć bowiem godzinę jest trudno. Jakże łatwo bowiem przeżywają się tygodnie, tygodnie stojącego czasu, który się nie rusza.

Ileż to dowcipnych i upokarzających człowieka sposobów i metod używają więźniowie, aby się ze sobą porozumieć. Ile dowcipnych znaczków i znaków wymyślono, aby człowiek człowiekowi na dzień nieraz jedno słowo mógł przekazać, aby człowiek człowiekowi tym czy innym pukaniem odpowiedział. Ulegania temu musowi psychicznemu więźnia wystrzegałem się stale. Ale pamiętam wrażenie, gdy kolega z poza muru zaczął ze złości walić do mnie pięścią, żem go nie słuchał, że mu nie odpowiadałem. Wtedy zacząłem takie czy inne znaki dawać więźniowi – znaki, że go nie rozumiem.

▶ Zasadnicze cechy psychiczne więźnia

Łukasiewicz badał faunę i florę, ja zawsze badałem w każdym więzieniu największego przedstawiciela fauny – człowieka. Wszystkich dozorców, każde drgnięcie muskułów, każdą zmianę, łapałem natychmiast, szukałem człowieka i, zgodnie z moim charakterem, człowieka walczącego, człowieka, który przed walką nigdy się nie cofa, — szukałem nie-

> Jest mus, jest konieczność szukania czegoś przez siebie samego, szukania z okruchów tego, co człowiek wniósł do więzienia i z tego, co mu do rąk wpada, zlepienia nowego, więziennego, duchowego życia.

przyjaciela, by go zbadać i zrozumieć. Ileż rozkosznych minut spędziłem w cytadeli warszawskiej, która jest tak głupio akustycznie urządzona, że więzień słyszy w celi więziennej, co się mówi na korytarzu. Tak, jakby z rozmysłem robione były cele na to, aby badać dozorców, a nie więźniów. Spędzałem godziny, podsłuchując, jak dozorcy z sobą rozmawiają i badając ich psychikę. Obserwacja ograniczona, lecz tym bardziej zaostrzona. Nie wiem, czy ktokolwiek z więźniów potwierdzi moje słowa, że najbardziej wydelikacony słuch mają więźniowie, siedzący w więzieniu. Szmer chwytają najdrobniejszy, szukają „części życia", zmieniają się nieledwie w myszki, które są tak czułe na każdy szmer.

Oto jakie są zasadnicze cechy psychiczne więźnia. Więzień jest ograniczonym człowiekiem w poruszaniu się i jest zmuszony poddawać się codziennej obserwacji innych. Z tego powodu w psychice więźnia wytwarza się mus odporu, odporu, w stosunku do codziennej obserwacji przez najczęstsze negliżowanie, dla usunięcia z duszy „ciężaru obserwacji" i druga konieczność — wytworzenia dla sie-

eprasa.pl eb5d10470b

bie życia, mimo ubóstwa środków, za pomocą których człowiek sobie życie układa.

Niema dla więźnia innych ludzi, a są konieczności życiowe. Niema instrumentów pracy dostatecznie silnych, ażeby zadowolić choćby najbardziej intelektualne natury. Z tego powodu wytwarza się cały ciężar życia, przy którym czas płynie, dusząc wściekle człowieka i duszę jego zabijając. Wtedy to powstają momenty buntu, nieraz z najbłahszego powodu.

Porównanie

Chcę skończyć pewnem zestawieniem swoich wrażeń, jakie miałem, przebiegając całą ogromną ilość więzień.

Gdy siedziałem w więzieniach w Rosji, widziałem dbałość o to, aby więzienie zrodziło strach. Jest to rozum kryminału, który robi „chęć poprawienia się więźnia" za pomocą strachu. Na tym rozum kryminalistyczny polega. Poprawić za pomocą zadania postrachu, tak, jak się poprawia niegrzeczne dzieci, zadając im przykrość. Więzienia rosyjskie miały w sobie coś z poczucia prawa w stosunku do więźnia, poczucia prawa, ale prawa dozorcy w stosunku do więźnia. Nie działano tu już czystym gwałtem i przemocą, ale nieledwie naukowym poszukiwaniem boleści i przykrości dla więźnia, konsekwentnym robieniem mu strachu, robieniem go „innym, niż wszyscy".

Polskie więzienia pod zaborem rosyjskim były całkiem inne. W Polsce wyobrazicielem tych więzień jest cytadela, X pawilon. Ci, którzy zamykali do tych więzień, nie dbali o nic. Wyraźnie szedł tu gwałt i przemoc, które nie szukały uprawnienia w jakikolwiek „moralny" sposób. Wszystkich szkodliwych zamykano w więzieniu. To też tak wesołego więzienia, jak X pawilon, na świecie nie widziałem. Wszystko prawie jest dopuszczalne, to, co gdzieindziej jest najsurowiej zakazane. Każde pokolenie w murach rozkopuje tunele, które najspokojniej naprawiają, by następne pokolenie te tunele znów świdrowało. Tak, jak gdyby było to tylko formalnością, że właściwie tuneli robić nie wolno, ale niech ich diabli, niech sobie robią tunele więzienne. Więzienie, w którem wszystko poruszać można, przerzucać stale z miejsca na miejsce, łóżko przeciągać, takiego więzienia-hotelu nie widziałem. W tej izolacji, do której człowieka chcą doprowadzić, jest przepych siły brutalnej, idącej na człowieka, jak przemoc zwyczajna, która się niczym nie krępuje. Pamiętam moje olbrzymie zdziwienie, gdy, wyprowadzony na spacer, spostrzegłem namioty żołnierskie, rozbite w ogrodzie. Parę drzewek owocowych, z których ci żołnierze kamieniami zbijają gruszki. Rzecz nie do pomyślenia w żadnem rosyjskim więzieniu, gdzie prawo kroczyło z poczuciem własnej wartości. Podobne rzeczy widziałem w Syberii, gdy już klamka zapadła i gdzie idzie się na karę, gdzie niema żadnych badań, gdzie kryminalista jest skończonym kryminalistą.

Bardziej swobodnie, niż w dawnych więzieniach polskich za czasów dawnych, rosyjskich, być, zdaniem moim, nie mogło. Dlatego, bodaj w cytadeli, za czasów przynajmniej mego pokolenia, ludzie najmniej się męczyli, najswobodniej się czuli. Czuli się więcej panami więzienia, niż to było gdzieindziej.

Jest to rodzaj współpanowania nad więzieniem z tymi, którzy przemocą trzymają. Ta specjalna charakterystyka rzucała mi się niesłychanie w oczy. Dlatego też z pewnym niepokojem jechałem jeszcze do jednego kraju, do więzienia, którego nie znałem, to znaczy do Niemiec. Niemców sobie zawsze wyobrażałem tak, jak Polacy sobie wyobrażają: „Tam dopiero jest porządek!" Ale niema nic gorszego dla więźnia, jak porządek więzienny, bo on chce zawsze ten porządek naruszyć. Byłem w tem więzieniu nadto w wyjątkowych warunkach. Do mnie nie chciano stosować wszystkich przepisów więziennych. Trzymano mnie, jako „wyjątkową osobę" w twierdzy magdeburskiej w zupełnej izolacji, dając mi za to wiele wygód i wielką swobodę więzienną. Trzymano mnie, jako generała, dano mi trzy pokoiki, ogródek do rozporządzenia, ordynansów i t. d. Miałem zatem najswobodniejsze więzienne życie, o jakiem można było marzyć. Tak pięknie nie trzymano mnie nigdy w Rosji. Lecz przedtem przewieziono mnie przez cztery więzienia wcale nie generalskie. Przypatrywałem się więc temu, jak to jest u Niemców. Jest tam brutalne obejście, nakazane, musowe, dlatego, by utrzymać porządek i karność. Lecz poza tym chęci męczenia człowieka, chęci zadawania mu strachu, chęci robienia mu jakichkolwiek specjalnych przykrości, nigdy nie spostrzegłem. Trzeba się trzymać przepisów wywieszonych na ścianie, czego w Rosji nigdzie nie było. Tak, że z chwilą, gdy się przeczytało te przepisy na ścianie — każdy w Niemczech umie czytać — to się już wiedziało, czego się trzymać. Każdy tam „urzęduje". Urzęduje dozorca, urzęduje i więzień, siedzący w więzieniu. Każdy obowiązany jest spełniać przepisy. Byłem specjalnie zdumiony, gdy siedziałem w Spandawie pod Berlinem. O więzieniu w Spandawie wiedziałem, że Mierosławski w 48 roku tam siedział. Wtedy prawdopodobnie było zupełnie inaczej. Podczas mojego tam pobytu życie więzienne wrzało po prostu i słychać je było na każdym kroku. Każdy miał inne zajęcia, każdy inaczej pracował. Wszystko chodziło, biegało, rozmawiało, nie było tam, poza samą karą, żadnej chęci zrobienia więźniom jakiejkolwiek przykrości.

Magdeburg był więzieniem specjalnym, w którem więcej szło o izolowanie człowieka, dlatego, że jest niebezpieczny, niż o jakiekolwiek inne więzienne warunki. Miałem ordynansa, miałem podoficerów, któ-

eprasa.pl eb5d10470b

rzy byli moimi stróżami więziennymi, miałem 3 pokoje, miałem ogród, po którym mogłem chodzić. Tylko wieczorem o godzinie 10 światło musiało być zgaszone, albowiem w całym więzieniu o 10-ej wieczorem gasi się lampy. Nie było żadnej w tym różnicy dla generała, porucznika, czy żołnierza. Poza takimi drobnymi przepisami jednak było tam życie najswobodniejsze ze wszystkich tych, jakie kiedykolwiek miałem w więzieniu.

Narasta młode pokolenie

Dobiegając do końca, chcę wrócić do początku. Przez dłuższy okres czasu więzienie było częścią kultury polskiej. Smutne wyznanie, a jednak jest w tym jakiś czar i urok. Mickiewicz w jednym z największych swych utworów, w najpoważniejszej tego utworu części, przenosi nas nie gdzieindziej, jak tylko do więzienia, gdzie więzień-poeta, po przeżyciu moralnym więzienia, po przebyciu tej drogi, o której mówiłem, po stworzeniu tam swojego więziennego własnego życia, pisze: „...odradza się nowy człowiek. Natus est Conradus". Rodzi się nowy człowiek więzienny, człowiek, stworzony przez własną potęgę, przez własną siłę duszy, przemienioną w diament, który rył najtwardsze przedmioty i potem tak cudnie błyskał w Mickiewiczowskiej twórczości. Ten diament stworzyła siła wewnętrzna człowieka, który przeszedł przez twardą próbę.

Siła życia więziennego do tworzenia nowego życia niechybnie jest wielka, niechybnie czar taki daje. Niema wątpliwości, że przez te 150 lat polska psychika więzienna była czymś, co dotykało głęboko ludzi w Polsce i nie było człowieka, który by, przebiegając życie polskie dawnych czasów, o więzienie się nie otarł, o więzieniu nie mówił, do więzienia się nie zbliżał. Niema wybitniejszej czynności podczas 150 lat ubiegłych, 150 długich, długich lat, lat tyle, ile najstarszy człowiek nie jest zdolny pamiętać, przy której więzienie nie byłoby towarzyszem życia Polaka od kolebki aż do grobu.

O więzieniu mówił każdy, jako o żywej cząstce swej duszy... Nieraz zadaję sobie pytanie, czy te więzienne przeżycia Polski z całą ich ofiarnością, bohaterstwem, poświęceniem, z całym czarem męki duszy ludzkiej, w nienaturalnych warunkach skrępowanej, zbitej i zmęczonej, a jednak skorej do buntu, czy czar ten nie jest cechą charakterystyczną naszą i naszego pokolenia. I wtedy, gdy o tym myślę, gdy na dziecinne i młode oczy patrzę, żyjące w innych, szczęśliwszych, niż my, warunkach, zapytuję siebie, czy nie dalekim jest ten czas, gdy wiersze, które nam drgnięcia serca sprawiały, będą czytane, będą wypowiadane na lekcjach, jako rzeczy obce, jako rzeczy, nad którymi się przechodzi do porządku dziennego, tak, jak nad cudami greckiej poezji, gdy nam je do głowy wkładano...

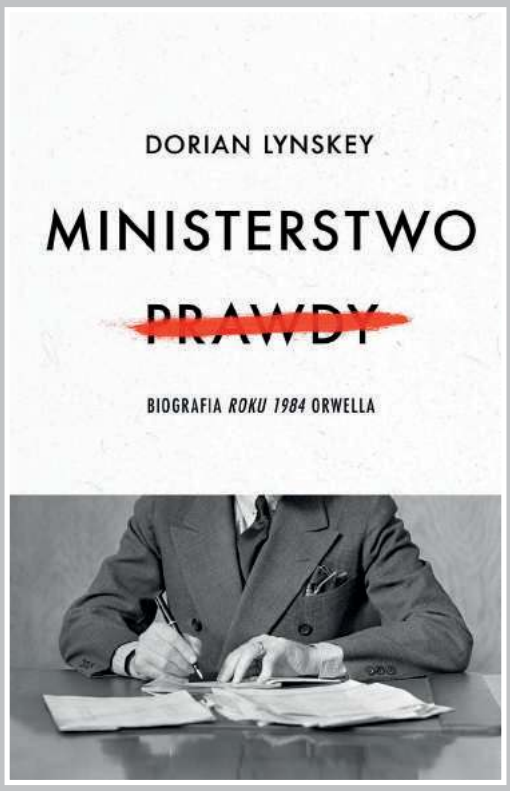
I wtedy smutno robi się ludziom, którzy przebiegli życie więzienne z walką i buntem w duszy, tworząc z siebie i ze swych małych i wielkich cierpień, pracę kultury polskiej, która mija. Jest nad więzieniem jakoby siła, i czar zapomnienia także. Mijamy w przeszłość, my, więzienni ludzie, my, ludzie z epoki więzień! Narasta młode pokolenie, nowe pokolenie, które obce wkrótce nam będzie, dlatego, że tej czary goryczy i rozkoszy, którejśmy dotykali, ustami swymi już nie dotknie. I zawsze, gdy myśl moja staje przed tym pytaniem – widzę oczka dziecinne, które patrzą ze zdumieniem, że mogły być takie czasy, gdy więzienie, a więc to, co jest upokorzeniem człowieka, to, co go przybija do ziemi – drgnięcia zapału w nas jeszcze budzi, oczy zapala, uśmiechem lica krasi. Zawsze jednak ze spokojem kończę te rozmyślania więziennego człowieka o tych, co idą. Niech zapomną o nas, o naszych walkach i cierpieniach, niech idą na nowe życie, tam, gdzie czar więzienia ust nie krasi, lecz i jadu nie daje – niech idą swobodnie, zapominając o nas, by życie nowe tworzyć.

Józef Piłsudski,
Pierwszy Marszałek Polski.

Gdy siedziałem w więzieniach w Rosji, widziałem dbałość o to, aby więzienie zrodziło strach. Jest to rozum kryminału, który robi „chęć poprawienia się więźnia" za pomocą strachu.

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl eb5d10470b



Dorian Lynskey, „Ministerstwo Prawdy. Biografia »Roku 1984« Orwella”, Czarna Owca, Poznań 2021

Krzysztof Wołodźko



ORWELL I INNI. SKĄD WZIĄŁ SIĘ „ROK 1984”

George Orwell intrygował jako fenomenalny eseista, wnikliwy reportażysta, piewca starej dobrej Anglii, krytyk brytyjskiego imperializmu. A przy tym – rzecz jasna – zaprzysięgły wróg niemieckiego narodowego socjalizmu i antagonista stalinowskich poputczików. Trudno byłoby jednak tracić z oczu dystopijny „Rok 1984”.

eprasa.pl eb5d10470b

Jestem wielkim zwolennikiem tego, by George'a Orwella nie czytać wyłącznie przez pryzmat „Folwarku zwierzęcego" i „Roku 1984". Dlatego jedną z poprzednich recenzji dla „Nowego Państwa" poświęciłem „Różom Orwella" zdecydowanie lewicowej pisarki Rebekki Solnit. Eric Arthur Blair intrygował nie tylko jako autor tych dwóch książek, lecz także jako fenomenalny eseista, wnikliwy reportażysta, piewca starej dobrej Anglii, krytyk brytyjskiego imperializmu. A przy tym – rzecz jasna – zaprzysięgły wróg niemieckiego narodowego socjalizmu i antagonista stalinowskich poputczików. Trudno byłoby jednak tracić z oczu dystopijny, wnikliwy, ponury „Rok 1984", którego odbiór w Polsce sprowadza się niekiedy do dobrze znanego, trafnego, lecz i trywialnego powiedzonka, że coś jest „jak u Orwella".

„Ministerstwo prawdy. Biografia »Roku«" Doriana Lynskey oryginalnie ukazała się w 2019 roku (po polsku w 2021), ale „Dziennik lektur" daje pewną swobodę. Patrząc szerzej, pogoń za nowościami stała się jedną z plag współczesnej kultury i zdystansowanego, refleksyjnego myślenia. W efekcie czytelnicy coraz częściej nie znają kanonu, a ich myślenie i estetykę kształtuje to, co modne, doraźne i efektowne. Dotyczy to nie tylko literatury. Z podobnym problemem zmaga się kultura masowa. I ta kultura, która wciąż chce uchodzić za wyższą; lecz i ona często zapomina o słowach, które George Orwell zapisał na kartach opublikowanego w 1949 roku „Roku 1984": „Istnieje prawda i istnieje fałsz, lecz dopóki ktoś upiera się przy prawdzie, nawet wbrew całemu światu, pozostaje normalny". Dziś może to jednak brzmieć jak myślozbrodnia.

Bez Orwella nie ma współczesności

Dorian Lynskey w „Ministerstwie prawdy" próbuje opowiedzieć nie tylko o genezie słynnej powieści Orwella. Pokazuje, w jaki sposób była i jest czytana. I ośmiela do kolejnych interpretacji. Inaczej „Rok 1984" przeczyta klasyczny prawicowiec, inaczej liberalna feministka, jeszcze inaczej współczesny populista (nie używam tego terminu pejoratywnie). Nie wynika to wyłącznie z interpretacji napięć między prawdą i innymi wartościami, polityką, instytucjami a jednostkami. Orwell stworzył językowe uniwersum, które na stałe weszło do debat kulturowo-politycznych XX wieku. I wciąż oddziałuje na społeczne i metapolityczne imaginarium. Lynskey pisze: „(...) pojęcia i koncepcje wymyślone przez Orwella stały się nieodłącznymi elementami języka politycznego, zachowującymi moc mimo upływu dziesięcioleci i błędnego wykorzystywania: nowomowa, Wielki Brat, Policja Myśli, pokój sto jeden, Dwie Minuty Nienawiści, dwójmyślenie, nieobywatel, luka pamięci, teleekran, dwa i dwa to pięć, Ministerstwo Prawdy. Tytuł powieści zdominował cały rok kalendarzowy, a stworzony od nazwiska autora przymiotnik »orwellowski« stał się pojemnym określeniem wszystkiego, czego on sam się bał i czego nienawidził". A przy okazji: Lynskey, szukając współczesnych przykładów „orwellowskiej mowy", bierze na warsztat pojęcie „faktów alternatywnych", używane w otoczeniu byłego prezydenta USA Donalda Trumpa. My możemy dodać do tego polityków Koalicji Obywatelskiej i PSL, tłumaczących głośne wypowiedzi lidera PO o „natychmiastowym odblokowaniu środków z KPO, jak tylko wygra wybory", jako „metaforę" lub „nieprecyzyjne wypowiedzi".

Co nie znaczy, że „Rok 1984" podobał się wszystkim: Milan Kundera uważał książkę Orwella za ważną, ale kiepską literaturę „z płaskimi postaciami, nieciekawą prozą i nieprawdopodobną fabułą". Podkreślał, że to traktat polityczny przebrany za powieść. Ale nawet jeśli tak jest, ten sztandar chcieli nieść niemal wszyscy: „Rok 1984" za swój uznali „socjaliści, konserwatyści, anarchiści, liberałowie, katolicy i wszelkiego rodzaju libertarianie". Gorycz jej prawd okazała się uniwersalna. A Orwell uniósł ciężar własnych życiowych doświadczeń: „była to synteza idei, które rozwijał przez całą karierę literacką. Jego książka była zwieńczeniem lat myślenia, czytania i pisania o utopiach, superpaństwach, dyktatorach, więźniach, propagandzie, technologii, władzy, języku, kulturze, klasie, płci, wsi, szczurach i wielu innych tematach". Równocześnie nie był aniołem – ani w sprawach prywatnych, ani w swoich sądach: „Choć w swojej prozie Orwell tworzył złudzenie bycia przyzwoitym, zdroworozsądkowym facetem, mówiącym oczywiste prawdy, które gdzieś już przeczuwaliśmy, tylko nie przyznawaliśmy się do tego przed sobą, potrafił być impulsywny, przesadny, sfrustrowany, zaślepiony i pokrętny. Cenimy go pomimo tych wad, ponieważ miał słuszność co do najważniejszych pytań o faszyzm, komunizm, imperializm i rasizm w czasach, kiedy nie miało jej tak wielu ludzi, którzy powinni być mądrzejsi".

Utopia, nuda, braterstwo

Przyszłość miała należeć do Utopii. Zadekretował to święty Tomasz Morus, nieświadomy, że po wiekach obcy mu pod każdym względem ludzie utopią Utopię we krwi. Przyszłość miała należeć do Utopii – im bardziej w kolejnych stuleciach Europa stawała się świecka, tym częściej eschatologię zastępowała nadzieja na doskonały ludzki świat. Karl Löwith w klasycznej dziś książce „Historia powszechna i dzieje

eprasa.pl eb5d10470b

zbawienia" wyjaśniał, że przynajmniej od czasów Joachima z Fiore (1131–1202) utopijne myślenie przeniknęło do kultury i polityki. Wbrew intencjom średniowiecznego cystersa jego mistyczne wizje zakorzeniły się u podstaw wrogich chrześcijańskiej eschatologii koncepcji. To między innymi za jego sprawą „wzmógł się impet świeckich ataków zmierzających do ostatecznego rozwiązania problemów, których nie sposób w ogóle rozwiązać ani uleczyć na ich własnej płaszczyźnie i za pomocą ich własnych środków" (Karl Löwith). Z tej niemocy zrodził się komunizm, a także antyutopia i dystopia – okrutne i brutalne, nieludzkie bękarty humanistycznych pragnień.

Z pozoru daleko odeszliśmy od George'a Orwella i jego „Roku 1984". Ale brytyjski pisarz doskonale znał korzenie utopii. Był przekonany, że „jakaś nieokreślona marksistowska utopia" jest znaczną przeszkodą dla budowy demokratycznego socjalizmu. Utopie – ich literackie emanacje – nudziły go: „Szczęście zawsze trudno oddać słowami, opisy zaś sprawiedliwych i dobrze zorganizowanych społeczeństw nieczęsto bywają atrakcyjne i przekonujące". Więcej jeszcze: kto zna utopijne powieści i nowele sprzed ponad wieku, ten doskonale zdaje sobie sprawę z ich pociesznej, sielankowej naiwności – z którą tak mocno kontrastuje realna sowiecka groza i antyutopijna i dystopijna XX-wieczna literatura. Być może zabrzmi to jak publicystyczna aluzja, kąśliwość wobec tych, którzy dziś w Polsce czują się wygrani, ale z pewnych nadziei z czasem pozostaje tylko strach. To nie znaczy, że Orwell drwił z utopii: „widział zbyt wiele, by być idealistą. Nie brakowało mu jednak pewnej czułości – a może i odrobiny zazdrości – wobec marzycieli żyjących w czasach bogatszych w nadzieję". Stąd przekonywał, że „dziewiętnastowieczne utopie (…) przypominają ruchowi socjalistycznemu o jego pierwotnym, na wpół zapomnianym celu: ludzkim braterstwie".

„Dawka somy czy but na twarzy?"

Jednym z najważniejszych dla Orwella autorów był Herbert George Wells, pisarz, o którym mówiono, że „wymyślił jutro". W twórczości Wellsa byli nie tylko kosmici, były także bomby atomowe, dowody tożsamości i była inżynieria genetyczna. I było społeczeństwo racjonalne, uporządkowane, technokratyczne, harmonijnie współżyjące z maszynami. Choć Wells w „Wehikule czasu" opisał też mroczne konsekwencje klasowych konfliktów (Morlokowie to potomkowie zepchniętej – dosłownie – do podziemi klasy robotniczej, żerujący na bezradnych i zdziecinniałych Elojach, tworzących niegdyś społeczną elitę i żyjących na powierzchni Ziemi, wśród ruin wysoko rozwiniętej cywilizacji), to Orwell krytykował go, że przyszłość widzi jako świat nazbyt uregulowany, nieludzki w swej racjonalności. Wells był przy tym zbytnim optymistą: snuł ponure wizje inwazji z Marsa, ale był przekonany, że ludzie nigdy nie będą mordować się masowo z powietrza. Lynskey pisze: „Wells potrafił przewidywać powstanie maszyn, ale nie to, jak będą współgrać z ludzką naturą. Uważał na przykład, że siły powietrzne, jako unicestwiające różnicę między żołnierzem a cywilem, będą czymś tak okropnym, że nikt nie podejmie się ich budowy. Tymczasem w zasadzie wszystkie państwa okazały się wyjątkowo niezafrasowane mordowaniem niewinnych z wysokiego pułapu".

Fascynację Wellsa technologiami i naiwność wobec niej wykpiwał Aldous Huxley, autor „Nowego wspaniałego świata", który ubolewał przed dekadami, że „ludzie nie bawią się już twórczo, ale siadają i dają się biernie bawić urządzeniom mechanicznym". Huxley przekonywał Orwella, że ich antyutopijne/dystopijne wizje przyszłości się dopełniają: „Uważam, że koszmar »Roku 1984« siłą rzeczy będzie modulować w koszmar świata bardziej przypominającego ten, o którym pisałem w »Nowym wspaniałym świecie«". Lynskey z odrobiną ironii komentuje: „Większość czytelników odkrywa obie książki mniej więcej w tym samym wieku, jakby to była promocja »dwa w cenie jednego« na klasyczne antyutopie, a więc postrzega je jako rywalizujące proroctwa, jak gdyby obaj autorzy w tym samym momencie otrzymali to samo zlecenie na przewidzenie przyszłości, a nam kazano decydować, który był bliższy prawdy. Rozkosz czy kara? Seks czy śmierć? Dawka somy czy but na twarzy? Kto miał rację". Dziś możemy jednak dodać: „why not both?" – jedno nie wyklucza drugiego.

Seks na talon w szklanych domach

„Wiem, że mam bardzo, bardzo niewygodny zwyczaj mówić nie to, co w danym momencie jest korzystne, ale to, co wydaje mi się prawdą" – pisał w 1929 roku w liście do Stalina Jewgienij Zamiatin, autor antyutopijnej powieści „My". Orwell znał tę książkę. I podobnie jak Kurt Vonnegut uważał, że „Nowy wspaniały świat" Huxleya był po części plagiatem z „My". Zamiatin swoją dystopię napisał w latach 1920–1921. Pierwsze zdania powstały w Piotrogrodzie, w sowieckiej Rosji. Bohaterowie jego książki żyją w świecie „okradzionym z indywidualności" – to echa „marynarkowej cywilizacji", wyszydzanej przez rosyjskich antyokcydentalistów. Ludzie stają się numerami zamieszkującymi szklane domy (można by napisać osobny esej o brutalno-dystopijnej i łagodnie utopijnej figurze szklanych domów u Zamiatina i Stefana

eprasa.pl eb5d10470b

Żeromskiego), są inwigilowani nieustannie przez tajną policję, czyli Opiekunów.

Na tym nie koniec: „Obywatele Państwa Jedynego [w którym toczy się akcja powieści – red.] dostają od Zamiatina syntetyczne jedzenie, kontrolowany klimat, sztampową, produkowaną przez maszyny muzykę". Seks jest na talony, czas jest organizowany wedle parodii taylorowskiego stylu zarządzania pracą, a nad wszystkim czuwa Dobroczyńca – bezimienny dyktator. „Zamiatin dał obywatelom swojego Państwa Jedynego wybór między bolesną, chaotyczną wolnością a bezmyślnym szczęściem całkowitego posłuszeństwa" – podsumowuje Lynskey.

Dla dystopistów technologia przestaje być szczęściem ludzkości. Staje się narzędziem opresji i kłamstwa. Orwell w „Roku 1984" podejmuje te same intuicje co Zamiatin i Huxley. Totalitaryzm, niezależnie od swoich barw, łączy w sobie etyczne przekroczenie norm z cywilizacyjnym przewrotem, jaki przyniósł postęp naukowo-techniczny. Postęp przewrotny i wybrakowany, bo narzędzia represji są w nim wydoskonalone ponad miarę, a dobra służące ludzkiej egzystencji – ubogie, pełne niedostatków. Być może i dla tej przyczyny „Rok 1984" był zakazany w PRL – tajne służby dysponowały choćby najnowszym zachodnim sprzętem do inwigilacji i niszczenia obywateli i obywatelek własnego kraju. A dla ludzi zwykle było to, co siermiężne, małe, ciasne, niewygodne i łatwo psujące się – nawet jeśli nowoczesne. W moich wspomnieniach z dziecięcych lat na zawsze symbolem takiego gadżetu pozostanie PRL-owski walkman Kajtek. Gdy go dostałem w 1989 roku, po kilku godzinach przestała działać jedna z dołączonych słuchawek. Chwilę później wyczerpały się cztery baterie R4, a potem walkman zaczął wciągać taśmę kasety magnetofonowej.

Orwell, tradycja, rzeczywistość

Wróćmy do poważnych rozważań. Ciężko chory na płuca Orwell był przekonany, że „Rok 1984" mu się nie udał. Nazywał powieść „naprawdę okropną książką" i „zrujnowanym dobrym pomysłem". Skarżył się, że gruźlica znacznie utrudniła mu pracę, i narzekał na brak pieniędzy. Mówiąc pół żartem, pół serio, zachowywał się jak porządny pisarz starej daty, a nie współczesna banda literatów-fircyków, których trudno odróżnić od celebrytów. Znacznie lepsze zdanie o rękopisie miał Frederic Warburg z wydawnictwa Secker & Warburg, który pisał w recenzji redakcyjnej: „To jedna z najstraszniejszych książek, jakie kiedykolwiek czytałem […]. Orwell nie ma nadziei, a przynajmniej nie zostawia jej czytelnikowi; nawet drobnego, gasnącego ogarka nadziei. Mamy tu do czynienia ze studium pesymizmu, nieograniczonego niczym, może oprócz myśli, że jeśli ludzkość jest w stanie sobie wyobrazić »Rok 1984«, to może go też uniknąć".

Orwell był socjalistą do końca życia. Niech Państwo nie wierzą uznanym czasem prawicowym publicystom, którzy usiłują temu zaprzeczać. Lynskey mówi o nim jednak coś ważnego: „Choć był ateistą, miał w sobie dość szacunku do tradycji, by chcieć pogrzebu na kościelnym cmentarzu". Tradycja była dla niego uznaniem dla rzeczywistości, jej ciągłości historycznej, materialnej, kulturowej. Zakłamani władcy Oceanii usiłują sprowadzić świat do propagandy („rządzimy materią, bo rządzimy umysłami", „rzeczywistość mieści się w mózgu").

Dystopia 2.0. „To była tylko metafora"

Dystopia Orwella jest wciąż realnym zagrożeniem, ponieważ napięcie między prawdą a kłamstwem, spór o naturę świata ma wciąż fundamentalne znaczenie, także politycznie. Nasz świat nosi w sobie dystopijny rys, również dlatego, że nowe formy kłamstw głęboko wżarły się w technologiczną strukturę otaczającej nas rzeczywistości. Przemoc i kłamstwo często przedstawiają się jako ofiary tych, którzy usiłują bronić elementarnych racji, stopniowo spychanych na margines naszej przepoczwarzającej się cywilizacji. Zręcznie używając pasywnej agresji, którą nasączone są lewicowo-liberalne narracje, budują nastrój grozy, który najlepiej sprzedaje się w social mediach – zdecydowanie lepiej niż w realnym, dotykalnym pięcioma zmysłami świecie.

Lynskey zwraca uwagę na jeszcze jedną rzecz: współczesny autorytaryzm świetnie współgra z popkulturą. Rozważa to na dość nieoczywistym przykładzie: putinowskiej Rosji sprzed kilkunastu lat. Jeden z ówczesnych luminarzy rosyjskich mediów zauważył, że putinowskie media były swoistym połączeniem „show biznesu i propagandy, balansującym między oglądalnością a autorytaryzmem". Choć wielu wyda się to myślozbrodnią, to celebryci w służbie liberalnej propagandy, służący politykom doskonale sformatowanym, jednoznacznym przekazem przygotowanym pod dobrze określone grupy wiekowe, przedstawiający się równocześnie jako ofiary reżimu, nieźle wpisują się w ten model. Choć nigdy się z tym opisem oczywiście nie zgodzą. Widzimy jednak, jak szybko płomienne obietnice okazują się metaforami, a jeremiady i dobrze inscenizowane trwogi – hiperbolami. Lynskey twierdzi, że tak też da się czytać „Rok 1984" Orwella – choć woli przy tym uderzać w globalną prawicę. Ale co do zasady ma przecież rację. ■

eprasa.pl eb5d10470b

Książę Promienisty

Łukasz Czarnecki



eprasa.pl eb5d10470b



W 1968 roku japoński pisarz Kawabata Yasunari, odbierając przyznaną mu literacką Nagrodę Nobla, wygłosił poruszające przemówienie, w którym, odwołując się do kulturalnej spuścizny swojej ojczyzny, za najwyższe osiągnięcie japońskiej literatury uznał „Opowieść o księciu Genjim". Jak powiedział: „Aż do chwili obecnej nie powstał choćby kawałek prozy, który mógłby się mierzyć z Genjim". Słowa te w opinii samych Japończyków pozostają nieodmiennie aktualne. Niedawno obchodziliśmy tysiąclecie od momentu nakreślenia ostatniego znaku kończącego owo monumentalne dzieło. W czym tkwi zatem jego magia?

FOT. WIKIMEDIA (2)

eprasa.pl eb5d10470b

Istnieją dzieła literackie, które mimo iż nie mają charakteru sakralnego, stanowią fundamenty, na których opiera się tożsamość całych narodów lub cywilizacji. Gmach kultury antycznej Grecji wzniesiono wokół „Iliady" i „Odysei", Niemcy mają „Pieśń o Nibelungach", Anglicy Szekspira, a podstawą cywilizacji chińskiej od ponad 2 tysięcy lat są pisma Konfucjusza. Zjawisko to znamy z własnego podwórka, trudno wyobrazić sobie Polaka, który nie zna, nawet jeśli nie z osobistej lektury, „Pana Tadeusza" czy Trylogii Sienkiewicza.

Takim właśnie statusem narodowej świętości cieszy się w Japonii napisana w XI wieku „Opowieść o księciu Genjim", którą Japończycy lubią nazywać „pierwszą powieścią w dziejach ludzkości". Z całym szacunkiem dla uczuć mieszkańców Kraju Kwitnącej Wiśni tytuł ten przyznają owemu dziełu na wyrost, bo nowelistykę uprawiano nad Morzem Śródziemnym już w czasach hellenistycznych. Nie umniejsza to jednak w żadnym wypadku tytułu do chwały anonimowej autorki „Opowieści", znanej nam wyłącznie pod pseudonimem Murasaki Shikibu – spod jej pędzelka wyszło bowiem nie tylko pierwsze długie (pięćdziesiąt cztery księgi), skończone i dojrzałe dzieło japońskiej beletrystyki, lecz także dała ona ludzkości pierwszą (i tego lauru nikt jej nie odbierze) powieść psychologiczną!

Zupełnie inna Japonia

Aby zrozumieć fenomen „Opowieści o księciu Genjim", musimy uświadomić sobie jedną bardzo ważną rzecz – ten zabytek literacki stanowi rzadko spotykane w kulturze okno, przez które możemy zerknąć w bardzo konkretny moment historii i z bliska przyjrzeć się ściśle określonemu wycinkowi ówczesnych realiów, szczegółowo opisanych przez osobę, dla której owo otoczenie stanowiło środowisko naturalne. Dlatego japoński klasyk przyciągał przez wieki nie tylko miłośników dobrej literatury czy filologów i literaturoznawców, lecz także historyków, którzy na podstawie pozostawionych przez Murasaki opisów próbowali rekonstruować świat, w jakim żyła. Lektura „Opowieści" może stanowić punkt wyjścia dla bliższego poznania epoki, w której osadzona jest jej akcja, tak potraktował ją choćby słynny XX-wieczny brytyjski japonista Ivan Morris w książce „Świat Księcia Promienistego", stanowiącej dokładny opis realiów, w jakich przyszło żyć i działać księciu Genji oraz innym postaciom przewijającym się przez całą sagę.

Z czym przeciętnemu Polakowi kojarzy się Japonia? W umysłach większości naszych rodaków nazwa Krainy Wschodzącego Słońca wywołuje obrazy walecznych samurajów, pięknych gejsz i kwitnących wiśni. Z tych trzech zjawisk na początku XI wieku, gdy Murasaki Shikibu pracowała nad dziełem swego życia, zgadzało się tylko to, że wiśniowe drzewa pod górą Fuji rzeczywiście kwitły. Wszystko inne pozostawało pieśnią odległej przyszłości, a sama pisarka, gdyby wsadzić ją do wehikułu czasu i wysłać w ową przyszłość, prawdopodobnie dostałaby zawału serca.

„Opowieść o księciu Gejnim" jest nieodrodnym dzieckiem epoki Heian (794–1185 rok) – okresu wielce osobliwego, lecz urokliwego, o którego cywilizacji wspomniany Morris pisał, że nie należy się dziwić, iż w końcu upadła, bardziej szokujące jest to, że przetrwała aż tak długo. Nazwa okresu pochodzi od ówczesnej stolicy cesarstwa Heian-kyō, czyli dzisiejszego Kioto, w którym jednak po ponad milenium trzęsień ziemi, pożarów i wojen domowych nie pozostał żaden zabytek z tych czasów.

Epoka Heian była najdłuższym w dziejach Japonii okresem pokoju, kraj tak ciężko doświadczony później przez niekończące się konflikty, nie licząc ruchawek na prowincjach, cieszył się wówczas spokojem. Grupę trzymającą władzę stanowiła arystokracja dworska, mieszkająca w stolicy, wśród której na prowadzenie wysunął się ród Fujiwara. Jego liderzy wydawali swoje córki za cesarzy, a gdy te rodziły następców tronu, zmuszali zięciów do abdykacji, by przez następne kilkanaście lat pełnić funkcję regentów przy małoletnim monarsze. Gdy ten w końcu dorastał, dawano mu za żonę kolejną pannę z Fujiwarów (czasem wręcz jego ciotkę), po czym cała zabawa zaczynała się od nowa.

Regentów wspomagał w rządzeniu skomplikowany system administracyjny, w którym wyróżniano cały szereg rang i urzędów. Działał on jednak sprawnie wyłącznie na papierze. Wbrew oficjalnie panującej konfucjańskiej ideologii, przewidującej obsadzanie stanowisk w administracji za pomocą egzaminów, tych ostatnich w ogóle nie przeprowadzano, a urzędy stały się dziedziczne. Arystokraci uważali za oczywistość, że prędzej czy później któryś z nich im przypadnie, ponadto zaciekle ze sobą o nie rywalizowali. Jednak znalazłszy się na urzędzie, członek ówczesnej elity… nie robił właściwie nic. System istniał wyłącznie, by zapewnić istnienie systemu, a struktura ministerialna przypominała kwadraturę koła. Zajmowano się głównie kwestiami dworskimi, przy czym najprostsze z nich zajmowały całe wieki. Zachowała się (i to bynajmniej nie satyryczna!) relacja o drodze, jaką przejść musiały kolejne, po wielokroć przepisywane i opatrywane odpowiednimi pie-

eprasa.pl eb5d10470b

częciami oraz zezwoleniami dokumenty dotyczące tak życiowej kwestii, jak nakrycie głowy przysługujące faworytowi ówczesnego cesarza. Żeby bardziej oddać absurd sytuacji, muszę dodać, że ów faworyt był… kotem. Gdyby nie to, że zarządzenie państwem ostatecznie przejął prywatny aparat administracyjny Fujiwarów, cesarstwo epoki Heian prawdopodobnie zapadłoby się wskutek ciężaru własnej nieporadności i poziomu absurdu.

Równocześnie jednak epoka Heian przy wszystkich jej dziwactwach jest postrzegana jako złoty wiek literatury japońskiej. Przerwanie w IX wieku kontaktów z Chinami zaowocowało stopniowym zwrotem japońskich autorów ku rodzimej kulturze. O ile uczeni mężczyźni nadal pisali wiersze w języku chińskim, o tyle równocześnie nastąpił dynamiczny rozwój poezji w mowie rodzimej. Wówczas też powstało sylabiczne pismo japońskie zwane kaną – przodek współczesnej hiragany i katakany. Dzięki niemu za pędzelki i tusz chwycić mogły także kobiety, którym odmawiano nauki języka chińskiego. Nastał czas wielkich pisarek, służących na dworach cesarskich małżonek i rywalizujących między sobą za pomocą dowcipnych i trafnie dobranych wierszy. Panowie nie pozostawali w tyle, w efekcie czego narodziła się chyba najbardziej poetycka cywilizacja, jaką widziała ludzkość, do dzisiejszych czasów zachowały się dziesiątki tysięcy ówczesnych poematów, a to przecież zaledwie mały ułamek owej twórczości! Innymi rozwijającymi się wówczas gatunkami były dzienniki czy nowelistyka. Obydwa pisano za pomocą kany, co umożliwiało kobietom realizowanie na tym polu literackich ambicji. I właśnie jedną z takich pań była Murasaki Shikibu.

Zajmując się epoką Heian, warto pamiętać o tym, że świadectwa pisane z tego okresu, choć liczne, dotyczą tylko bardzo wąskiego wycinka ówczesnej rzeczywistości. Jedynymi Japończykami z tamtych czasów, którzy zostawili po sobie spuściznę, byli członkowie niewielkiego kręgu arystokratów mieszkających w stolicy i rzadko kiedy ją opuszczających. Ich życie upływało w luksusach i koncentrowało na w gruncie rzeczy pozbawionej większego sensu rywalizacji o pozycję towarzyską, ploteczkach, romansach, dworskich intrygach czy rozrywkach, takich jak gra w piłkę, turnieje poetyckie i… konkursy w komponowaniu zapachów. I choć w ich świecie byli też zwykli ludzie, bo w końcu Heian-kyō zamieszkiwali też robotnicy, rzemieślnicy i kupcy, arystokraci właściwie w ogóle nie dostrzegali ich istnienia, a gdy już do tego z rzadka dochodziło, to niosący ładunek ulicą tragarz wydawał im się bardziej nieprawdopodobny niż straszące po nocy upiory, w których istnienie elity ślepo wierzyły.

Tajemnicza dama i jej dzieło

O autorce „Opowieści o księciu Gejnim", która miała na wieki utrwalić na papierze obraz arystokratycznych japońskich elit początku XI wieku, wiemy bardzo niewiele. Nie znamy nawet jej prawdziwego imienia, Murasakai Shikibu to pseudonim, którym nazywano ją już za życia. Był on poniekąd efektem sukcesu literackiego, jaki odniosła, napisana przez nią powieść stała się tak popularna na cesarskim dworze, że imię najważniejszej z ukochanych dam głównego bohatera – księżniczki Murasaki – przylgnęło do autorki całej historii. Z kolei Shikibu to nazwa urzędu pełnionego przez ojca pisarki. Jednym z najważniejszych źródeł dostarczających nam jakichkolwiek szczegółów jej biografii pozostaje pozostawiony przez ową niezwykłą kobietę dziennik obejmujący lata 1008–1010.

Najwybitniejsza japońska literatka najprawdopodobniej przyszła na świat w latach 70. X wieku, jej śmierć zaś datuje się na około 1014 roku, choć nie ma co do tego pewności. Wywodziła się z bocznej linii klanu Fujiawara, a jej ojciec – Tametoki – pełnił stanowisko w ministerstwie ceremonii. Miała brata, którego Tametoki uczył języka chińskiego i chińskich klasyków literackich, przygotowując syna do przyszłej kariery na dworze. Z zachowanych przekazów wiemy, że dziewczyna pilnie przysłuchiwała się owym lekcjom i szybko zaczęła wynosić z nich więcej korzyści niż chłopak. Pewnego dnia ojciec rodzeństwa widząc, jak sprawnie mała Murasaki kreśli ideogramy kanji, zakrzyknął poruszony: „Gdybyś była chłopcem, jakżebym był szczęśliwy!"

Z zapisków poczynionych przez pisarkę w swoim dzienniku wyłania się obraz osoby nieśmiałej, o introwertycznej osobowości i czującej się lepiej w towarzystwie książek niż ludzi. Być może właśnie te cechy charakteru długo nie pozwalały jej wyjść dobrze za mąż, ostatecznie na ślubnym kobiercu stanęła dopiero jako dwudziestolatka (co w owym czasie kwalifikowało ją już do tytułu starej panny), a znalezionym jej przez ojca mężem był jej prawie o trzy dekady starszy kuzyn. Przeżyli razem tylko kilka lat, bo małżonek naszej bohaterki rychło zmarł, pozostawiając ją samą z małą córeczką. Owdowiała Murasaki wróciła do ojcowskiego domu i jak przypuszcza część japonistów, choćby Mikołaj Melanowicz, właśnie wtedy zaczęła pracę nad „Opowieścią o księciu Genjim". Wiadomo, że w 1008 roku, w którym zaczyna się jej dziennik, przynajmniej część powieści była już gotowa i czytana na cesarskim dworze. Prawdopodobnie to właśnie status autorki bestsellera sprawił, że Shikibu dołączyła do dwórek ówczesnej cesarzowej.

eprasa.pl eb5d10470b

Tyle w miarę pewnych faktów. O całą resztę badacze japońscy spierają się od stuleci, a w XIX wieku do owej burzliwej dyskusji dołączyli też zachodni japoniści. Nieustannie trwają dyskusje, po co właściwie Murasaki napisała „Opowieść o księciu Genji", ile jej to zajęło, a także, czy na pewno ona to zrobiła (dziś już tego typu teorie budzą śmiech, ale w czasach panowania surowego samurajskiego konfucjanizmu niektórym japońskim historykom literatury nie mieściło się w głowach, że najwybitniejsze dzieło japońskiej prozy stworzyła kobieta, i uparcie usiłowali dowieść, że autorem był jakiś mężczyzna). Przerzucano się najróżniejszymi koncepcjami, wedle których pierwsza w historii powieść psychologiczna miała powstawać od… jednej nocy do dwudziestu lat!

Wielu znawców tematu przychyla się dziś do wersji, wedle której „Opowieść" powstawała stopniowo i w odcinkach, które potem krążyły między czytelnikami. Z zachowanych dzienników dam dworu wiemy, że każdy z pięćdziesięciu czterech rozdziałów stanowił osobny zwój przechowywany w wyznaczonym do tego pojemniku. W sto lat po premierze zaczęły zaś pojawiać się wydania ilustrowane, tzw. zwoje narracyjne przedstawiające obrazki ze scenami z powieści, którym towarzyszył tekst.

Edycje „Opowieści o księciu Genjim" to jedno, inna rzecz to literatura, jaka narosła wokół tematu. Pierwszy zachowany we fragmentach komentarz do dzieła Murasaki pochodzi z XIII wieku, ale powstawały one już wcześniej. W średniowieczu wyodrębniło się kilka szkół literaturoznawczych, które potajemnie przekazywały sobie wiedzę na temat różnych aspektów tego arcydzieła japońskiego pisarstwa. Gdy Ivan Morris w połowie XX wieku pisał swój „Świat Księcia Promienistego", wyliczył, że w tamtej konkretnej chwili pełna bibliografia tematu wynosiła… 10 000 pozycji! A zastrzegał przy tym, że do liczby tej nie wciągał artykułów prasowych i prac dyplomowych.

Dżentelmen doskonały

O czym jednak właściwie jest „Opowieść o księciu Genjim"? Ta olbrzymia księga (dwukrotnie dłuższa od „Don Kichota") opowiada skomplikowane losy czterech pokoleń bohaterów, toczące się na przestrzeni siedemdziesięciu lat. Centralną postacią fabuły jest książę Hikaru (czyli Promienisty) – syn cesarza i jednej z jego małżonek, który odsunięty, wskutek intryg od dziedzictwa tronu, otrzymuje nazwisko Genji i zaczyna życie światowego amanta, idealnego dworskiego dworzanina epoki Heian.

Choć główny bohater miał długo jeszcze rozpalać wyobraźnie japońskich arystokratek, to z punktu widzenia współczesności (zresztą nie tylko jej, bo już w średniowieczu niektórzy komentatorzy przyrównywali jego prowadzenie się do sadzawki z brudną wodą) nie jest on postacią sympatyczną. To, że skacze z kwiatka na kwiatek, zdobywając kolejne kobiety, ludzie epoki Heian absolutnie akceptowali i zazdrościli księciu jego miłosnych podbojów, zaś kobiety wzruszało to, że o żadnej ze swych kochanek Promienisty nie zapominał i wszystkie sprowadzał do swojego pałacu, budując istny harem. Niektóre odloty Hikaru nawet w tej libertyńskiej epoce przyprawiały jednak o ból głowy i wołały o pomstę do Buddy.

Przykładem najbardziej wymownym owych „grzechów" Promienistego jest fakt, że… spłodził własnego młodszego brata. Tak, zrobił to. Co prawda był to brat przyrodni, ale to, że Genji uwiódł własną macochę i zrobił jej dziecko, które później bezprawnie zostało cesarzem, budzi grozę. Los zresztą okrutnie zakpił z kochliwego amanta, bo jedna z jego żon przyprawiła mu rogi, w efekcie czego książę również miał wątpliwą przyjemność wychowywać później nieswoje dziecko. Na romansach z macochami kazirodcze zapędy Hikaru się nie kończyły, bo w swoim babińcu wychowywał też pewne piękne dziewczę mające w zamyśle zostać w przyszłości jego kochanką… z tym że panna owa prawie na pewno była jego córką spłodzoną wraz z którąś z dawniejszych nałożnic.

Wszystko to brzmi jak scenariusz straszliwie poplątanej telenoweli, a ukazuje tylko drobny ułamek zależności zachodzących między bohaterami, których przez karty „Opowieści" przewija się kilkuset! Zrozumienia, kto jest kim dla kogo, nie ułatwia bardzo specyficzny i niejasny język oryginału, sprawiający, że nawet Japończycy są zmuszeni w trakcie lektury korzystać z przekładu. Już w średniowieczu rozrysowywano całe tablice dotyczące powinowactwa i pokrewieństwa poszczególnych postaci, a gdy piszący te słowa przed laty uczęszczał na UJ na zajęcia z literatury japońskiej, to w trakcie wykładu o dziele Murasaki prowadzący go pokrył całą tablicę skomplikowanym wykresem przedstawiającym relacje Genjiego z samymi kobietami. Tym bardziej szokuje, że dla arystokratów epoki Heian wszystko to było całkowicie jasne.

Niestety jak dotąd nie doczekaliśmy się polskiego przekładu „Opowieści o księciu Genjim". Specjalista od literatury epoki Heian, z którym lata temu rozmawiałem na ten temat, wspominał, że projekt taki temu, kto by się go podjął, zająłby minimum dziesięć lat życia. Na szczęście w czasach powszechnego dostępu do Internetu z łatwością można zakupić angielski przekład arcydzieła Murasaki. Przed lekturą warto jednak znaleźć w jakimś antykwariacie lub bibliotece „Świat Księcia Promienistego" Ivana Morrisa i go przeczytać. Dzięki temu zrozumienie Genjiego przyjdzie o wiele łatwiej. ■

eprasa.pl eb5d10470b

Marek Kalinowski

TAXI JAZZ

Kiedy zaczyna się „godzina wilka" i dlaczego niezbędny jest „kocyk"? – taksówkarze okazują się nieskończoną skarbnicą miejskich tajemnic i legend. Raper „Łona" ma zaś niezwykły dar opowiadania. Z licznych podróży taksówką ułożył wciągającą historię, która z pewnością przyciągnie uwagę nawet tych słuchaczy, którym niespecjalnie po drodze z rapem.

Jak się jeździ na taryfie to się naogląda człowiek – rapuje Adam Zieliński, pseudonim Łona, na najnowszym albumie „Taxi". I rzeczywiście, z rozmów przeprowadzonych z taksówkarzami wyłania się nie tylko zbiór zapadających w pamięć krótkich historii, lecz także bogata opowieść z ostatnich trzydziestu lat transformacji. „Taxi" to album dość gorzki, a zarazem szalenie dowcipny, również na poziomie językowym.



„Łona", Konieczny, Krupa, TAXI, Def Jam Recordings

Zasłyszanych anegdot zapewne wystarczyłoby na kilka płyt. Pomysł pojawił się bowiem już w 2020 roku, zainicjowany przez kuratorkę Zuzannę Głowacką, jako projekt społeczno-kulturalny. Jego osią miały być wywiady przeprowadzane z poznańskimi taksówkarzami. Kiedy jednak w roli odpytujących pojawili się muzycy (zaproszenie otrzymał m.in. Adam Zieliński „Łona" oraz nieodżałowany lider Pogodno Jacek Szymkiewicz „Budyń"), nic dziwnego, że bardzo szybko narodził się pomysł na piosenki. Projekt trwał aż trzy lata, rozciągnął się na kolejne miasta i zaowocował bardzo ciekawym albumem.

„Łona" na płycie „Taxi" łączy historie kierowców i ich pasażerów z licznymi literackimi i filmowymi wątkami. Podróż tym tropem to dodatkowa frajda. Rówieśnicy artysty (rocznik '82) z pewnością uśmiechną się na wspomnienie niezapomnianych „Zmienników" Stanisława Barei. Nie będą też mieli problemu z rozszyfrowaniem, co to znaczy „jeździć Borewiczem". Taksówkarza Darka, który wie o rybach wszystko, raper sprytnie połączył z mistrzem wędkarskich opowiadań, Kornelem Filipowiczem. Może kogoś najdzie ochota na ponowne spotkanie z tomem „Mój przyjaciel i ryby"? To rzadkość, a zarazem ogromna przyjemność, gdy muzyczny album otwiera tak wiele zapomnianych szuflad. To także niemała frajda, gdy ma się do czynienia z tak bogatą i zamkniętą w całość opowieścią, zwłaszcza gdy świat muzyki rozrywkowej coraz bardziej skoncentrowany jest wyłącznie na produkowaniu chwytliwych singli.

Jest coś z ducha książek Tyrmanda, a także amerykańskiego kina lat 70., i to nie tylko ze względu na klimat opowiadań, lecz także warstwę muzyczną. Miejskim anegdotom „Łony" towarzyszy bowiem nie mniej silnie oddziałująca na wyobraźnię muzyka jazzowa, której autorami są Andrzej Konieczny i Kacper Krupa – połowa składu Siema Ziemia. Jej różnorodność uwalnia zaś kolejne ciekawe skojarzenia – od początkowych melancholijnych dźwięków bliskich Mulatu Astatke, aż po gęstą rytmikę współczesnej londyńskiej sceny jazzowej i hiphopową zadziorność.

Nostalgia, jazz i światła nocy, bo noc jest tym żywiołem, który odsłania ukryte warstwy miasta. Samochód może wydawać się bezpieczną kryjówką, a jednak mimo zaparowanej szyby nie sposób uciec od mroków tego, co na zewnątrz. Gdzieś w tle uliczne zamieszki albo historia taksówkarza Saszy, który musiał z bratem zdecydować, który z nich opuści Polskę i pojedzie bronić Chersonia. ■

eprasa.pl eb5d10470b



Krzysztof Karnkowski

Świętość i bezpieka w czerni i bieli

W przypadku „Figuranta" Roberta Glińskiego od strony artystycznej mamy do czynienia z obrazem, który być może zasługuje nawet na okrzyknięcie go arcydziełem.

eprasa.pl eb5d10470b

W ostatnich latach w Polsce powstało wiele filmów o tematyce historycznej. Kilka dużych produkcji, które mimo wszystko zostawiały pewien niedosyt, często z racji pewnych kompromisów w opisywaniu przeszłości. Trudno się temu dziwić, niektóre z nich powstały jeszcze przed 2015 rokiem. Kto nie łagodził, choćby trochę, wymowy pokazywanych wydarzeń, ten musiał iść na inne kompromisy, przede wszystkim borykając się z chronicznym brakiem środków, co sprawiało, że powstawały filmy, którym zawsze czegoś brakowało, i jeśli je chwaliliśmy, to za to, że pokazując historyczną prawdę, są całkiem udane jak na niesprzyjające okoliczności. W ostatnich ośmiu latach część twórców dostała większe wsparcie, co dało też lepsze, lecz nie zawsze w pełni satysfakcjonujące efekty, co czytelnicy moich tekstów z „NP" wiedzą zapewne bardzo dobrze. „Figurant" Roberta Glińskiego na tym tle wyróżnia się zdecydowanie.

Pozytywy z ostatnich lat

Nim przejdę do „Figuranta", dokończę moje rozliczenia z tą naszą historyczną lub okołohistoryczną filmografią, zwracając uwagę na pozytywy z ostatnich lat. Do jaśniejszych punktów zaliczyć można opisane przeze mnie filmy Krzysztofa Łukaszewicza („Karbala", „Orlęta. Grodno'39" czy – choć z zastrzeżeniami – „Raport Pileckiego"), zupełnie niedawnego „Proroka" Michała Kondrata czy bardziej komercyjnego, łączącego wątki rozliczeniowe z kryminałem „Świętego" Sebastiana Buttnego. Oba te filmy trafiły do oferty Netfliksa i cieszą się tam sporym zainteresowaniem.

Do tej listy tytułów udanych zalicza się również poprzedni film Glińskiego właśnie. „Zieja", opowieść o kapelanie KOR, księdzu Janie Ziei, jest zresztą, być może niezamierzoną, wprawką przed nakręceniem „Figuranta", tematyka obu dzieł jest przecież bardzo pokrewna. Tak samo jak w „Figurancie" poznajemy tu bowiem relacje księdza i esbeka, tyle że w nowym filmie to esbek, a nie kapłan jest postacią centralną, o czym za chwilę. Zostańmy jeszcze przy „Ziei". Gliński, jako brat znienawidzonego przez większą część liberalnego świata artystycznego ministra kultury, od kilku lat musi zapewne balansować na dość cienkiej linie. Kilka razy w wywiadach pozwolił sobie na dość ostre słowa pod adresem Piotra Glińskiego, z drugiej strony pochodząc z tej samej rodziny, nie wyznaje przecież całkiem innych wartości, co widać choćby po tematyce jego ostatnich filmów. Jednak w opowieści o kapelanie KOR niektórzy dostrzegli deklarację dotyczącą spraw jak najbardziej współczesnych, na przykład jedno z kazań miało być niemal dosłownym cytatem ze słów uwielbianego przez salon ks. Ludwika Wiśniewskiego, wypowiedzianych podczas pogrzebu Pawła Adamowicza. Na Wiśniewskim wzorować miał się ponoć grający tytułowego bohatera Andrzej Chyra, którego poglądy znamy aż za dobrze. Idąc jeszcze dalej, jeden z recenzentów Filmwebu, Marcin Stachowicz, uznał, że biografia księdza Ziei jest próbą stworzenia hagiografii środowiska KOR w kontrze do tworzonej przez prawicę filmowej legendy Wyklętych. Tyle że to niuanse, które zauważy ktoś spostrzegawczy i chcący je znaleźć, a one nie powinny przesłaniać wartościowego i dobrze zrobionego filmu o odważnym i bezkompromisowym kapłanie, wokół którego i z jego udziałem dzieje się historia. A w niej też indywidualne zmagania, takie jak rozterki esbeka czy szamotanina z wiarą przewijającego się w tej opowieści Jacka Kuronia.

Dobre kreacje aktorskie

Oba filmy spina gra aktorska Mateusza Więcławka, który w filmie sprzed trzech lat zagrał w niektórych scenach młodego Zieję, a tym razem ma prawie cały ekran dla siebie, grając esbeka Bronka Budnego – i znakomicie się z tej roli wywiązując. Obok niego kluczowe są tak naprawdę trzy inne postaci, i tu również aktorsko się udało. Marianna Zydek jako dziewczyna, żona, wreszcie żona na swój sposób zdradzona, zapadająca się w szaleństwo po stracie dziecka, jest zarazem piękna tak, jak tylko mogła być piękna dziewczyna ze sfer artystycznych w latach 60. w PRL. Zbigniew Stryj jako stary esbek, pozornie jowialny i niegroźny, równocześnie cyniczny i paternalistyczny, jest w swej kreacji przekonujący i niczym nie ustępuje grającemu podobną rolę Sławomirowi Orzechowskiemu z „Ziei". Galerię postaci kluczowych uzupełnia o dziwo nie grający Karola Wojtyłę Maciej Mikołajczyk, a Adrian Brzęka jako ks. Michał, kapłan, którego, by zbliżyć się do przyszłego papieża, Bronisław oplata, werbuje i stopniowo niszczy. Wojtyła jest tu nie tyle bohaterem, co obecnym na ogół jedynie na marginesach opowieści mimowolnym sprawcą kolejnych wydarzeń i przemian młodego konfidenta bezpieki.

Działania operacyjne ukazane są wiarygodnie i bezwzględnie, znajdziemy tu echa wielu historii, trafnie i zgodnie z praktyką pokazane są też ubeckie sposoby na łamanie kapłanów i osób z ich otoczenia. Co ciekawe dla prawicowego widza pobrzmiewają tu jakieś echa „Doliny nicości" Wildsteina, opisującej przecież w swych retrospekcjach czasy o kilka lat późniejsze. Nie ma tu dobrych i złych funkcjonariuszy, są tylko źli, a nasz bohater, choć pozornie miły, sympatyczny i predysponowany do roli „dobrego gliny", jest w tym wszystkim najgorszy. Tak jakby kolejne rozterki, sygnały i dopusty Boże odreagowywał, zapadając się coraz bardziej w bagno cynizmu

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl eb5d10470b

i podłości. Zaczyna tylko od robienia zdjęć. Chrzest bojowy przechodzi, gdy filmuje starcie protestujących w obronie krzyża robotników Nowej Huty z milicją – to zresztą piękna, wręcz batalistyczna scena, w której uliczna bezwzględna walka przeradza się w równie bezwzględne polowanie na zdjęcie pobitego, konającego, martwego.

Jedyna prawdziwa rzecz w zakłamanym życiorysie

Później przychodzą nowe zadania i coraz większe wyzwania, małżeństwo, oszukiwanie bliskich, a w tle artystyczny, zbuntowany Kraków i Piwnica pod Baranami z piosenkami Zygmunta Konieczneго („Przychodzimy, odchodzimy" i przede wszystkim sztandarowy dla swego czasu i środowiska hippisowski hymn „Dezyderata" ze słowami poety Maxa Ehrmanna), który jest również autorem całej muzyki.

I tu warto przejść do strony czysto artystycznej filmu. „Figurant" jest pod tym względem dziełem kompletnym, choć z wypowiedzi reżysera okazuje się, że tak naprawdę bardzo pomógł mu przypadek. W opowieść wplecione są liczne materiały archiwalne, ot choćby w pierwszym ujęciu przechodzimy od starego filmu z epoki do ujęcia z udziałem bohaterów, wszystko pokazane jest w czerni i bieli, co sprzyja płynnemu połączeniu obu tych światów – świata dokumentu i świata kreacji. Pierwotnie sceny fabularne miały być jednak kolorowe, z czego zrezygnowano na szczęście, gdy kontrast między tymi warstwami narracji okazał się zbyt duży. Ta pozorna rezygnacja obrazy uwiarygodniła i uszlachetniła, czym podniosła „Figuranta" na zupełnie inny poziom i pozwoliła zagrać kolorem. Kolorem, który zresztą, niczym strzał ze strzelby zawieszonej na ścianie, musi się przecież w którymś momencie pojawić (nie wiem, czy pamiętają Państwo mistrzowską pod tym względem „Europę" von Triera, film właściwie czarno-biały, w którym jednak kolor pojawia się dosłownie kilka razy, by wywołać u widza wrażenie wręcz piorunujące), co podskórnie czujemy od samego początku. Więcej nie będę opowiadał, bo choć historia toczy się tak, jak musi się potoczyć, jednak po drodze nie wszystko będzie oczywiste. Mamy tu wreszcie dość ważne, choć docierające z poślizgiem przesłanie: największą ofiarą kłamstw bohatera jest jego miłość, jedyna prawdziwa rzecz w całym jego splątanym i przygniecionym kłamstwami życiorysie. I o ile fałszowanie przyjaźni może jeszcze sobie zracjonalizować, obracając ją w nienawiść, o tyle z miłością już sobie tak łatwo nie poradzi.

Jednym słowem: warto zobaczyć

Na koniec należy się widzom ostrzeżenie. Jak zawsze bowiem nie wszyscy będą zadowoleni, choć nie wierzę, by ktoś zobaczył w „Figurancie" agitkę salonu, jak zdarzyło się z jednej strony przywołanemu już recenzentowi, a z drugiej co bardziej krewkim komentatorom na prawicowych portalach, którym zamiast seansu wystarczyły nazwiska aktora Seweryna i bohatera Kuronia. Obawiam się raczej o tych widzów, którzy oczekują filmu o papieżu Polaku, którym „Figurant" mimo wszystko nie jest. I choć jak najbardziej mieści się on ze swoją wymową w duchu chrześcijaństwa, to artystycznie wędruje on swoimi ścieżkami, czasem wchodząc w dosłowność scen erotycznych (uzasadnionych, dodajmy), a czasem docierając wręcz do granic transgresji, jakie w polskim kinie wytyczyła dotąd scena z libacji esbeków w „Psach", i nawet ją przekraczając. Artystycznie ten zabieg broni się – i to dużo bardziej niż u Pasikowskiego (jestem tu jednak stronniczy, bo za „Psami" nie przepadam), dla części odbiorców może być to bardzo trudne kilka minut. Może nawet ktoś wyjdzie z kina, choć byłby to moim zdaniem potężny błąd.

Wynik wyborów nie nastraja optymistycznie, również w kontekście przyszłości dzieł o podobnej tematyce. Nie znaczy to, że po 2015 roku tożsamościowy segment kina dostał w pełni satysfakcjonujące wsparcie, o czym miałem okazję kilkukrotnie wspomnieć. Powstało jednak trochę ciekawych tytułów kinowych i telewizyjnych, dysponujących większym niż wcześniej budżetem i możliwościami dystrybucyjnymi. Pozostaje mieć nadzieję, że „Figurant" nie będzie jedynie mocnym akcentem na zakończenie pewnego przejściowego etapu w historii polskiego kina po 1989 roku. ■

DZIAŁANIA OPERACYJNE UKAZANE SĄ WIARYGODNIE I BEZWZGLĘDNIE, ZNAJDZIEMY TU ECHA WIELU HISTORII, TRAFNIE I ZGODNIE Z PRAKTYKĄ POKAZANE SĄ TEŻ UBECKIE SPOSOBY NA ŁAMANIE KAPŁANÓW I OSÓB Z ICH OTOCZENIA.

eprasa.pl eb5d10470b

Ryszard Czarnecki

Liberia, czyli demokracja i bieda

Wkońcu tu jestem! Byłem w dwudziestu paru krajach Afryki, ale nigdy w tym – obok Etiopii – z najstarszą własną państwowością na Czarnym Lądzie. Wiem, że polityczna poprawność zakazuje używania tego terminu, ale ja jestem staroświecki, a w dodatku olbrzymia większość Murzynów – wiem, że to też dziś niepolityczne określenie – jest dumna ze swojego koloru skóry, zatem jaczejki politpoprawności powinny pójść w końcu po rozum do głowy.

Cóż, przyznaję, że po państwie z blisko 180-letnimi dziejami spodziewałem się więcej. To kraj biedniejszy niż wiele innych, które uzyskały niepodległość po upadku kolonializmu w latach 60. Tak, demokratyczny, ale jednocześnie biedny i z wysokim bezrobociem. Na moich oczach runął mit szerzony na Zachodzie przez liberalne elity, że sam fakt posiadania ustroju demokratycznego z automatu daje gospodarczą prosperity. Tu jednak na pewno tak nie jest. Niedawno byłem jako oficjalny obserwator z ramienia PE (skądinąd jedyny Polak) w wyborach prezydenckich w Sierra Leone. Kraj zamożniejszy niż Liberia, a jednocześnie mniej demokratyczny, bo wybory tam po prostu sfałszowano, aby urzędujący prezydent Julius Maada Bio uniknął drugiej tury. Tymczasem w Liberii jestem też w czasie wyborów prezydenckich (znów jako jedyny przedstawiciel Polski w delegacji europarlamentu). Tu głosy liczyli w miarę uczciwie, choć aż przez dwa tygodnie (populacja tego kraju liczy tylko 5,2 mln...). II tura jednak będzie, co przynajmniej o tutejszych standardach demokratycznych świadczy dobrze.

Skądinąd to chyba jedyny kraj świata, którego prezydentem jest... były piłkarz George Weah – jedyny Afrykanin, którego uznano za najlepszego piłkarza świata – „Złotą Piłkę" z tego tytułu otrzymał 28 lat temu. Strzelał gole we Francji, Włoszech i w Anglii, a kończył karierę, zarabiając petrodolary na Półwyspie Arabskim. Był też jedynym, który został jednocześnie najlepszym piłkarzem Europy i Afryki. Grał na Starym Kontynencie, ale Czarny Ląd przyznawał się do niego. Przeszedł do historii futbolu także z innego powodu: gdy Liberia walczyła o awans na mistrzostwa świata w 2002 roku, był nie tylko zawodnikiem, lecz także trenerem i... utrzymywał drużynę z własnych pieniędzy, wówczas zarabianych w arabskim klubie „Al Jazzira".

14 lat po zakończeniu przygody z futbolem został prezydentem. Ale jego rodacy jakoś już mniej go lubią niż kiedyś. Marudzą, że jego syn gra w piłkarskiej reprezentacji USA, a nie reprezentuje Liberii, że prezydent na mundial w Katarze pojechał na cały miesiąc, zapominając o obowiązkach głowy państwa i wreszcie, że – jak szczerze przyznał w wywiadzie – najważniejsze trofeum w swojej karierze trzyma w swoim amerykańskim domu, a nie w ojczyźnie...

Liberia to kraj kontrastów: w stolicy Monrovii duże nowoczesne budynki stoją obok domków zbitych z desek. A anteny satelitarne w mieście Margibi, które odwiedzam, wznoszą się obok skleconych naprędce szałasów, w których wszak przez cały rok mieszkają ludzie.

Liberyjska flaga przypomina amerykańską i wpływy USA w tym kraju Afryki Zachodniej są rzeczywiście bardzo duże. Wpływy Jankesów dziwić nie mogą, bo przecież państwo to tworzyli wyzwoleni niewolnicy ze Stanów Zjednoczonych wraz z 18 miejscowymi plemionami. Charakterystyczne, że nie było tu konfliktów „czarnych" z „białymi". To tubylcy walczyli o wpływy z Murzynami, którzy przypłynęli z USA. Władze faktycznie stanowili ci, których przysłał tu Waszyngton – rdzenna ludność dopiero w 1945 roku uzyskała reprezentację w parlamencie, a dwa lata później prawo do głosowania!

Tutejsi prezydenci szczęścia nie mają. Dwóch z nich zostało zabitych bądź w zamachu (William Tolbert), bądź w wojnie domowej (Samuel K. Doe), a kolejny (Charles Taylor) został skazany w Hadze na 50 lat więzienia za zbrodnie wojenne. Trzeba wierzyć, że prezydent-piłkarz George Manneh Oppong Ousman Weah nie podzieli losu swoich poprzedników... ■

eprasa.pl eb5d10470b



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Na styku dwóch światów

Pani z podstarzałym i wypłowiałym obrazem Najświętszej Panienki w dłoniach opiera się o drewniany płot okalający jej wiejską chatę. Pozbawiony koszulki starszy mężczyzna jadący rowerem w spiekocie z oddalonej 50 kilometrów osady. Wreszcie podlascy policjanci kontrolujący sznur aut stojących na ulicy Bialskiej prowadzącej do miasteczka. Wszystko to dzisiaj świeci. Blaskiem dobroci i nadziei. W miejscu, gdzie dotykają się dwa światy. Gdzie stykają się dwie cywilizacje.



FOT. DARIUSZ NOCHELSKI

eprasa.pl eb5d10470b



Podczas sierpniowego odpustu trudno tu o wolne miejsce.

Żeby napisać ten reportaż, musiałem przybyć w to miejsce przynajmniej kilka razy. Po pierwszym byłem bowiem zanadto poruszony. Wzruszenie i łzy cisnęły się do oczu. Obrazy, jakie tu zobaczyłem; ludzi, jakich tutaj spotkałem; historie, o których tu usłyszałem… Tego było wówczas za wiele. Bałem się zepsuć ten materiał. Nie chciałem, aby powstały kilka dni po fakcie reportaż został przeze mnie przeckliwiony. Aby uczucia i emocje zajęły miejsce faktograficznego opisu i rzeczowych elementów reportażu z miejsca, nie było innej rady. Rozgrzana od wrażeń i przeżytych scen głowa musiała to przerobić. Dziś, kiedy od pierwszego pobytu minął już ponad rok, a od ostatniego niecałe dwa miesiące, mogę z czystym sumieniem stwierdzić, że tak… Jestem dziś gotowy, aby na spokojnie i z rzeczową analizą napisać o tym, co tutaj zobaczyłem. O tym, co się tu wydarza. Każdego roku w dzień 15 sierpnia. Gdy w kodeńskim sanktuarium zbiera się pobożny lud Podlasia. By razem się cieszyć. I razem się modlić. By wspólnie prosić Niebo o pomoc. Właśnie tutaj. 480 metrów od granicy z Białorusią, zza której jawi się dziś jakże inna, skrajnie odmienna rzeczywistość.

Przedmurze

To rzeczywiście dość niezwykłe. Gdy patrzy się na to wszystko zupełnie chłodnym, pozbawionym emocji i uprzedzeń, okiem, można nabrać zdumiewającego wrażenia. Dojść do szokujących wniosków. Wszak niewiele jest na świecie miejsce, gdzie żywe Dobro świeci tak blisko osobowego zła, jak właśnie tutaj. Gdzie miłość i wierność niemal dotykają grzesznej tajemnicy mafii, wyłudzeń, oszustw i wojennej retoryki. A ludowe pieśni maryjne słyszą uzbrojeni po zęby żołnierze służący komunistycznemu reżimowi. A przecież wszystko to ma miejsce właśnie tutaj. Dzieje się dokładnie w tym miejscu.

Dziesiątki tysięcy podlaskich pielgrzymów. Z różańcami w rękach. Z obrazami Matki Bożej Kodeńskiej. Z czystymi sercami pełnymi dziecięcej ufności. I tuż obok rzeka Bug. Otoczona drutem kolczastym. Z porośniętym gęsto brzegiem. Granica z krajem, który prowadzi z Polską otwartą wojnę hybrydową. Którego żołnierze codziennie spychają ciemnoskórych ludzi Bliskiego Wschodu, aby ci przemocą forsowali granicę w miejscach,

FOT. DARIUSZ NOCHELSKI

eprasa.pl eb5d10470b



W tym roku z okazji 300. rocznicy papieskiej koronacji wizerunku Maryi lud Podlasia na nowo koronował ukochaną Matkę.

FOT. DARIUSZ NOCHELSKI

gdzie jej przekraczanie jest z punktu widzenia prawa nielegalne.

Historia bardzo różnie nazywała takie miejsca. Przedmurze. Na styku. Na starciu. Miejsce graniczne. Dziś, gdy tutaj jestem – 15 sierpnia 2023 roku – wszystkie te nazwy nabierają zupełnie namacalnego znaczenia. Najbardziej oczywistego i widzialnego. Gdy świat niewidzialny naraz staje się widzialny. Gdy Niebo zniża się już bardzo nisko. Niemal stykając się z ziemią.

Droga, na którą się czeka

O Kodniu słyszałem w życiu przynajmniej kilka razy. Opowiadający mi historię tego miejsca ludzie byli zwykle naprawdę poruszeni. Z otwartymi, jasno świecącymi się oczami, żywo gestykulując opowiadali mi, jak nieprawdopodobna historia kryje się z ukrytym tutaj obrazem. I dlaczego koniecznie trzeba tu przyjechać. Pamiętam też, że za każdym razem po tych rozmowach obiecywałem sobie w duchu, że na sierpniowy odpust Matki Bożej na pewno przyjadę. Zawsze jednak wypadało coś innego. Na szczęście do czasu.

Krajowa dwójka za Kałuszynem szybko się zwęża. Tutaj zawsze są korki. Pędzące przed chwilą wokół Mińska Mazowieckiego samochody naraz muszą gwałtownie zwolnić. Jeszcze tylko stacja benzynowa i pobliski cmentarz i ruch znów wróci do normy. Za Siedlcami zaś droga będzie już zupełnie pusta. Zbuczyn, Międzyrzec Podlaski, Biała Podlaska… Z tej ostatniej do nadgranicznego Terespola będzie już tylko 35 kilometrów. Na poboczu zaczynają pojawiać się samochody z pracownikami Inspekcji Drogowej. Czasem przejedzie jakiś celnik. Do granicy, o której od miesięcy tyle się mówi, coraz bliżej. Tam jednak dziś nie dojedziemy. W małej mieścince Zalesie odbijamy bowiem w prawo. Trasa zaczyna wybierać coraz bardziej malownicze zakątki. „Ależ ta Polska piękna, co?" – po dłuższej chwili milczenia siedzący obok mnie Krzysztof wreszcie się odzywa. „Nieziemsko piękna".

I rzeczywiście trudno się nie zachwycić. Sierpniowe pola naszykowane są już do odbioru zboża. Co rusz mijamy charakterystyczne bele siana. Gdzieniegdzie widać nieruchomo stojące na łąkach bociany. Nie zdążyły jeszcze odlecieć z kraju. Nadal mamy piękną pogodą.

eprasa.pl eb5d10470b



Spowiedź na kodeńskich łąkach. Niezwykły obrazek sierpniowego odpustu u ojców oblatów.

Synoptycy obiecują, że dziś słupki rtęci znowu przekroczą 30 stopni Celsjusza. Prowadząca po leniwej równinie droga co rusz zaprasza nas do zielonych lasów. Spomiędzy liściastych gałęzi drzew raz po raz widać przeciskające się uparcie promienie słoneczne. Nie wszystkim się udaje. Dzięki temu w lesie czuć kojący chłód. Odpocznienie. Nie na długo jednak. Kawałek za prawosławnym cmentarzem w Zaborowie las się kończy. Perspektywa naraz się rozszerza. Przed nami widać już zielonkawą kościelną wieżę z połyskującym w słońcu złotym krzyżem. To Kodeń. Będziemy tam za trzy minuty. A nie, przepraszam. Spoglądam na nawigację. Wyznaczona trasa jest w tej chwili cała na czerwono. Tuż przed miejscowością czeka nas 10-minutowy korek. To jest ten jedyny dzień w roku, gdy nawet ta podlaska wieś musi doświadczyć tego, czym jest powolna jazda i stanie na zderzaku poprzedzającego nas auta.

Dobry tłum

Kodeń. W 1995 roku żyło tu jeszcze 4,5 tys. ludzi. Dziś jest tysiąc mniej. Czwarta część wyjechała za pracą albo odeszła już z tego świata. Maleńka osada nad wijącym się Bugiem nadal jest jednak najlepszym miejscem do życia dla tych nieco ponad 3 tys. ludzi. Tutaj się urodzili, tutaj się wychowali, tutaj poznali Ją. I za żadne skarby nie chcieliby stąd wyjeżdżać.

15 sierpnia jest jednak tym jedynym dniem w ciągu roku, kiedy nikt nie porusza tematu wyjazdu z Kodnia. Tego dnia jest wprost odwrotnie. Dziś to do Kodnia się wjeżdża. Wszak dziś odpust. Wielkie święto. Dla wszystkich. Dla podlaskich katolików. Dla posługujących tu w Kodniu ojców oblatów. Wreszcie, chyba największe: dla samych mieszkańców.

Idąc na Kalwarię Kodeńską mijam drewnianą wiejską chatę. Przed płotem na ławce siedzi starsza pani. Mądrymi oczyma obserwuje tłum ludzi zmierzających na uroczystości. Idą w tej chwili wszyscy. Kobiety i mężczyźni. Młode rodziny z gromadką dzieci. Widać księży i siostry zakonne. Jest naprawdę sporo młodzieży. Ktoś niesie namiot. Jakieś starsze małżeństwo trzyma dwa składane krzesełka wędkarskie. Panuje powszechna atmosfera życzliwości i uprzejmości. Jest w tym tłumie coś nieuchwytnego. Coś naprawdę dobrego. Człowiek, choćby nie wiem, co robił, czuje się tutaj dobrze. Jak u siebie.

Choroba, zuchwałość, cel

Historia tego miejsca to mieszanka świętości, pobożności, kryminału i wielkiego oburzenia. A wszystko zaczyna się jeszcze w 1629 roku, gdy ówczesny właściciel Kodnia, książę Mikołaj Sapieha, decyduje się rozpocząć budowę murowanej

FOT. STEFAN CZERNIECKI

eprasa.pl eb5d10470b



Tuż przed koronacją.

FOT. DARIUSZ NOCHELSKI

świątyni. Kościół ma stanąć na rynku miasta, nieopodal dotychczasowego drewnianego kościółka parafialnego pw. św. Anny. Budowa, owszem, rozpoczyna się, jednakowoż sam jej sponsor zaczyna chorować. Dolegliwości u Sapiehy stają się z czasem na tyle poważne, że książę zaczyna odczuwać paraliż. Siłą rzeczy budowa świątyni zostaje przerwana, sam zaś zainteresowany udaje się za namową żony na pielgrzymkę do Watykanu. Będzie tam prosić o łaskę odzyskania zdrowia.

Orszak z leżącym sparaliżowanym księciem Mikołajem dociera do Wiecznego Miasta latem 1631 roku. Ku zdziwieniu Sapiehy papież Urban VIII podejmuje go bardzo życzliwie. Zaprasza wręcz na sprawowaną przez siebie w prywatnej kaplicy papieskiej Mszę świętą. To jest ten moment. Wyjątkowy. Zmieniający wszystko w życiu szlachcica. I bez wątpienia rzutujący na całe jego życie. Mikołaj Sapieha widzi w ołtarzu obraz Matki Bożej Gregoriańskiej. Po Eucharystii oraz modlitwie przed świętym wizerunkiem książę czuje się wyraźnie lepiej. Po chwili orientuje się, że doznał właśnie całkowitego uzdrowienia. Czuje w sercu niewysłowioną wdzięczność. Ale po chwili także gorące pragnienie, aby cudowny wizerunek Madonny, przed którym to otrzymał przed chwilą łaskę powrotu do zdrowia, zabrać do ojczyzny.

Postanawia więc przekupić papieskiego zakrystiana, obiecując mu 500 złotych dukatów w zamian za wyprowadzenie mu wizerunku Matki Bożej Gregoriańskiej z kaplicy. Długo namawiany mężczyzna wreszcie ulega. Uzdrowiony i szczęśliwy Sapieha już o własnych siłach zarządza prędki wyjazd orszaku z Rzymu. Tym razem obiera inną drogę aniżeli do Włoch. Spodziewając się pościgu, decyduje się na przeprawę przez dzikie góry Chorwacji. Wraca przez okolice Zagrzebia, okrążając Rzeczpospolitą i przez Lwów dociera na ukochane Podlasie.

Intuicja o pościgu okazuje się słuszna. Gdy nazajutrz rano Urban VIII zobaczy, że nad ołtarzem widnieje puste płótno zamiast obrazu, zarządzi schwytanie złodzieja. Pościg udaje się jednak Sapiesze zgubić. Krótko jednak będzie się radował z triumfalnego powrotu do domu. Zdeterminowany papież nakłada na złodzieja ekskomunikę. Od tego momentu książę nie może przyjmować sakramentów. Nie może nawet przekroczyć progu świątyni, nawet tej przez siebie budowanej. Zaś po swojej śmierci ma zostać pochowany w niepoświęconej ziemi.

„Błogosławiona wina"

W budowanym przez siebie kościele Sapieha decyduje się więc wybudować nad zakrystią dwa po-

eprasa.pl eb5d10470b



Procesji podążającej z bazyliki św. Anny ulicą Jana Sapiehy w kierunku Kalwarii Kodeńskiej przyglądają się tysiące wiernych.

mieszczenia. Wybija okna w ścianie prezbiterium, a nad kaplicą boczną, w której miał się znaleźć obraz Matki Bożej Kodeńskiej, projektuje balkon. W ten sposób po zakończeniu budowy będzie mógł przynajmniej przysłuchiwać się modlitwom zanoszonym w świątyni, nie łamiąc jednocześnie papieskiego zakazu.

Życie poza Kościołem jest jednak dla Sapiehy nie do wytrzymania. Po pięciu latach od kradzieży książę decyduje się na powrót do Rzymu. Podejmuje pielgrzymkę pokutną, aby wybłagać u papieża zdjęcie nałożonej kary. Ma już za sobą kilka wydarzeń, które mogą mu pomóc w rozmowie z Ojcem Świętym. Wszak to nie kto inny, jak właśnie Sapieha otwarcie sprzeciwił się małżeństwu króla Władysława IV z siostrzenicą Karola I Stuarta – Elżbietą, która była luteranką. Wszak to nie kto inny jak właśnie Sapieha bronił Kościoła katolickiego podczas obrad komisji korektury prawa Wielkiego Księstwa Litewskiego w 1636 roku w Wilnie.

Sapiesze pomaga także umiejętna dyplomacja. Wpierw w 1633 roku wysyła do Watykanu specjalnego wysłannika – swojego synowca – który ma w jego imieniu przeprosić papieża. Zjednuje sobie także nuncjusza apostolskiego w Polsce, bp. Honorata Viscontiego. Ostatecznie papież Urban VIII ulega namowom. Cofa karę i ofiarowuje księciu obraz.

Gdy to młodzież daje świadectwo

Jest ciepło. Na niebie ani jednej chmurki. Raz po raz czuć bardzo zefirek wiejący od strony nieodległego Bugu. Przez główny rynek miasta przelewają się kolejne tłumy ludzi. Część ustawia się w kilkusetmetrowej już kolejce ludzi oczekujących na wejście do kościoła św. Anny. To tutaj w głównym ołtarzu widnieje obraz, który przywiózł do Kodnia przed niespełna 400 laty książę Mikołaj Sapieha. Dziś 15 sierpnia w święto Wniebowzięcia Kodeń żyje jakby inaczej. Nie tylko historią obrazu. Ale nade wszystko historią Jej. Niezwykłej Pani, której tylu już zawdzięcza pomoc. Wyzwolenia z nałogów, powrotów do zdrowia, nawrócenia serc, pomocy w trudnościach. O licznych łaskach, jakie za przyczyną Matki Bożej Kodeńskiej otrzymali i wciąż otrzymują modlący się w tym miejscu ludzie, najlepiej z całą pewnością mogliby opowiadać sami oblaci. Od 1927 roku opiekujący się z najwyższą troską „Częstochową Podlasia".

Część z idącego tłumu nie ustawia się już jednak do kolejki. Idzie dalej, mijając kościół. Za nim od południowo-wschodniej strony rozciągają się zielone tereny z dwoma malowniczymi stawami pośrodku. To właśnie tam, na tutejszej Kalwarii Kodeńskiej, mają się odbywać dzisiejsze uroczystości odpustowe.

FOT. DARIUSZ NOCHELSKI

eprasa.pl eb5d10470b

Idą wszyscy. Młodzi z dziećmi na rękach i kocami w garści. Zgarbieni staruszkowie, poruszający się swoim tempem, nieco wolniejszym od tego, w jakim przemieszcza się tłum. Idą przebrani w stroje rekonstrukcyjne. Idą strażacy, idą żołnierze. Idzie orkiestra. Idzie lud Podlasia.

Naraz w całym tym pochodzie daje się słyszeć stukot kopyt. Po chwili zza okolicznych drzew pojawia się młodzież jadąca na koniach. Piękne dziewczęta i przystojni młodzieńcy. Na ich twarzach rysuje się potworne zmęczenie. Pięć dni temu wyjechali z poddęblińskich Bobrownik, pokonując dla Matki Podlasia 150 kilometrów trasy. To Ułańska Straż Tradycji i Wiary. Prowadzona przez dowódcę ks. Dariusza Cabaja. Wśród uczestników jedynie on i jeszcze trzy osoby przekroczyły trzydziestkę. Pozostali są znacznie młodsi.

pobliskim pagórku, żeby lepiej widzieć ołtarz. Inni obrali sobie okalający teren zielony wał. Większość jednak skoncentrowana jest bliżej ołtarza. Siedząc na przyniesionych przez sobie krzesełkach czy kocach. W cieniu rzucanym przez rozłożyste dęby, klony i lipy. Gdy biskup będzie dokonywał przeistoczenia, wszyscy wokół uklękną. Każdy tam, gdzie akurat będzie. Ten widok – klęczącego na maryjnej ziemi podlaskiego ludu – na długo pozostanie mi w pamięci. Święta tradycja, wielopokoleniowa mądrość. Brak jakiegokolwiek wstydu z powodu wyznawanej wiary. Brak zakłopotania. I te piękne, czyste twarze. Z mądrymi oczami. Dobrze tutaj być. Naprawdę. Czuję narastające wzruszenie.

Jest w tym skrawku ziemi coś nieprawdopodobnego. Coś z jednej strony bardzo trudnego do zdefiniowania i uchwycenia słowami. A z drugiej coś zu-

Dziś wiem, że musiałem zacząć jeździć do Kodnia, aby zrozumieć ten fenomen. Fenomen ludowej pobożności maryjnej.

Za kilka chwil po rozpoczęciu uroczystej Mszy świętej dowódca poprosi oficjalnie biskupa, aby ten zwolnił uczestników pielgrzymki z obowiązku dalszego trwania na Eucharystii. Tłumaczy publicznie, że wszyscy byli już dziś na Mszy świętej. Teraz zaś chcieli jedynie uświęcić swym uczestnictwem uroczysty pochód na Kodeńską Kalwarię. Być tutaj razem z podlaskim ludem wiernych. Są już jednak fizycznie wyczerpani. Gdy biskup zezwala, chorąży konnej pielgrzymki ogłasza odwrót. Przy dźwiękach trąbki jeden koń po drugim w wojskowym szyku odchodzi z Kalwarii. Ktoś nieśmiało zaczyna bić brawo. Po nim następny. Za chwilę wszyscy zgromadzeni, pochowani w cieniu okolicznych drzew czy siedzący nad brzegami rozlewisk, wstają, aby podziękować młodzieży za jej świadectwo. Za jej trud. Za ten znak.

Tradycja, wzruszenie i pamięć

Nie ma wątpliwości, że każda odprawiana na świecie Msza święta jest niezwykła. Każda jest wydarzeniem świętym i cudownym. Jednak ta sprawowana dziś na Kodeńskiej Kalwarii ma w sobie coś jeszcze. Coś na wskroś niecodziennego. Mrowie ludzi siedzących na miękkim trawiastym dywanie. Gdzie okiem sięgnąć, widać pielgrzymów. Przybywali tu cały poranek. Każdy znalazł miejsce dla siebie. Część siedzi na

pełnie prostego i nieskomplikowanego. Tak jak nieskomplikowana jest nasza wiara. Jak nieskomplikowana jest Ewangelia. Jak nieskomplikowany jest tutejszy lud.

Dziś wiem, że musiałem zacząć jeździć do Kodnia, aby zrozumieć ten fenomen. Fenomen ludowej pobożności maryjnej. Przez wielu tak bardzo wyśmiewany i wyszydzany. Jako rzekomo pozbawiony intelektualnych fundamentów. Jako rzekome narzędzie Kościoła, by podporządkowywać sobie prosty lud. Jako rzekomo utkwiony w – wyświechtanym przez tzw. wyznawców postępu – sformułowaniu o „średniowiecznych praktykach i zabobonach". Bez pustego, pozbawionego żywej radości, śmiechu, którego tyle dziś słychać na stołecznych ulicach. Bez głupkowatych żartów. Bez całej tej przeraźliwie płytkiej psychoduchowości. Hedonistycznych uciech, po których zaspokojeniu pozostaje w człowieku niewysłowiona pustka. I ta głęboka rozpacz. Którą na nowo trzeba czymś przysypać. Żądzą, władzą, pieniędzmi, wieczną gonitwą o lepsze.

Tutaj jest inaczej. Tutaj jest prawdziwiej. Tutaj jest lepiej. To uczucie błogiego stanu, że jest się na ten moment w najwłaściwszym miejscu na świecie. Naraz z głośników słychać śpiewaną przez ludzi pieśń. Śpiewają o ludzie Podlasia, który chce być wierny. Śpiewają dla Maryi. Śpiewają o Polsce. Śpiewają o tobie i o mnie. Pamiętają. Nie zapomną. ■

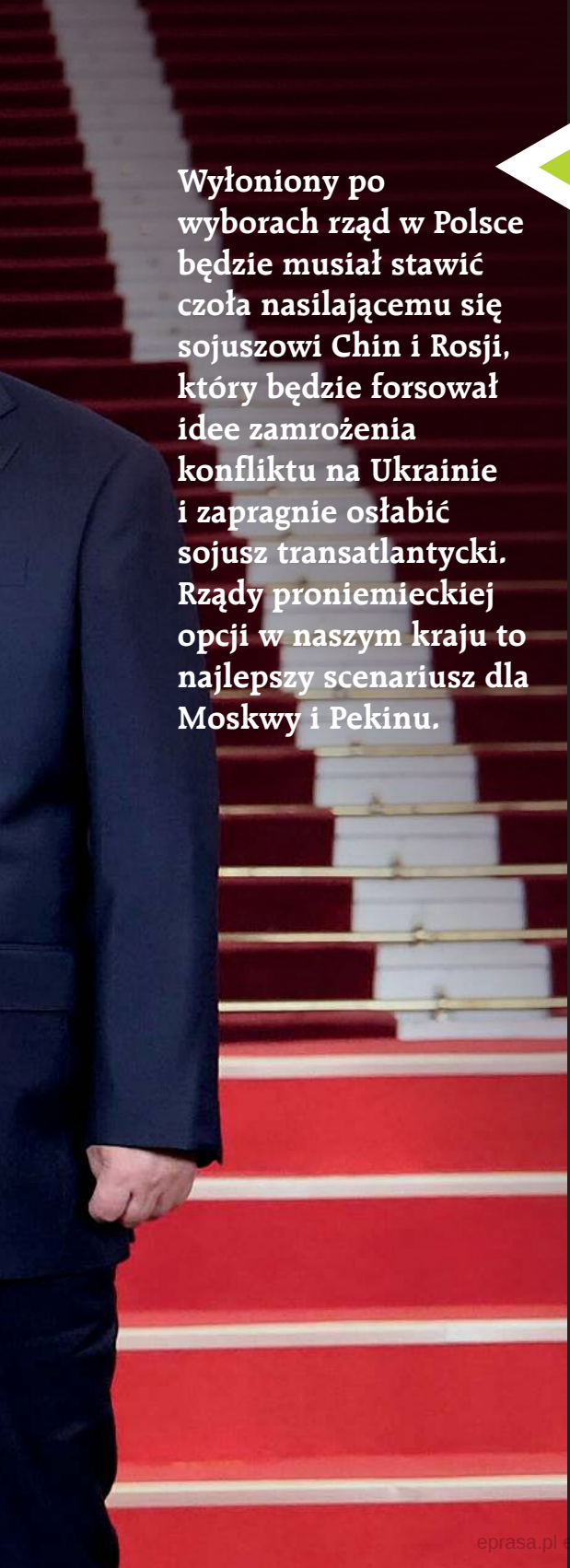
eprasa.pl eb5d10470b



Hanna Shen

PRONIEMIECKIE RZĄDY W POLSCE DOBRE DLA MOSKWY I PEKINU

rasa.pl eb5d10470b



Wyłoniony po wyborach rząd w Polsce będzie musiał stawić czoła nasilającemu się sojuszowi Chin i Rosji, który będzie forsował idee zamrożenia konfliktu na Ukrainie i zapragnie osłabić sojusz transatlantycki. Rządy proniemieckiej opcji w naszym kraju to najlepszy scenariusz dla Moskwy i Pekinu.

FOT. SERGEI SAVOSTYANOV/SPUTNIK/KREMLIN POOL/PAP/EPA

W dniach 17–18 października w Pekinie odbyło się Forum Pasa i Szlaku (Nowy Jedwabny Szlak), na którym głównym gościem był prezydent Rosji Władimir Putin. To, co dotyczyło tej wizyty, padło nie podczas niej, ale tuż przed nią, a dzień po wyborach w Polsce. 16 października w wywiadzie dla chińskich mediów rosyjski przywódca, a jednocześnie zbrodniarz wojenny zaczął wychwalać trochę już zapomniany tzw. chiński plan pokojowy dla Ukrainy, który pozwoliłby wstrzymać wojnę na warunkach korzystnych dla Kremla.

Fałszywy chiński plan

W wywiadzie dla China Media Group Putin nazwał chińskie propozycje pokojowe jako „całkiem realistyczne" i „mogące stanowić podstawę porozumień pokojowych". Pekin po raz pierwszy ogłosił ten plan 24 lutego 2023 roku, dokładnie rok po rosyjskiej napaści na Ukrainę i kilka godzin po tym, jak Pekin wstrzymał się od głosu podczas głosowania nad rezolucją Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych wzywającą Moskwę do bezwarunkowego wycofania wojsk z uznanego przez prawo międzynarodowe terytorium Ukrainy i apelującą o zaprzestanie działań wojennych.

Chiński „plan pokojowy" dla Ukrainy zawiera wiele postulatów, z którymi trudno się nie zgodzić, na przykład rozwiązanie kryzysu humanitarnego, ochrona ludności cywilnej i jeńców wojennych czy sprzeciw wobec użycia broni atomowej. Jest też ogólnikowe wezwanie do „uszanowania suwerenności wszystkich krajów". W propozycji nie ma jednak mowy o konieczności wycofania się Rosji z terytorium Ukrainy, ale są za to postulaty, które mają pomóc Rosji i uderzają w Ukrainę i Zachód.

Chiny chcą wycofania sankcji nałożonych na Rosję i „porzucenia zimnowojennej mentalności", co według Pekinu oznacza uznanie, że „bezpieczeństwa regionalnego nie można gwarantować poprzez wzmacnianie czy nawet rozszerzanie bloków militarnych". Jest to stwierdzenie używane przez dyplomację Chin często od początku wojny i w rzeczywistości oznacza powstrzymanie dążeń Ukrainy do wstąpienia do NATO. W chińskim planie jest także mowa o promocji „budowy zrównoważonej, skutecznej i trwałej architektury bezpieczeństwa europejskiego". To niejednokrotnie artykułowany w stolicach państw europejskich przez chińskich dyplomatów postulat wzywający do porzucenia przez Europę sojuszu, zwłaszcza w kwestiach bezpieczeństwa, z USA. Chiny w „planie pokojowym" sugerują więc zniszczenie sojuszu transatlantyckiego. W dokumencie jest też mowa o wstrzymaniu ognia i zaprzestaniu walki, „bo w tym konflikcie nie ma zwycięzców".

eprasa.pl e65d10470b

Berlin i Paryż na pomoc Moskwie i Pekinowi

Podczas gdy w wywiadzie dla chińskich mediów Putin wychwala pokojowy plan ChRL, stwierdza, że jest przeszkoda na drodze do jego realizacji. „Niestety strona przeciwna nie chce przystąpić do żadnych negocjacji. Tak naprawdę prezydent Ukrainy wydał nawet dekret zabraniający wszystkim – łącznie z nim samym – prowadzenia z nami jakichkolwiek negocjacji" – powiedział Putin. Rosyjski zbrodniarz forsuje więc narrację, według której jest „dobry plan" i trzeba tylko do niego przymusić Ukrainę. A kto miałby to zrobić, domyślić się łatwo, skoro chiński plan jest nie tylko korzystny dla Kremla, lecz także w paru punktach jest zbieżny z oczekiwaniami kilku europejskich stolic.

Na początku tego roku „Die Welt" pisał, że niektórzy członkowie NATO, zwłaszcza Niemcy, chcą jak najszybszego zakończenia działań wojennych na Ukrainie, nawet jeśli kraj ten musiałby pójść na ustępstwa terytorialne.

W kwietniu br. podczas wizyty w Chinach prezydent Francji Emmanuel Macron nie prezentował stanowiska, że jedynym rozwiązaniem konfliktu jest zwycięstwo Ukrainy i pokonanie Rosji. Paryż i Pekin uznały za to, że „jedyną słuszną drogą" do zakończenia wojny na Ukrainie jest dyplomacja. Xi Jinping powiedział, iż „w interesie wszystkich powiązanych stron i całego świata leży jak najszybsze zawieszenie broni i zakończenie wojny" . Przywódca ChRL zapewnił też Macrona, że jego kraj będzie wspierać Francję i że jest chętny do odegrania konstruktywnej roli w przygotowaniu rozmów pokojowych.

Także chiński argument o nowej architekturze bezpieczeństwa współgra z promowaną przez Macrona strategią autonomii UE. Na osłabienie sojusz transatlantyckiego grają też Niemcy, które choć formalnie do NATO należą, to nie zapewniają bezpieczeństwa, bo przeznaczają zbyt małe środki na obronność. Zaraz po wybuchu wojny na Ukrainie kanclerz Olaf Scholz obiecał, że „od teraz będziemy inwestować ponad 2 proc. PKB w naszą obronę co roku". Jednak już w tym roku w projekcie ustawy budżetowej niemiecki rząd wycofał się z tego zobowiązania.

Chiński pokój to wojna

„Nadchodzi zmiana, której nie było od 100 lat, i razem jesteśmy jej motorem" – to słowa, jakie na zakończenie swojej wizyty w marcu br. w Moskwie skierował do prezydenta Rosji Xi Jinping. Pekin i Moskwa nie ukrywają, że zacieśniają relacje, by budować przeciwwagę dla Zachodu, by budować antyzachodni blok, który zachwieje fundamentami obecnego porządku międzynarodowego. Wyrazem tego jest także wspomniana wizyta Putina w Pekinie w październiku. „Pracujmy razem, aby wprowadzić bezprecedensowe wielkie zmiany w tym stuleciu" – znów powtórzył Xi na kolacji dzień przez otwarciem Forum Pasa i Szlaku.

W wydanym przez stronę chińską po spotkaniu Xi i Putina oświadczeniu nie było nawet słowa o Ukrainie, tak jakby jasne było, co ma dalej nastąpić – gra na kompromis, tj. chiński plan pokojowy.

W tym czasie, gdy Putin rozmawiał ze swoim „drogim przyjacielem" Xi w Pekinie, do Pjongjangu udał się szef rosyjskiego MSZ Siergiej Ławrow. Podziękował on Kim Dzong Unowi za jego „fundamentalne, jednoznaczne wsparcie" Rosji w wojnie w Ukrainie. Kilka dni wcześniej Biały Dom poinformował, że Korea Północna dostarczyła Rosji ponad 1000 kontenerów ze sprzętem wojskowym i amunicją na potrzeby toczącej się wojny na Ukrainie. Opublikowano zdjęcia, z których wynika, że kontenery zostały załadowane na statek pływający pod rosyjską banderą, a następnie przetransportowane pociągiem do południowo-zachodniej Rosji.

Wyobraźmy więc sobie, że w życie wchodzi chiński plan pokojowy. Konflikt zostaje zamrożony dzięki Chinom na warunkach wygodnych dla Kremla, a Moskwa cały czas ma wsparcie w odbudowie swojej siły militarnej z krajów takich jak Korea Płn. i Iran. Co wydarzy się dalej, powiedział podczas spotkania Europejskiej Wspólnoty Politycznej w Grenadzie prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski. Stwierdził on, że jeśli Putinowi uda się teraz wstrzymać konflikt, to w 2028 roku będzie on gotowy uderzyć na inne kraje. Joe Biden wskazał, jaki kierunek będzie miało to uderzenie. Po Ukrainie Rosja najedzie na Polskę i „znajdziemy się na wojnie".

Rząd Zjednoczonej Prawicy gwarantem wygranej Ukrainy

Do tej pory gwarantem tego, że nie będzie zgniłego kompromisu, że realizowany będzie scenariusz: „wygrywa Ukraina", była Polska i rząd Mateusza Morawieckiego. Nawet niemieckie media pisały, że niemieccy i francuscy politycy często nie mają odwagi powiedzieć tego, co deklarowali nasi politycy, że Rosja w wyniku swej brutalnej wojny z Ukrainą musi być w jak największym stopniu osłabiona. Od momentu wybuchu wojny to Polacy udzielili największej pomocy uchodźcom z Ukrainy, a pod względem wsparcia wojskowego dla broniących się Ukraińców nasz kraj jest w ścisłej czołówce. Gdy na początku wojny Niemcy nadal nie chciały drażnić Rosji i nie byli skorzy dostarczać Ukrainie bardziej zaawansowanego uzbrojenia, to Polska jako pierwsze państwo na dużą skalę zaczęła faktycznie przekazywać uzbrojenie. Do tego dochodzą bardzo ważne zabiegi i premiera Mateusza Morawieckiego, i prezydenta Andrzeja Dudy na arenie międzynarodowej, które zagwarantowały wsparcie innych krajów dla Kijowa.

eprasa.pl eb5d10470b

Gdy Macron podczas swojej wizyty w Chinach mówił, że Europa musi się oprzeć presji, by stać się „naśladowcą Ameryki", Polska stała na stanowisku, że nie będzie wolnego świata bez silnego sojuszu z Waszyngtonem, że działania na rzecz geopolitycznej niezależności Unii Europejskiej, czyli niszczenie więzi transatlantyckich, to dziś napędzanie chińsko-rosyjskiego motoru, który ma nas zniszczyć.

„W sytuacji prawdziwego zagrożenia widzimy wyraźnie, że silne amerykańskie przywództwo jest potrzebne światu. Widzimy, jak ważne są obecność i zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w Europie. Bezpieczna Polska i Europa potrzebują więcej Ameryki zarówno w wymiarze wojskowym, jak i gospodarczym" – mówił prezydent Duda miesiąc po rosyjskiej napaści na naszego wschodniego sąsiada.

Podczas gdy Niemcy nie zrealizują założeń NATO w kwestii wydatków na obronność, Polska jest w czołówce państw zwiększających te środki. Według Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem, założonej przez szwedzki parlament w 1966 roku niezależnej instytucji naukowo-badawczej specjalizującej się w analizie światowych wydatków zbrojeniowych, wydatki obronne naszego kraju w 2022 roku wyliczono na ponad 16 mld dolarów, co dało nam 18. miejsce w światowym zestawieniu. Z kolei w perspektywie lat 2013–2022 odnotowano wzrost prawie o 100 procent.

▶ Tusk – dobra wiadomość dla Moskwy i Pekinu

Z prezydentury Bronisława Komorowskiego Polacy i reszta świata pamiętają jego wołanie w japońskim parlamencie do szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego generała Stanisława Kozieja: „Chodź, szogunie" czy jego przechadzkę z małżonką po Wielkim Murze w ośmiostopniowym mrozie i gwarzenie o tym, że widok muru spowodował, iż nie czuje zimna.

Za rządów Zjednoczonej Prawicy o Polsce zaczęto mówić jako o wiarygodnym sojuszniku wolnego świata.

Tak jak Xi wspiera Putina w wojnie na Ukrainie, tak rosyjski zbrodniarz popiera Pekin w kwestii Tajwanu. W marcu br. w czasie wizyty Xi Jinpinga w Moskwie strona rosyjska stwierdziła, że „uznaje Tajwan za niezbywalną część terytorium Chin". Wcześniej Rosja mówiła raczej, że uznaje zasadę „jednych Chin" i przeciwstawiania się niepodległości Tajwanu. Nowe stanowisko Putina w sprawie Tajwanu jest interpretowane jako „stanowcze wsparcie" dla Pekinu. Zostało ono ponownie wyartykułowane podczas październikowej wizyty Putina w Pekinie.

Gdy Macron w Chinach odnosząc się do sytuacji Tajwanu powiedział, że wielkim ryzykiem dla Europy jest „uwikłanie się w kryzysy, które nie są nasze", szybko na te słowa zareagował Mateusz Morawiecki. W kwietniu 2023 roku podczas spotkania w amerykańskim think tanku Atlantic Council premier powiedział, że „nie można dzisiaj i jutro ochronić Ukrainy, mówiąc, że Tajwan to nie jest nasza sprawa. Trzeba wspierać Ukrainę, jeżeli chcemy, aby Tajwan pozostał niezależny". Dodał także, że wygrana Moskwy na Ukrainie może spowodować, iż Pekin natychmiast zaatakuje Tajwan. Gdy Putin i Xi Jinping odbywają kolejne spotkania służące budowie antyzachodniego bloku, stwierdzenie polskiego premiera, że w obliczu zagrożeń ze strony autorytarnych reżimów nie ma konfliktów, które nas nie dotyczą, wywołało uznanie i szacunek w Tajpej, Tokio, Seulu, Londynie i Waszyngtonie.

Zaufanie do Polski wzrosło także dlatego, że polski rząd postawił na zasadę, która bliska jest m.in. Tajwańczykom – jeśli w przypadku konfliktu chcesz mieć wsparcie swoich sojuszników, bądź gotowy do samoobrony. Pozyskanie za rządów PiS Korei Południowej jako kolejnego, obok USA, znaczącego dostawcy broni, służy realizacji celu zwiększanie siły militarnej Polski.

Jeśli wolny świat chce naprawdę stawić czoła chińskiemu zagrożeniu, to musi, jak pisze Benedict Rogers w wydanej właśnie w Polsce książce pt. „Chińska sieć zła": „[...] bezwzględnie zdywersyfikować łańcuchy dostaw, zmniejszyć strategiczną zależność od Chin". I tu też ważna jest Polska. Ostatnie lata sprawiły, że w Japonii, Korei Płd. i na Tajwanie nasza ojczyzna widziana jest jako centrum reglobalizacji. Polska stała się dobrze rozwijającą się gospodarkę, która jest ważnym elementem procesu odchodzenia od uzależnienia gospodarczego od Chin w momencie, gdy Moskwa i Pekin stawiają na połączenie się w ramach Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej, zaproponowanej przez Putina, i Nowego Jedwabnego Szlaku, promowanego przez Xi Jinpinga. W przemówieniu podczas ceremonii otwarcia Forum Pasa i Szlaku w Pekinie Putin wychwalał Nowy Jedwabny Szlak, zapewniając, że jest on zgodny z rosyjską wizją stworzenia partnerstwa eurazjatyckiego.

By chińsko-rosyjski plan zamrożenia działań wojennych na warunkach korzystnych dla Moskwy wszedł w życie, potrzebna jest zgoda Berlina, który nie chce silnej polskiej armii, który jest wielokrotnie bardziej uzależniony od Chin niż od Rosji i który nadal woli, by produkcja i inwestycje były w ChRL, a nie w Polsce.

Jeśli w naszym kraju będzie rządziła opcja proniemiecka, to Polska nie będzie już siłą oporu wobec zgniłego kompromisu, na przykład chińskiego planu pokojowego. Nie będzie już chodziło o powstrzymanie Rosji raz na zawsze i znów będzie forsowana strategia, że bezpieczeństwo i przyszłość w Europie trzeba budować w rozmowach z Rosją i Chinami.

Dla Moskwy i Pekinu stojący na czele polskiego rządu człowiek, który już kiedyś jako premier zwijał polską armię i realizował interesy Niemiec, to dobra wiadomość. ■

eprasa.pl eb5d10470b



Antoni Rybczyński

Stary sojusz Moskwy z palestyńskim terroryzmem

Bliski Wschód był dla Moskwy jednym z najważniejszych frontów zimnej wojny właściwie od samego jej początku. Sojusz Państwa Żydowskiego z USA sprawił w sposób oczywisty, że Związek Sowiecki generalnie zaczął popierać kraje arabskie. Kolejne otwarte zbrojne konflikty wygrywane przez Izrael sprawiły, że Moskwa zaczęła szukać innych sposobów osłabienia Izraela, wpływów zachodnich i destabilizowania Bliskiego Wschodu.

eprasa.pl eb5d10470b

Za twórcę strategii sięgnięcia po terroryzm uznać można Jurija Andropowa, szefa KGB w latach 1967–1982. Bardzo dużo informacji na temat roli KGB i innych służb bloku wschodniego w powstaniu i radykalizacji palestyńskich organizacji mówią dokumenty ujawnione w tzw. Archiwum Mitrochina oraz relacje zbiegłego na Zachód szefa rumuńskiego wywiadu Iona Mihaia Pacepy.

OWP i Arafat

Pod koniec 1966 roku, na Kubie, pod nadzorem sowieckim, powstało kilka obozów szkoleniowych dla „partyzantów" z Trzeciego Świata. Wśród pierwszych byli Palestyńczycy. To oni mieli potem znaleźć się w kadrach dowódczych różnych terrorystycznych organizacji. Największą i najważniejszą była Organizacja Wyzwolenia Palestyny, która działała od 1964 roku. Pierwsza Rada OWP, złożona z 422 Palestyńczyków starannie dobranych przez KGB, przyjęła napisany w Moskwie projekt Palestyńskiej Karty Narodowej, a pierwszym szefem organizacji został agent wpływu Ahmad Shukairy. Trzy lata później doszło do tzw. wojny sześciodniowej. Izrael rozniósł armie Egiptu i Syrii, uzbrojone w sowiecką broń i naszpikowane sowieckimi doradcami. Niedługo potem doszło w Chartumie do konferencji państw arabskich, której uczestnicy zdecydowali się kontynuować walkę z Izraelem. Wobec braku szans w starciu konwencjonalnym, miano sięgnąć po inne metody – terrorystyczne. Idealnie do tej misji nadawała się zbrojna grupa Al-Fatah działająca w ramach OWP. Broń miały dostarczać KGB i Stasi, wszystko pozostałe – rumuński wywiad DIE. Jak pisze Pacepa, nawet mundury OWP i papeterie OWP produkowano w Rumunii i przekazywano za darmo jako „bratnią pomoc".

KGB wymyśliło Jasera Arafata jako lidera palestyńskiego ruchu narodowowyzwoleńczego. Wieloletni lider OWP wcale nie urodził się w Jerozolimie, a w Egipcie (dokumenty podmieniło KGB) i był za młodu zadeklarowanym marksistą. W Moskwie pojawił się w 1968 roku, jako członek delegacji prezydenta Egiptu Gamala Abdel Nasera. Wiadomo, że prowadził rozmowy z KGB. Potem jego kariera przyspieszyła. Jako szef Al-Fatah wysyłał swoich ludzi na szkolenie do ZSRS, a w 1969 roku KGB doprowadziło do wyboru Arafata na szefa Komitetu Wykonawczego OWP. Publicznie rekomendował go Naser, sowiecka marionetka w Kairze. Krótko po objęciu kierownictwa OWP, na polecenie KGB, Arafat ogłosił wojnę z amerykańskim „imperializmem-syjonizmem" na pierwszym szczycie tzw. Czarnej Międzynarodówki, organizacji także finansowanej przez KGB. To wtedy Sowieci uznali OWP za „jedyną legalną reprezentację arabskiego narodu Palestyny". W ośrodku KGB w podmoskiewskiej Bałaszysze szkolili się terroryści z OWP. W październiku 1972 roku miał powiedzieć Nicolae Ceausescu, że za atakiem na sportowców izraelskich w wiosce olimpijskiej w Monachium miał tak naprawdę stać Hani al-Hasan, szef wywiadu OWP, zausznik Arafata. KGB miało w biurze al-Hasana swojego agenta o pseudonimie Gidar. „Arafat i jego przełożeni z KGB przygotowywali komando OWP z zastępcą Arafata, Abu Dżihadem na czele, do wzięcia za zakładników amerykańskich dyplomatów w Chartumie" – pisał w wydanej w 1987 roku książce „Czerwone horyzonty" Ion Mihai Pacepa. Arafat zaprzyjaźnił się z Ceausescu. Pod koniec 1972 roku wywiad rumuński zawiązał sojusz z OWP. Były pułkownik KGB Oleg Gordijewski, który zbiegł na Zachód, mówił, że Rumuni „dostarczali lewe paszporty, sprzęt elektroniczny i broń do operacji OWP".

Doktor i agenci KGB

Operacyjne kontakty z OWP sowiecki wywiad utrzymywał poprzez rezydenturę w Bejrucie. Także tym kanałem współpracowano z Demokratycznym Frontem Wyzwolenia Palestyny (szef Nadżif Hawatmeh, ps. Inżynier) i Ludowym Frontem Wyzwolenia Palestyny – Generalnym Dowództwem (szef Ahmad Dżabril, ps. Majorow). Najważniejszym palestyńskim terrorystą współpracującym z KGB (na Łubiance nadano mu pseudonim „Chutor") był dr Wadi Haddad, wiceszef Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny (LFWP), odpowiedzialny za operacje zagraniczne. Sowiecki wywiad zwerbował go w 1970 roku. Ale już wcześniej Haddad, w lipcu 1968 roku, zorganizował pierwsze porwanie samolotu izraelskich linii El Al lecącego do Tel Awiwu, czym zmusił Izrael do negocjacji – po raz pierwszy. Po lądowaniu w Algierze i długich rokowaniach izraelscy pasażerowie zostali wymienieni na 16 Palestyńczyków odsiadujących wyroki więzienia. W maju 1970 roku przewodniczący KGB Jurij Andropow informował Leonida Breżniewa: „Natura naszych stosunków z W. Haddadem umożliwia nam do pewnego stopnia kontrolowanie zewnętrznych operacji LFWP, wywieranie wpływu korzystnego dla Związku Sowieckiego, a także prowadzenie działań dezinformacyjnych wspierających nasze interesy poprzez działaczy organizacji, przy równoczesnym zachowywaniu niezbędnej tajemnicy" („Archiwum Mitrochina II", Poznań 2006, s. 281). W lipcu 1970 roku, w ramach Operacji „Wostok", KGB przekazało na morzu w okolicach jemeńskiego Adenu przedstawicielom LFWP znaczną ilość broni i amunicji (m.in. 55 zachodnioniemieckich pistoletów i 50 zdobycznych karabinów maszy-

FOT. YAHYA ARHAB/PAP/EPA

eprasa.pl eb5d10470b

nowych MG-ZI oraz ponad 50 tys. sztuk amunicji do różnych pistoletów i karabinów).

Najbardziej spektakularną akcją terrorystyczną zorganizowaną przez Haddada ps. „Chutor" był atak 6 września 1970 roku na cztery samoloty pasażerskie w Nowym Jorku. Akcja w jednym z nich, boeingu linii El Al wylatującym do Tel Awiwu, nie udała się – jeden z dwóch porywaczy został zastrzelony przez agenta izraelskich służb. Ale trzy inne maszyny porywacze z powodzeniem zmusili do lądowania w różnych lokalizacjach. Pasażerów i załogę boeinga 747 linii Pan Am ewakuowano, zanim maszyna została wysadzona. W dwóch pozostałych przypadkach terroryści negocjowali wymianę: uwolnienie więzionych towarzyszy w zamian za zakładników. Wiadomo, dzięki materiałom KGB wywiezionym przez Wasilija Mitrochina do Wielkiej Brytanii, że broń ludziom Haddada dostarczyli Sowieci i wiedzieli oni o całej operacji. Dzięki Haddadowi Sowieci mieli z wyprzedzeniem informacje o głównych atakach LFWP, którego szefem był dr George Habash. Zresztą „Chutor" nie był jedynym informatorem w kierownictwie tej organizacji. Od 1974 roku KGB miało tam drugiego agenta: Ahmada Mahmuda Sammana (ps. „Wasit"). Sowieci zwerbowali też Ahmada Junisa, szefa służby bezpieczeństwa LFWP w Libanie (ps. „Tarszych"). Sojusz zakończył się w 1978 roku. Haddad zmarł po wylewie krwi do mózgu podczas pobytu w NRD, wewnętrzna konkurencja zlikwidowała Sammana, zaś trybunał LFWP uznał Junisa za winnego zamordowania jednego z kolegów i próby zamordowania innego – został stracony.

Terroryzm plus antysemityzm

Sowieci zapewniali szkolenie różnym grupom terrorystycznym na swoim terytorium, a jeszcze częściej w innych krajach Paktu Warszawskiego. Jak mówił pewien były wysoki oficer GRU, „ideologiczna sympatia do Związku Sowieckiego nie była konieczna. Każdy, kto pomaga destabilizować Zachód, jest naszym przyjacielem". Wytypowany do szkolenia mieszkaniec Bliskiego Wschodu dostawał tylko podstawowe informacje na temat charakteru szkolenia i przechodził krótkie szkolenie ideologiczne, następnie trafiał do Moskwy. Tam czekał na niego „oficer łącznikowy" jego organizacji i dopiero wtedy ustalano, gdzie taki „rekrut" trafi na szkolenie. W trakcie szkoleń KGB zwykł umieszczać między rekrutami z Bliskiego Wschodu także swoich oficerów-muzułmanów. Ich zadaniem, oprócz inwigilacji, było werbowanie wśród przyszłych terrorystów agentów KGB. Wiadomo o czterech zakonspirowanych ośrodkach szkolenia terrorystów bliskowschodnich na terytorium ZSRS: koło Baku (Azerbejdżan), w Taszkiencie (Uzbekistan) oraz niedaleko Symferopola na Krymie i w Odessie (Ukraina). Dużo więcej takich miejsc było poza granicami ZSRS. Najwięcej w NRD: koło Plauen, Karl-Marx-Stadt (obecnie Chemnitz), Drezno, Babelsberg, Klein Machsrow, Schmirblitz. W Bułgarii były cztery takie ośrodki, największy w Warnie. Do tego cztery w Czechosłowacji i trzy w Polsce. Bratnie służby odgrywały bowiem ważną rolę w procesie kreowania, wspierania i manipulowania terrorystami z Bliskiego Wschodu. Rola Rumunów była już nie raz tu wspomniana. Czechosłowacy na przykład zaopatrywali terrorystów w semtex, a broń dostarczali Niemcy. Z ujawnionych archiwów Stasi wynika, że tylko w 1983 roku wywiad Stasi (HVA) wysłał do Libanu amunicję do kałaszników za 1,9 mln dolarów. Do ośrodków w Europie przyjmowano elitę bliskowschodnich terrorystów. Cała reszta szkoliła się w obozach w innych krajach sprzymierzonych z Moskwą. Otwarte pod koniec 1966 roku na Kubie „szkoły terroryzmu" były nadzorowane przez Generalną Dyrekcję Wywiadu (DGI), kubański wywiad – od 1968 roku pod bezpośrednią kontrolą KGB. Szkolenia trwały od trzech do sześciu miesięcy. W programie nauczania było „szkolenie w posługiwaniu się bronią, konstruowanie bomb, nauka, jak wysadzać ropociągi, czytanie map, kryptografia, fotografia, fałszowanie dokumentów". Castro wysyłał swych instruktorów do nowo otwartych obozów w Angoli i Mozambiku. Kubańczycy pojawili się też na Bliskim Wschodzie po wojnie Jom Kippur. Największym jednak sojusznikiem ZSRS w sponsorowaniu i wspieraniu terroryzmu palestyńskiego była Syria. Przy czym Hafez Asad był bardzo ostrożny, starał się ukrywać

Stosunek ZSRS do konfliktu na Bliskim Wschodzie był prosty: Izrael okupował całą Palestynę, a Moskwa wspierała przeciwników Izraela na uchodźstwie, w szczególności Organizację Wyzwolenia Palestyny Jasira Arafata.

eprasa.pl eb5d10470b

swoje związki z arabskimi terrorystami. Wśród organizacji wspieranych przez Damaszek były Organizacja Abu Nidala, Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny – Dowództwo Generalne, Al Sa'iqa czy Hamas.

Tymczasem sukces strategii porywania samolotów izraelskich sprawił, że 13. Zarząd KGB, zajmujący się tzw. mokrą robotą, rozszerzył arsenał działań o „publiczne egzekucje" Żydów w różnych publicznych miejscach. W listopadzie 1969 roku w ataku na biuro El Al w Atenach zginęła 1 osoba, 14 zostało rannych. 30 maja 1972 roku w zamachu na lotnisku Ben Guriona zginęły 22 osoby, 76 zostało rannych. Grudzień 1974 roku to zamach bombowy w kinie w Tel Awiwie – 2 zabitych, 66 rannych. W marcu 1975 roku w ataku na hotel w Tel Awiwie zginęło 25 osób, 6 zostało rannych. Dwa miesiące później w Jerozolimie bomba zabiła 1 osobę, 3 raniła. Bomba na jerozolimskim placu Syjonu 4 lipca 1975 roku zabiła 15 osób, 62 raniła. Jak tłumaczył dr George Habash, marksistowski lider Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny: „Zabicie jednego Żyda daleko od pola bitwy jest bardziej efektywne niż zabicie setki Żydów na polu bitwy, ponieważ przyciąga większą uwagę". Na rozkaz Moskwy mordowano Żydów i Amerykanów, a jednocześnie kagiebowska machina dezinformacyjna „pracowała 24 godziny na dobę, żeby przekonać świat islamski, że USA zamierzają go przekształcić w syjonistyczne lenno". Z niezłym skutkiem, skoro w 1975 roku uchwalono rezolucję ONZ nr 3379 piętnującą syjonizm jako formę rasizmu. Według Pacepy, Andropow miał obsesję na punkcie przekonania muzułmanów, że Kongres USA knuje z Żydami, by opanować cały świat. „Jeśli podsyciliśmy muzułmański antysemityzm, to w naturalny sposób idą za nim terroryzm i przemoc wobec Izraela i Ameryki" – miał powiedzieć szef KGB. Faktem jest, że „syjonistyczna działalność wywrotowa" – chodziło też o protesty Żydów w ZSRS – stanowiła szczególną obsesję Andropowa.

▶ Przyjaźń z Hamasem

Stosunek Związku Sowieckiego do konfliktu na Bliskim Wschodzie był prosty: Izrael okupował całą Palestynę, a Moskwa wspierała przeciwników Izraela na uchodźstwie, w szczególności Organizację Wyzwolenia Palestyny (OWP) Jasira Arafata. Po upadku Związku Sowieckiego Moskwa dokonała korekty polityki bliskowschodniej. Z jednej strony było odmrożenie relacji z Izraelem. Z drugiej nadal po cichu wspierała palestyńskich radykałów. Gdy w palestyńskim ruchu doszło do rozłamu, a jego część postawiła na budowanie autonomii i współpracę z Izraelem i Zachodem po porozumieniach w Oslo (1993), Moskwa postawiła na radykałów: Palestyński Islamski Dżihad i Hamas (utworzony w 1987 roku jako oddział Bractwa Muzułmańskiego, choć w 2017 roku zerwał z nim stosunki). Fatah, największa i najbardziej wpływowa frakcja OWP, oficjalnie wyrzekła się terroryzmu. Dziś nie jest już uważana za organizację terrorystyczną – nawet w Izraelu. Hamas konsekwentnie promuje walkę zbrojną przeciwko Izraelowi, którego prawo do istnienia odrzuca.

Po zwycięstwie Hamasu w palestyńskich wyborach parlamentarnych w styczniu 2006 roku, podczas dorocznej konferencji prasowej, prezydent Władimir Putin zauważył, odpowiadając na pytanie korespondenta Al-Dżaziry, że Rosja nigdy nie uznała Hamasu za organizację terrorystyczną. Zastrzegł, że nie oznacza to, iż Rosja „popiera i wspiera wszystko, co robi Hamas", ale raczej, że Hamas powinien być traktowany jako realna siła polityczna, odkąd stał się legalnie wybraną władzą. Od 2006 roku wysocy rangą członkowie kierownictwa Hamasu regularnie zaczęli się spotykać z rosyjskimi wysokimi rangą urzędnikami. W marcu 2006 roku ówczesny szef biura politycznego Hamasu, Chalid Maszal, odbył swoją pierwszą oficjalną wizytę w Moskwie. W 2010 roku z Maszalem spotkał się też ówczesny prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew. Wiceminister spraw zagranicznych Michaił Bogdanow, odpowiedzialny za Bliski Wschód, mówił, że Rosja nie uważa Hamasu za terrorystów, ponieważ jest on „integralną częścią palestyńskiego społeczeństwa".

Hamas wyraźnie stanął po stronie Rosji w jej wojnie z Ukrainą. „Specjalna operacja wojskowa Rosji na Ukrainie ma na celu położenie kresu dominacji USA na świecie i uczynienie go wielobiegunowym. Jest to korzystne dla wszystkich uciskanych narodów, przede wszystkim narodu palestyńskiego, jako tych, którzy najbardziej cierpią z powodu amerykańskiej hegemonii" – oświadczył wiceszef Biura Politycznego Musa Abu Marzuk. W maju 2022 roku delegacja Hamasu udała się do Rosji i spotkała z ministrem spraw zagranicznych Siergiejem Ławrowem oraz przywódcą Czeczenii Ramzanem Kadyrowem. Przywódcy Hamasu tylko w ciągu ostatniego roku jeździli do Moskwy dwukrotnie. W marcu br. Moskwę odwiedziła także delegacja Palestyńskiego Islamskiego Dżihadu ze Strefy Gazy, na czele z jego szefem Ziyadem al-Nakhalahem. Już po krwawym najeździe Hamasu na południe Izraela Putin opisał ten atak jako „jaskrawy przykład" porażki amerykańskiej polityki zagranicznej na Bliskim Wschodzie, obwiniając Waszyngton za próbę „zmonopolizowania regulacji" w regionie bez podejmowania wysiłków w celu znalezienia kompromisowych rozwiązań. Putin nie mógł sobie wymarzyć lepszego urodzinowego prezentu (atak nastąpił 7 października) niż rozpętanie wojny na Bliskim Wschodzie. ■

eprasa.pl eb5d10470b

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny–Hamas

Po terrorystycznym ataku Hamasu na Izrael Pekin przyjął taką samą postawę jak Moskwa, winiąc za zaistniałą sytuację Zachód, a zwłaszcza Stany Zjednoczone. Tak jak Pekin nie mówi o wojnie na Ukrainie, a o konflikcie ukraińskim, tak też nie mówi o ataku na Izrael, lecz o „eskalacji napięć i przemocy między Palestyną a Izraelem". I tak jak władze ChRL nie potępiły do tej pory rosyjskiego ataku na Ukrainę, tak nie zrobiły tego w stosunku do ostatnich brutalnych działań Hamasu. Zamiast tego Pekin po prostu wyraził „zaniepokojenie" możliwością eskalacji przemocy i twierdzi, że z konfliktu na Bliskim Wschodzie można wyjść tylko przez wdrożenie rozwiązania dwupaństwego.

Bardzo szybko ze strony Państwa Środka pojawiła się też krytyczna retoryka wobec Izraela. Na przykład 14 października, rozmawiając z ministrem spraw zagranicznych Arabii Saudyjskiej Faisalem bin Farhanem Al Saudem, chiński minister spraw zagranicznych Wang Yi stwierdził, że działania Izraela wymierzone w Hamas w Gazie „wykroczyły poza samoobronę".

Michael Mazza z prawicowego amerykańskiego think tanku American Enterprise Institute stwierdził, że fakt, iż „Chiny potępiły jedynie Izrael za »brak podstawowego sumienia ludzkiego i pogwałcenie podstawowych norm stosunków międzynarodowych« i że Chiny nie mają nic do powiedzenia na temat okrucieństw popełnionych na tysiącach obywateli Izraela, mówi nam wszystko, co powinniśmy wiedzieć na temat tego, po której ze stron stoją Chiny. One są po stronie Hamasu".

Wielu chińskich dziennikarzy i komentatorów politycznych mieszkających za granicą zaczęło zwracać uwagę na bliskie relacje komunistycznych władz Chin z Hamasem. Zauważono, że jest to pierwszy konflikt, w którym Hamas z powodzeniem użył uzbrojonych dronów. Te drony są bardzo podobne do tych, których Rosja używa do ataków na ukraińskie miasta, i przypominają te wykonane przez Iran. A Iran może szybko produkować i dostarczać swoim sojusznikom tego typu sprzęt, bo części do niego równie szybko przychodzą z Chin. I nie jest to nic nowego, ponieważ Pekin od dziesięcioleci dostarcza sprzęt wojskowy Iranowi.

Dziennikarka Jennifer Zeng zanim uciekła z Chin, w latach 90. była więziona w chińskim gułagu za to, że była członkiem zakazanego w ChRL ruchu Falun Gong. To ona ostatnio ujawniła, że Mohammad Daif, który 8 października br. dowodził atakiem Palestyńczyków na Izrael, został wysłany w 1996 roku przez Organizację Wyzwolenia Palestyny do Chin na studia na jednej z uczelni Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Zeng twierdzi także, że żona Daifa pochodzi z Chin i to dzięki niej utrzymuje on bliski kontakt z biurem prezydenta Xi Jinpinga.

Te informacje potwierdził profesor Yuan Hongbing, który wykładał na Wydziale Prawa na Uniwersytecie Pekińskim i od lat dostarcza wnikliwe analizy działań komunistycznych władz Chin.

W kwestii relacji Pekinu z Hamasem twierdzi, że utrzymanie w tajemnicy przygotowań do tego wielkiego ataku na Izrael było m.in. „wynikiem akceptacji przez Deifa strategii dostarczonej przez doradców KPCh". Ponadto KPCh zapewniła Hamasowi technologię rakietową i sprzęt komunikacyjny firmy Huawei. Potwierdza to urodzony w Arabii Saudyjskiej Aimen Dean, były członek Al-Kaidy zrekrutowany przez MI6. We wpisie na portalu X (dawniej Twitter) napisał on: „Tak, przez ostatnie 30 miesięcy przywódcy i bojownicy Hamasu używali telefonów, tabletów i laptopów Huawei!".

eprasa.pl eb5d10470b

Profesor Yuan Hongbing dodał również, że „de facto strategiczny sojusz z międzynarodowym terroryzmem jest podstawową polityką chińskiego państwa", którą KPCh praktykuje od dziesięcioleci. Podał przykłady takiej kooperacji Chin z terrorystami. Były wiceminister bezpieczeństwa publicznego Chin, a także były szef Interpolu Meng Hongwei podczas swojej pracy jako dyrektor Biura w KPCh ds. Kontroli Zamieszek, otrzymał zadanie zorganizowania kilku obozów szkoleniowych w korytarzu Gansu i górach Helan w regionie Ningxia w Chinach w celu szkolenia tam irackich terrorystów, którzy mieli powrócić do Iraku, aby prowadzić walkę z armią USA.

W tym czasie KPCh wyszkoliła także dużą liczbę bojowników dla Talibów w Afganistanie. Według Yuana jest to jeden z powodów, dla których KPCh była teraz w stanie stworzyć strategiczny sojusz z reżimem Talibów w Afganistanie.

Po przejęciu sterów KPCh Xi Jinping jeszcze bardziej wzmocnił powiązania wojskowe i gospodarcze z międzynarodowymi terrorystycznymi organizacjami politycznymi za pośrednictwem Departamentu Łączności Międzynarodowej KPCh.

Yuan Hongbing twierdzi, że KPCh chce wykorzystać konflikt palestyńsko-izraelski do odwrócenia uwagi USA, redukcji zasobów Zachodu oraz osłabienia woli oraz energii politycznej i woskowej Stanów Zjednoczonych, tak by te nie były gotowe na interwencje w przypadku konfliktu w Cieśninie Tajwańskiej.

Tajwan

Przed wyborami prezydenckimi i parlamentarnymi na Tajwanie, które odbędą się w styczniu przyszłego roku, dyrektor generalny Biura Bezpieczeństwa Narodowego Tsai Ming-yen ostrzegł na posiedzeniu jednej z komisji parlamentarnych, że „chińscy komuniści ingerują w wybory w bardzo zróżnicowany sposób". Chiny mogą użyć presji militarnej, przymusu ekonomicznego lub fake newsów, aby stworzyć fałszywy wybór między „wojną a pokojem" i w ten sposób zastraszyć wyborców. „Zwracamy szczególną uwagę na współpracę chińskich komunistów z firmami sondażowymi i public relations pod kątem możliwości manipulowania sondażami i prezentowania ich w celu ingerencji w wybory" – dodał Tsai, nie wymieniając jednak żadnych firm.

Chiu Tai-san kierujący tajwańską Radą ds. Kontynentalnych (MAC) powiedział ustawodawcom, że polem działań agitacyjnych Chińczyków stały się także świątynie i uniwersytety. W ostatnim czasie do złożenia wizyt w ChRL zostali zaproszeni m.in. kierujący świątyniami na Tajwanie, a niektórzy profesorowie uniwersytetów organizowali tanie wycieczki do Chin dla studentów. „Niedawno poinformowaliśmy o podwadze tego problemu kierownictwo kilku ważnych świątyń na Tajwanie. Ministerstwo Edukacji przypomniało także profesorom i studentom o ryzyku prawnym związanym z podróżą do Chin, dlatego też mają oni obowiązek ubiegać się z wyprzedzeniem o uzyskanie pozwoleń na takie wyjazdy" – powiedział Chiu.

Pekin zwiększył także presję na tajwańskich biznesmenów inwestujących w Chinach. W sierpniu Biuro ds. Tajwanu Rady Państwa ChRL zorganizowało tzw. spotkanie inwestycyjne dla „rodaków z Tajwanu", podczas którego przedstawiciele tajwańskich stowarzyszeń biznesowych z miast Xiamen i Kunshan mieli krytykować wiceprezydenta Tajwanu Williama Laia za jego sierpniową podróż do USA. Lai jest kandydatem rządzącej proniepodległościowej partii DDP na stanowisko prezydenta.

„Wszystko to zostało zorganizowane przez Pekin w ramach prób wywarcia wpływu na wynik nadchodzących wyborów prezydenckich na Tajwanie" – powiedział tajwańskiej gazecie „Taipei Times" jeden z tajwańskich biznesmenów obecnych na spotkaniu.

Amerykanie ostrzegają, że dezinformacja dotycząca Tajwanu, a prowadzona przez Chiny, nasila się także na Zachodzie. Opublikowany pod koniec września br. raport Globalnego Centrum Zaangażowania, instytucji w Departamencie Stanu USA, której zadaniem jest przeciwdziałanie zagranicznej propagandzie i dezinformacji, stwierdza, że Pekin wydaje miliardy dolarów, by za pomocą fałszywych treści realizować swoje cele geopolityczne, m.in. blokując informacje, które są sprzeczne z jego narracją dotyczącą Tajwanu.

Korea Południowa–Japonia–USA

Jak podała południowokoreańska agencja Yonhap, Korea Południowa, Stany Zjednoczone i Japonia zakończyły prace nad trójstronną gorącą liną, która ma ułatwić, komunikacje pomiędzy trzema krajami. Jest to kolejny znak rosnącej trójstronnej współpracy w zakresie bezpieczeństwa. Z tej formy komunikacji będą korzystać przywódcy trzech państw, a także ich doradcy do spraw bezpieczeństwa.

Ustanowienie linii ma miejsce w momencie rosnącej potęgi militarnej Chin i coraz poważniejszych napięć z Koreą Północną, która zacieśnia swoją współpracę z Rosją. Podczas wrześniowej wizyty północnokoreańskiego przywódcy Kim Dzong Una w Rosji oba kraje miały uzgodnić dostawy broni dla rosyjskiej armii oraz przekazanie władzom w Pjongjangu rosyjskiej technologii budowy rakiet. W połowie października Pjongjang odwiedził minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Ławrow i podziękował Kim Dzong Unowi za jego „fundamentalne, jednoznaczne wsparcie" w kwestii Ukrainy. ■

eprasa.pl eb5d10470b



Antoni Rybczyński

CO CZEKA REŻIM PUTINA PO ROZPRAWIE Z PRIGOŻYNEM

eprasa.pl eb5d10470b



FOT. GAVRIIL GRIGOROV / SPUTNIK / KREMLIN POOL/PAP/EPA

Bez wątpienia śmierć Jewgienija Prigożyna i Dmitrija Utkina zapisze się jako jedno z ważniejszych wydarzeń w historii putinowskiej Rosji. Zerwanie zawartego pod koniec czerwca porozumienia z Grupą Wagnera wzmacnia czy osłabia władzę Władimira Putina? To pytanie od 23 sierpnia stawia sobie wielu analityków specjalizujących się w tematyce rosyjskiej.

Jak mocny jest uścisk władzy Władimira Putina?" – pyta na łamach Council on Foreign Relations ekspert think tanku Thomas Graham w artykule opublikowanym 2 października. „W pierwszych dniach po buncie najemnych sił Wagnera pod dowództwem Prigożyna w czerwcu 2023 roku wielu ekspertów argumentowało, że Putin został poważnie, być może śmiertelnie, osłabiony. Jego późniejsze działania pokazały jednak ciągłe panowanie nad sytuacją polityczną w Rosji".

Bunt i zemsta

„Do czerwca 2023 roku prezydent Rosji Władimir Putin najwyraźniej był całkiem pewny swojej władzy i braku prawdziwego wyzwania dla niej. [...] Jednak »marsz po sprawiedliwość« Jewgienija Prigożyna przerwał ten wymuszony spokój. Okazało się, że kilka tysięcy uzbrojonych mężczyzn mogło swobodnie przemieszczać się po całej Rosji, przejmować kontrolę nad krytycznymi obiektami wojskowymi i dużymi miastami, a także ostrzeliwać samoloty wojskowe, które próbowały ich powstrzymać. Co najważniejsze, żaden z najbardziej zagorzałych zwolenników Putina nie wyszedł na spotkanie Prigożyna i nie bronił Moskwy swoimi siłami" – przypomniał Borys Bondariew w analizie pt. „Putin wpada w coraz większą paranoję w związku z potencjalnymi zagrożeniami dla władzy" (Eurasia Daily Monitor, 6 września 2023 roku).

Po nieudanym buncie likwidacja Prigożyna przez władze była jedynie kwestią czasu – „z uwagi na konieczność odbudowy przez Putina zachwianej pozycji w systemie władzy i wizerunku silnego lidera przed zaplanowanymi na marzec 2024 r. wyborami prezydenckimi" – czytamy w analizie polskiego Ośrodka Studiów Wschodnich z 24 sierpnia (Maria Domańska, współpraca Piotr Żochowski, „Koniec Prigożyna – Kreml dyscyplinuje elity"). „Marsz Grupy Wagnera na Moskwę to najpoważniejszy od dwóch dekad przejaw niestabilności wewnętrznej w Rosji – obnażył on słabości systemu, w tym dezorganizację i niskie morale w armii i służbach, stanowił też bezprecedensowe upokorzenie dla Putina, zmuszonego do niechcianego kompromisu z osobą, którą publicznie nazwał »zdrajcą«. Długotrwała, niezakłócona działalność publiczna Prigożyna byłaby w oczach elity dowodem na nieudolność prezydenta i mogła zaowocować dezintegracją systemu władzy" – podkreślają analitycy OSW.

„Usunął starszych dowódców wojskowych o podejrzanej lojalności, w tym generała Siergieja Surowikina, bliskiego sojusznika Prigożyna, który niegdyś dowodził siłami rosyjskimi walczącymi na Ukrainie. Zmusił większość bojowników Wagnera do wstąpienia do Ministerstwa Obrony. Śmierć Prigożyna w sierpniowej katastrofie lotniczej była – słusznie czy nie – postrzegana jako zemsta Putina, co podkreślało wysoką cenę nielojalno-

eprasa.pl e5d10470b

ści. Jednocześnie Kreml rozprawił się z blogerami wojskowymi, którzy byli niezwykle krytyczni wobec przebiegu wojny" – pisze cytowany wcześniej Graham.

Z kolei analitycy OSW we wspomnianym opracowaniu wskazują, że władze podjęły też ograniczone działania neutralizujące wybranych przedstawicieli środowisk nacjonalistyczno-imperialnych krytycznych wobec Kremla (tzw. turbopatriotów): „Po buncie Prigożyna zaczęli oni być postrzegani jako zagrożenie z uwagi na szerzenie postulatów podobnych do tych głoszonych przez lidera Grupy Wagnera (zmiana strategii prowadzenia wojny, dymisje wśród najwyższych dowódców, krytyka skorumpowanego systemu, w tym samego Putina, za nieudolność i klęski na froncie). 21 lipca aresztowano byłego pułkownika specnazu FSB Igora Girkina (Striełkowa) – jednego z najbardziej rozpoznawalnych przedstawicieli środowisk turbopatriotycznych, skłóconego z Prigożynem, lecz bezpardonowo atakującego politykę władz i samego prezydenta. Brak zdecydowanej reakcji zwolenników Girkina na aresztowanie mógł ośmielić Kreml do podjęcia decyzji o ostatecznej rozprawie z Prigożynem".

Trzy fronty Putina

Nie powinno to nikogo dziwić – pisze Graham. Wszak „w ciągu ostatnich dwudziestu lat Putin udowodnił, że jest zręcznym i bezwzględnym operatorem politycznym, wykorzystującym mocne strony swojej pozycji w rosyjskim systemie politycznym". Jego siłą jest też oczywiście przede wszystkim zajmowane stanowisko. Jako prezydent znajduje się w samym centrum „rozległej sieci powiązań patronackich, które definiują elitę rządzącą: wyżsi urzędnicy rządowi i funkcjonariusze służb specjalnych, władza wojskowa, oligarchowie i szefowie największych korporacji, szefowie regionalni oraz czołowi naukowcy i przedstawiciele mediów". Nagłe usunięcie Putina groziłoby załamaniem całej sieci i utratą pozycji, dochodów, a nawet wolności członkom elity. Ekspert CFR podkreśla: „Samozachowawczość stanowi zatem potężną zachętę do pozostania lojalnym wobec Putina. Ponadto jako prezydent Putin ma szerokie uprawnienia do wyznaczania lojalistów kontrolujących dźwignie władzy – wojsko i służby specjalne, kluczowe instytucje gospodarcze i finansowe, media ogólnokrajowe i główne korporacje zarządzające ogromnymi zasobami naturalnymi kraju". Nominacje te tworzą silne więzi osobistej lojalności.

Keir Giles, ekspert ds. Rosji w londyńskim think tanku Chatham House, przestrzegł, że chociaż wśród elit, które wspierają Putina i go otaczają, może panować niezadowolenie, rosyjski przywódca nie pozwoli, aby powtórzyła się historia z wagnerowcami i Prigożynem. „W przeciwieństwie do kogokolwiek z najbliższego otoczenia Putina, Wagner był elementem destrukcyjnym spoza piramidy władzy – powiedział. – Jest mało prawdopodobne, aby ktokolwiek inny, kto rozważa rzucenie wyzwania Putinowi, znalazł się w tej samej sytuacji, ponieważ nikt inny poza wewnętrznymi strukturami władzy nie ma dostępu do takich zasobów, jak Prigożyn – powiedział Giles. Dodał, że wielu potencjalnych pretendentów, którzy są blisko Putina, ma żywotny interes w utrzymaniu status quo w celu zachowania swojego losu i bezpieczeństwa. – Każdy, kto rozważał wystąpienie przeciwko Moskwie, szybko ponownie oceni swój rachunek ryzyka, widząc, co się stało – stwierdził Giles" (Patrick Smith, NBC News, „Prigożyn nie żyje, ale czy władza Putina wzmocni się po katastrofie lotniczej?", 2 września 2023 roku).

„Putin nie jest w żaden sposób niezniszczalny. Jednak usunięcie go bez obalenia całego systemu mogłoby wymagać precyzyjnie dostrojonego spisku wśród tych, którzy kontrolują rzeczywiste dźwignie władzy, co byłoby zniechęcającym zadaniem w społeczeństwie o niskim zaufaniu, jakim jest Rosja, w czasie narastających represji politycznych. Ale nie jest to niemożliwe. Presja na jego usunięcie będzie rosnąć, jeśli okaże się, że nie jest on w stanie skutecznie pełnić trzech podstawowych funkcji przywódcy w elitarnym systemie politycznym Rosji: ochrony elit przed wrogami zewnętrznymi, przed narodem rosyjskim i przed walką między sobą. Oznacza to, że Putin będzie musiał poprowadzić zaciekłą walkę o własność i władzę toczącą się pomiędzy frakcjami Kremla, tak aby nie wymknęła się ona spod kontroli i nie zagroziła istnieniu systemu jako całości" – uważa Graham z CFR.

Jego zdaniem wojna na Ukrainie polega w dużej mierze na ochronie Rosji przed wrogim „kolektywnym Zachodem". Pomimo znaczących niepowodzeń, jakie w 2022 roku miały miejsce w Kijowie, Charkowie i Chersoniu, wydaje się, że Rosja w 2023 roku poradzi sobie zarówno pod względem militarnym, jak i gospodarczym. Ukraińska kontrofensywa utknęła w martwym punkcie. Rosyjska gospodarka rośnie pomimo zachodnich sankcji. Wygląda na to, że poparcie Zachodu dla Ukrainy zaczyna się łamać. Zwycięstwo nadal wydaje się być w zasięgu Moskwy. Krótko mówiąc, dotychczasowy konflikt w niewielkim stopniu przyczynił się do osłabienia pozycji Putina. Jeśli chodzi o naród rosyjski, poparcie dla Putina oscyluje wokół 80 proc., tak jak to miało miejsce od początku wojny. Kolejnym dużym testem będą wybory prezydenckie w marcu 2024 roku. Kreml musi pokazać, że potrafi skłonić wyborców do wyrażenia poparcia dla Putina w pozornie pozbawionych znaczenia wyborach. Podobnie jak w przeszłości Kreml wyznaczy cele w zakresie frekwencji i udziału Putina w głosach, które prawdopodobnie wyniosą ponad 70 proc. w każdym przypadku. Realizacja tych celów byłaby ważnym sygnałem dla elit, że Putin nadal jest panem systemu

eprasa.pl eb5d10470b

politycznego. W tym kontekście oszustwa nie podważą prestiżu Putina. Wręcz przeciwnie, jest to kolejny przejaw jego politycznej dominacji (Thomas Graham, „Jak mocny jest uścisk władzy Władimira Putina?", Council on Foreign Relations, 2 października 2023).

Paranoiczny dyktator

W efekcie Putin jest obecnie niewątpliwie bardziej podejrzliwy wobec swojego otoczenia niż na początku tego roku, gdy starał się o zacieśnienie kręgu wewnętrznego. „Nie można wykluczyć, że w związku z tym dojdzie do roszad kadrowych i pokazowych represji (m.in. pod zarzutami korupcyjnymi), mających zastraszyć elity i odbudować jego wizerunek jako twardego przywódcy. Z uwagi na kalendarz wyborczy (wybory regionalne i lokalne we wrześniu br., prezydenckie w marcu 2024 r.) czystki zostaną zapewne odłożone na okres późniejszy. Podtrzymywanie niepewności i strachu w elicie co do zasięgu możliwych represji ma dodatkowo zmobilizować aparat państwa do zapewnienia pożądanego przez Kreml wyniku głosowania" – czytamy we wspomnianej analizie OSW.

Prezydent Rosji ze względów bezpieczeństwa nie pojawił się osobiście na szczycie BRICS w Republice Południowej Afryki. Porzucił także pomysł osobistego uczestnictwa w szczycie G20 w Indiach. Podczas obu wydarzeń zastąpił go minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow. „Szczyty często obejmują bezpośrednią komunikację między głowami państw, którzy ustalają główne obszary ich interakcji. Jeżeli głowa państwa nie może uczestniczyć w posiedzeniu, logiczne jest zastąpienie jej następną w kolejności osobą zajmującą wyższe stanowisko. Kolejnym najwyższym rangą urzędnikiem nie jest Ławrow, ale premier Michaił Miszustin. Miszustin jest często uważany za potencjalną postać kompromisową dla postputinowskiej Rosji. Jest doświadczonym administratorem, który zajmował się przede wszystkim kwestiami gospodarczymi. W związku z tym Miszustin jest jednym z najlepiej poinformowanych rosyjskich urzędników na temat prawdziwego stanu krajowej gospodarki. Jednocześnie nie należy do klanów siłowików i nie wydaje się podzielać skrajnie antyzachodnich poglądów powszechnie podzielanych w rosyjskich służbach bezpieczeństwa. Logiczne jest zatem założenie, że po objęciu władzy Miszustin z większym prawdopodobieństwem zaproponuje Ukrainie i Zachodowi negocjacje w sprawie pokojowego rozwiązania wojny niż inni potencjalni następcy. Zgodnie z rosyjską konstytucją to szef rządu przejmuje obowiązki prezydenta w przypadku jego niezdolności do pracy. Tak było na przykład po rezygnacji prezydenta Borysa Jelcyna, kiedy ówczesny premier Putin pełnił funkcję głowy państwa aż do wyborów prezydenckich wiosną 2000 roku. Przed buntem Prigożyna Miszustin regularnie podróżował za granicę. Przykładowo w maju 2023 r. odwiedził Pekin, gdzie został przyjęty przez chińskiego prezydenta Xi Jinpinga. Jednak po wydarzeniach 24 czerwca aktywność zagraniczna premiera gwałtownie spadła. [...] Sugeruje to, że po próbie zamachu stanu Putin stał się ostrożny w stosunku do wszelkich kontaktów Miszustina z przywódcami innych państw, zwłaszcza Chin i Indii. Zarówno Pekin, jak i New Delhi są ważnymi partnerami Moskwy, jednak są one coraz bardziej zaniepokojone ryzykowną i nieprzewidywalną polityką zagraniczną Putina. W tych okolicznościach naturalna jest obawa podejrzliwego, starzejącego się dyktatora, że młodszy, znacznie mniej odrażający przywódca będzie mógł skuteczniej negocjować w zamian za »pewne dostosowanie« polityki Kremla. [...] Ogólnie rzecz biorąc, wydaje się, że Miszustin może stanowić największe bezpośrednie zagrożenie dla Putina. Jeśli rzeczywiście tak się stanie, oznacza to prawdopodobnie, że rosyjski premier nie będzie już szefem rosyjskiej delegacji na najważniejszych wydarzeniach międzynarodowych, choć prawdopodobnie będzie mógł utrzymać kontakty we Wspólnocie Niepodległych Państw i Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym" (Borys Bondariew, „Putin wpada w coraz większą paranoję w związku z potencjalnymi zagrożeniami dla władzy", Eurasia Daily Monitor, 6 września 2023 roku).

Uwiarygodni to spekulacje, że w związku z kończącą się wojną w rosyjskich elitach narastają napięcia, które dodatkowo zaostrzyły bunt Prigożyna i jego śmierć. Rosnące podejrzenia Putina mogą sprawić, że popełni on więcej błędów, co może jeszcze bardziej pogorszyć tę niepewną sytuację. Zdaniem ekspertów OSW, „pokazowa rozprawa z Prigożynem najprawdopodobniej na jakiś czas skutecznie zastraszy niezadowolonych z polityki Kremla członków elity. Ich postawa może się jednak zmienić w razie dalszych niepowodzeń Sił Zbrojnych FR na Ukrainie i/lub wzrostu niezadowolenia społecznego, zwłaszcza na tle problemów gospodarczych. Kolejna próba sił, o skali podobnej do czerwcowego »puczu«, może w tej sytuacji doprowadzić do przetasowań na szczytach władzy, które mogą – choć nie muszą – spowodować głębszą zmianę systemową i rewizję polityki zagranicznej Rosji. W przypadku wybuchu następnego buntu nie należy się spodziewać prób negocjowania z Putinem, gdyż udzielane przez niego ewentualne gwarancje będą miały po śmierci szefa Grupy Wagnera zerową wartość" (Maria Domańska, współpraca Piotr Żochowski, „Koniec Prigożyna – Kreml dyscyplinuje elity", OSW, 24 sierpnia 2023 roku). „Zwykle tego typu demonstracyjne morderstwa są dowodem na to, że system zaczyna niszczyć i pożerać siebie, ponieważ jest zbyt podejrzany. Putin pokazał, że kwestionuje lojalność każdego członka swojego otoczenia, nawet tych najbliższych" – mówił doradca prezydenta Ukrainy Mychajło Podolak w wywiadzie dla TV Dożd. ■

eprasa.pl eb5d10470b



Marcin Wolski

Ale to już było...

Minęło ponad 40 lat, ale pamiętam to doskonale. 13 grudnia 1981 roku, tamtego mroźnego poranka obudziłem się w innym świecie. Coś się skończyło, coś przepadło.

Historia się powtarza, oczywiście nie dokładnie – obecnie nie przewiduję czołgów na ulicach ani wyłączenia internetu – przynajmniej na razie. Pewnie nie będzie też wydawania paszportów w jedną stronę i kartek na wszystko. Bo procesów i miejsc odosobnienia dla przeciwników politycznych raczej nie zabraknie.

Inna sprawa – ujawniło się wtedy coś krzepiącego, opór społeczeństwa, pomaganie represjonowanym i ich rodzinom i powszechna niezgoda na stan wojenny, na gwałt dokonany przez władzę z obcego nadania.

Dziś jest inaczej – to Polacy Polakom zgotowali ten los. Nieważne że byli rozgoryczeni, ogłupiali, zdezinformowani. Wskoczyli do tego bajora nieszczęść z entuzjazmem i na ochotnika. I nie wolno nam się na nich obrażać. Mimo że konsekwencje tego wyboru mogą rzutować na lata, ba, na pokolenia. Któregoś dnia zmienią zdanie, zapłaczą nad sobą jak targowiczanin Szczęsny Potocki, który musiał stwierdzić: „Ja już jestem Rosjaninem na zawsze". Dziś pewnie w miejsce owego Rosjanina wstawiłby Europejczyka!

Czeka nas wiele upokorzeń. Rechot zwycięzców, kolejne podziały między sobą, potępieńcze swary. Tak było zawsze. Po przegranych powstaniach, upadłych zrywach.

A przeciwnicy zrobią wszystko, żeby nie dać nam drugiej szansy, za wiele strachu (skądinąd jak się okazało pozornego – nikomu włos z głowy nie spadł) najedli się przez ostatnich osiem lat. Dziś mogą powtarzać za towarzyszem Gomułką: „Władzy raz zabranej nie oddamy nigdy!".

To nie znaczy, że mamy załamać ręce albo schować je do kieszeni.

Trzeba robić ile się da, w każdym możliwym miejscu, korzystając z każdej okazji opierać się złu, walczyć o każdy skrawek wolności, który spróbują nam wydrzeć. Oczywiście mądrze, nie tracąc sił i ludzi na puste gesty.

Wkrótce czeka nas batalia o samorząd, później o deputowanych do europarlamentu. Zdemobilizowani poniesiemy klęskę. A tu każdy powiat czy każde województwo może być naszym Piemontem, naszą Galicją, naszym przyczółkiem. Każdy patriotyczny głos w Brukseli to dodatkowy adwokat naszych spraw.

> Trzeba robić ile się da, w każdym możliwym miejscu, korzystając z każdej okazji opierać się złu, walczyć o każdy skrawek wolności, który spróbują nam wydrzeć.

Trzeba się wspierać, nawet wbrew osobistym antypatiom, pomagać represjonowanym, odbudowywać wspólnotę, więzi międzyludzkie, uświadamiać (delikatnie) pogubionych. I hamować ile się da decyzje, które mogą być nieodwracalne, z utratą suwerenności na czele.

„Nawet najdłuższa żmija – przemija" – stwierdził fraszkopis.

Nadzieja umiera ostatnia, ale ci, którzy czekają biernie na interwencję Opatrzności, rzadko mają okazję się jej doczekać.

Po 13 grudnia wyrzucony z pracy i objęty zakazem druku znalazłem sobie niszę w postaci kabaretu objazdowego „60 minut na godzinę", z którym docierałem do zgnębionych ludzi. Teraz trzeba będzie bardziej działać poprzez social media, wzmacniać kluby i stowarzyszenia podupadłe w ostatnich latach. I dogadywać się. Mimo wszystko. ■

eprasa.pl eb5d10470b

Tomasz Sakiewicz

Jak odzyskać tych, którzy odeszli

Od kilku tygodni stawiam tezę, że gorszy wynik PiS-u od oczekiwanego wynikał z jednego konkretnego zdarzenia. Sprawa aborcji oczywiście nagoniła wyborców drugiej stronie, ale to było nie do uniknięcia. Gdyby PiS nic w tej sprawie nie zrobił, straciłby sporą część elektoratu na rzecz radykalnej prawicy. Miał więc do wyboru albo wewnętrzny podział, który mógł zakończyć się przedwczesną utratą władzy, albo mobilizację drugiej strony w terminowych wyborach. Jednak nawet taka mobilizacja nie przesądzała o sukcesie opozycji. PiS ciągle miał jeszcze bufor, który pozwalał mu pozostać w grze. Kluczowa była utrata ponad 400 tys. głosów, z których co gorsza część przesunęła się na partie opozycyjne. Mogę się założyć, że w tej grupie kwestia aborcji nie miała decydującego znaczenia. Sprawdzałem, w której grupie swojego elektoratu PiS poniósł największe straty. Widać wyraźnie, że chodzi o mikroprzedsiębiorców. To jedyna grupa, w której PiS utracił tak wiele, ponad połowę swojego elektoratu. Gdyby ją utrzymał, miałby dzisiaj około 215–220 mandatów. Czyli bez PiS-u nie dałoby się po prostu stworzyć rządu.

Co się stało? Radykalny spadek w tej grupie nastąpił po Polskim Ładzie. W zasadzie chodzi o jeden zapis dotyczący składki zdrowotnej. Ta składka wynosząca około 5 proc. od przychodów dla urzędników wydawała się mało kłopotliwa. W końcu ktoś, kto zarabia milion złotych rocznie, powinien bez trudu zapłacić 50 tys. zł. Tylko że to tak ładnie wygląda w teorii. Kim jest mikroprzesiębiorca? To bardzo często rzemieślnik, drobny sprzedawca – szewc, fryzjer, właściciel zakładu kosmetycznego. Koszt działalności rzemieślnika to z owego miliona przychodów rocznie czasem nawet 90 proc. Sto tysięcy zostawało mu na życie, i to raczej szczęśliwcom. Jeżeli z tego oddał połowę, to zbliżał się do granicy opłacalności (przy niemal darmowej pracy). Doszła do tego jeszcze inflacja, czyli wzrost kosztów. Tego zwykły przedsiębiorca przeżyć już nie mógł. Oczywiście są tacy, którzy mieli mikroprzedsiębiorstwa zamiast pracy najemnej. Ci bez trudu jednak uciekli w ryczałt. Czyli Polski Ład nie wyrównał podatków, tylko pogorszył sytuację realnych biznesów, często tych z tradycjami. Drobni restauratorzy, krawcy itd. to ludzie stanowiący w małych miejscowościach społeczny kręgosłup. Zamiast mobilizować wyborców, to ich demobilizowali.

> Dzisiaj PiS żeby znowu posklejać elektorat, musi zauważyć mikroprzedsiębiorców. Błędy popełnia każdy, ale niemądry jest ten, kto nie wyciąga z tego wniosków.

PiS wyciągnął wielu ludzi z radykalnej biedy. Oczywiście rację ma Jarosław Kaczyński mówiąc, że ludzie nie głosują z wdzięczności, ale tych ludzi jednak utrzymał. Stracił w grupie mogącej być zalążkiem klasy średniej. Ta grupa ma różne poglądy, ale kierując się swoim interesem, po prostu skalkulowała, że trzeba iść gdzie indziej niż do „Dobrej Zmiany". Nie poszła głosować na PO, szukała swojej reprezentacji w Konfederacji, a gdy ta w oczach wyborców okazała się niedojrzałą, zagłosowała na mniejsze partie i na Trzecią Drogę. To zaważyło.

Dzisiaj PiS, żeby znowu posklejać elektorat, musi ich zauważyć. Błędy popełnia każdy, ale niemądry jest ten, kto nie wyciąga z tego wniosków. ■

eprasa.pl eb5d10470b

Strefa Wolnego Słowa



Albicla.com

eprasa.pl eb5d10470b